

SIECI



**CHCIMI PAMIĘĆ
BOHATERÓW
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO.
DODATEKI!**

**NIEMIECKA
MITTELEUROPA
TO POLSKA
PODLEGŁOŚĆ**

**ODWAGA
KIBICÓW
W ŚWIECIE
PEŁNYM
TCHÓRZY**



**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

31 (609) 2024
29 lipca – 4 sierpnia 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

NASZE ŚLEDZTWO

TAK DOI NOWA WŁADZA

**WIDANTYCZNE ZAROBKI, LUKSUSOWE SAMOCHODY
I SPRZĘT ELEKTRONICZNY, MILIONY NA POLITYCZNE
AUDYTY ORAZ POTĘŻNE KONFLIKTY INTERESÓW
– TAK ŻYJĄ „FACHOWCY” KOALICJI 13 GRUDNIA
W PAŃSTWOWYCH SPÓŁKACH**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Numer w sprzedaży do 5 VIII 2024 r.

e-book na wakacje w prezencie

jeśli zamówisz cyfrową
prenumeratę **SIECI**
już od 5,90 zł

aż
106
stron

WAKACYJNY NIEZBĘDNIK – ŚWIETNY E-BOOK DLA TYCH, KTÓRZY:

- **lubią gotować (i jeść!)**, bo znajdą tu przepisy na pyszne letnie dania
- **ubią podróżować** i skorzystają z propozycji wędrówek po Polsce
- **interesują się historią** i chcą poznać losy postaci wielkich i strasznych

Wypróbuj cyfrową prenumeratę już od 5,90 zł.
Latem wygodnie czytaj **SIECI na telefonie!**

Zamów już dziś na

siec.wpolityce.pl/oferta

Zeskanuj kod
i dowiedz się więcej





Z dziejów kaprysów władz

Donald Tusk kolejny raz postanowił udowodnić, że kompletnie nie przejmują się polską opinią publiczną. Udało mu się znakomicie. Dzisiaj także jego najgorętsi zwolennicy poczułi, jak bardzo gardzi nimi obecny szef rządu.

Wiadomo od dawna, że Donald Tusk to władca brutalny, mściwy, ale za to całkowicie niesprawiedliwy. Szczególnie dla tych, którym może okazać ów brak sprawiedliwości, czyli dla najbliższych współpracowników. Wszyscy już wiedzą, że Tusk uwielbia podwójny standard.

Świadczy o tym dymisja ze stanowiska wiceministra (to zresztą nędzne stanowisko, bo dużo pracy, a mało honorów i pieniędzy) Waldemara Śługockiego. Polityk miał tego pecha, że przebywał na zagranicznym wyjeździe służbowym i nie uczestniczył w sejmowym głosowaniu. Wyjazd wprawdzie był od dawna planowany, a głosowanie zarządzono znienacka, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Za przewinę znacznie większą – bo za wyciągnięcie karty do głosowania – porównywalne przykrości nie spotkały Romana Giertycha. Wręcz przeciwnie. Dawny ultra-endeck nasłuchiwał się dzisiaj komplementów od swojego szefa. Na taką kurtuazję nie mógł liczyć Śługocki, któremu pozostało jedynie twierdzenie, że owa wilgoć widoczna na jego twarzy to ciepły deszcz, a nie to, co inni myślą.

Życiorys Giertycha jest powszechnie znany. Już nikogo nie dziwi, że od dłuższego czasu jest bardzo bliskim współpracownikiem Tuska i wręcz jego podporą w najważniejszej sprawie, czyli niszczeniu jego przeciwników.

Nieszczęsny Śługocki nie ma takich „zasług”. Formalnie jego życiorys jest bardzo porządkowy. Doktor habilitowany, wykładowca akademicki, poseł trzech kadencji i senator jednej. A na dodatek – co ważne dla tej sprawy – wieloletni członek PO i szef jej struktur w województwie lubuskim. Ale cóż, Tusk ma takich Śługockich na pęczki, gardzi nimi i ich nie szanuje. Co innego Giertych.

Wspomnijcie państwo tę historię, gdy znów usłyszycie od Donalda Tuska o wartościach i zasadach. To będzie już niedługo, może jeszcze dzisiaj.

Piotr Gursztyn



Zakłamywanie historii

Kilka dni temu, 20 lipca, w Dworze Artusa w Gdańsku miało miejsce wydarzenie, którego nie można opisać inaczej niż jako bolesne.

Niemiecki konsulat w Polsce zorganizował uroczystość, która miała upamiętniać 80. rocznicę nieudanego zamachu na Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu. W obecności polskich urzędników Niemcy kontynuowali politykę robienia bohaterów z organizatorów nieudanego zamachu, wyróżniając specjalnie Clausa von Stauffenberga, ówczesnego szefa sztabu Armii Rezerwowej.

Jak już zauważyło kilku polskich historyków, Niemcy od dawna próbują wybielić tę postać. Wiadomo, że był oddanym niemieckim imperialistą, a zdecydował się na zabicie Hitlera nie dlatego, że nie zgadzał się z jego celami, lecz z jego metodami.

Ten proces wybielania trwa do dziś. Teraz jego kolejny epizod miał miejsce w Gdańsku, gdzie przemówienie w takim tonie wygłosił były przewodniczący Bundestagu i obecny prezes Fundacji Konrada Adenauera Norbert Lammert. Zagorzałych nazistów opisał jako ludzi będących symbolami „odwagi i przyzwyczajenia”. „Zamachowcy nie byli oczywiście krystalicznymi demokratami. Byli ludźmi swoich czasów, powiązanymi z realiami ich społecznego pochodzenia” – powiedział.

To, że byli ludźmi swoich czasów, znaczy ni mniej, ni więcej tyle, że byli nazistami, którzy tak jak cały naród niemiecki marzyli o wielkiej III Rzeszy. Takiej, w której Polska będzie miała status kolonii, a Polacy będą ich niewolnikami. Właśnie tak, jak opisał to Stauffenberg w liście do swojej żony z września 1939 r.

Niemcy nadają ton i robią to już od wielu lat. Piszą własną wersję historii. Problem jednak w tym, że my im w tym pomagamy.

Kilka dni przed uroczystością upamiętniającą nazistów Lammert odwiedził Muzeum II Wojny Światowej, gdzie został przyjęty przez dyrektora Rafała Wnuka. Dr Karol Nawrocki, prezes IPN i były dyrektor MIIWŚ, ocenił, że ta wizyta ma bardzo mocną symbolikę. Niemiec nazywany „wybitnym” historykiem, relatywizujący zbrodniczy reżim swojego narodu, odwiedza siedzibę Muzeum pod nową dyрекcją, która na krótki czas wypędziła z wystawy polskich bohaterów: Pileckiego, Kolbego i rodzinę Ulmów.

Efekt? Nazista Stauffenberg ma być uczczony, a polscy bohaterowie wyrzucani. Czy to ma być polityka historyczna koalicji 13 grudnia?

Goran Andrijačić



30

**Nowa krnąbrność
Kosiniaka-Kamysza**
Jan Rokita



38

**Jak zostać
patocelebrytą?**
Dorota Łosiewicz

41-
-50

**Dodatek specjalny
80. rocznica wybuchu
Powstania
Warszawskiego**

NA POZĄTEK

- 5 DESTRUKCJA DEMOKRACJI,
NISZCZENIE PAŃSTWA**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 DORWAĆ WŁADKA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 POLITYCZNE SKRAJNOŚCI**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 MÓC O SOBIE DECYDOWAĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA MARTY PIASECKIEJ**
Michał Korsun
- 16 WYBIÓRCZA SOLIDARNOŚĆ**
Samuel Pereira
- 17 BIAŁA FLAGA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 18 TAK DOJĄ PAŃSTWO**
Marek Pyza

KRAJ

- 24 DLACZEGO TUSK NIE
ZNISZCZY PRAWICY?**
Piotr Gursztyn
- 27 ŚWIĘTE OBURZENIE**
Konrad Kołodziejcki
- 30 NOWA KRNAŁBRNOŚĆ
KOSINIAKA-KAMYSZA**
Jan Rokita
- 34 TEATR LUDOWY IM. WITOSA**
Stanisław Janecki
- 36 SYNOWIE MITTELEUROPY W POLSCE**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 38 JAK ZOSTAĆ PATOCELEBRYTĄ?**
Dorota Łosiewicz

DODATEK SPECJALNY

- 42 SANITARIUSZKA „PAJĄK”**
Z Barbarą Gancarczyk
rozmawia Katarzyna Utracka
- 46 REAKCJA III RZESZY NA
POWSTANIE WARSZAWSKIE**
Paweł Brudek
- 50 OBCHODY 80. ROCZNICY WYBUCHU
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO**
Program wydarzeń

ŚWIAT

- 51 STRATEGIA UKRAINY:
PRZETRWAĆ DO JESIENI**
Marek Budzisz
- 54 PAŁACOWY PRZEWROT USTROJOWY**
Dariusz Matuszak
- 56 JAK MILEI UZDRAWIA ARGENTYNĘ**
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

- 58 WIARA ATEISTÓW**
Grzegorz Górny

NA WAKACJE

- 60 NA WINO DO KRAINY
CZARNEGO KOGUTA**
Piotr Ostrowski

SIECI KULTURY

- 63 ŁAP CHWILĘ I SMAKUJ JĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 65 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 66 ARMIA BOGA**
Robert Tekieli
- 67 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 68 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

- 70 SKANSEN EUROPY**
Bartosz Życiński
- 72 GRUPA AZOTY KOLEJNĄ
OFIARĄ ZIELONEGO ŁADU?**
Goran Andrijanić

PODRÓŻE

- 74 MOJE SZLAKI: MARCIN BRUCZKOWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 77 CO MA CHURCHILL
DO IGRZYSK W PARYŻU?**
Ryszard Czarnecki
- 78 LUDZI ŁĄCZYĆ, TECHNOLOGIE
ROZDZIAŁAĆ**
Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Destrukcja demokracji, niszczenie państwa

Uchylenie przez koalicję 13 grudnia immunitetów politykom opozycji to zakwestionowanie parlamentarnego ustroju i niszczenie państwa.

Fundamentem współczesnej demokracji jest funkcjonowanie opozycji. Instytucją, która ją zabezpiecza, jest immunitet. Nie pozwala ona na represjonowanie jednych polityków przez innych. Odebranie immunitetu to absolutny wyjątek przewidziany dla ciężkich przestępstw kryminalnych.

Parlamentaryzm zakłada, że sprawy państwa prowadzi można na różne sposoby, odwołując się do rozmaitych racji oraz idei. Ugrupowanie, które uzyskało czasowy mandat na rządzenie, rozliczane jest przez obywateli w kolejnych wyborach. Ich zwycięzcy nie mogą jednak pociągać do odpowiedzialności karnej, czyli prześladować swoich przeciwników. Zabezpieczać ma to immunitet. Koalicja 13 grudnia zmieniła go w pozór.

Uczestnicy demokratycznej konkurencji nie zgadzają się ze sobą oraz uznają, że projekty ich rywali nie służą państwu. Jeśli mieliby ich za to sądownie karać, system parlamentarny zastąpiony zostałby przez rewolucję. Z jej wariantem mamy obecnie do czynienia w naszym kraju.

Demokracja liberalna, którą na gruncie polskim reprezentuje koalicja 13 grudnia, coraz konsekwentniej dąży do usunięcia z życia publicznego rzeczników innych idei. Polska przekształcona została w poletko doświadczalne siłowej rozprawy z opozycją i jej kryminalizacji.

Aktualna władza przygotowywała się do tych działań już w opozycji. Jej stronnicy bezpośrednio po wyborach 2015 r. stworzyli Komitet Obrony Demokracji. Rządy PiS jeszcze się nie ukonstytuowały, nie podjęły żadnych decyzji, powołanie więc instytucji, którą jakoby miała bronić demokracja, oznaczało ze strony przegranych zanegowanie jej wyniku. Wynikało z tego, że obywatele nie mieli prawa do wyboru, którego dokonali.

Establishment III RP odrzuca podstawę parlamentaryzmu, co jest charakterystyczne dla tworu zwanego „demokracją liberalną”. Zgodnie z zasadami świata odwróconego, w którym żyjemy, przedstawione jest to jako demokracji obrona.

Deklaracje opozycji, jakkolwiek uderzały w parlamentarne obyczaje, nie musiały być traktowane poważnie. Wdrażanie ich w życie jest niszczeniem demokracji.

Pierwotnie koalicja 13 grudnia usiłowała unicestwić opozycję metodą komisji sejmowych. Było to nadużyciem tej instytucji przeznaczonej wyłącznie dla poważnych afer korupcyjnych, których inaczej rozliczyć nie można, ale formalnie można było uzasadniać inicjatywę parlamentarnej większości. Kiedy jednak właściwe komisjom działania publiczne nie tylko nie przyniosły oczekiwanych przez rządzących efektów, ale zaczęły ich kompromitować, gabinet Tuska do zniszczenia opozycji postanowił użyć aparatu prawniczego, przekształcając go w zaprzeczenie sprawiedliwości. Członkowie byłego rządu za swoją politykę odpowiadać mają na ławie oskarżonych.

Pierwszym aktem tej kampanii było zmontowanie tzw. afery Funduszu Sprawiedliwości.

Można nie zgadzać się z proponowanymi przez ówczesne ministerstwo metodami pomocy ofiarom przestępstw, ale spór o to musi przebiegać w sferze politycznej – inaczej kończy się demokracja.

Zajmująca się tym ekipa z Romanem Giertychem na czele, który sam ma nierozliczone problemy z wymiarem sprawiedliwości, stosuje typową dla systemów opresyjnych metodę. Polega ona na łamaniu uczestników wydarzeń, aby uczynić ich świadkami oskarżenia. Dokładnie taki charakter ma zanęcanie się nad ks. Michałem Olszewskim oraz dwoma urzędnikami MS, których przetrzymywanie w areszcie stanowi prawniczy skandal. Następnym jest ich traktowanie.

Przygotowanie do zdjęcia immunitetów i aresztowania kolejnych polityków PiS za prowadzoną przez nich politykę pod najbardziej dętymi i absurdalnymi zarzutami demonstruje próbę sądowego zniszczenia opozycji i zastraszenia jej przedstawicieli oraz całego społeczeństwa. Wszyscy, którzy współdziałali z państwem rządzonym przez poprzedni, demokratycznie wybrany rząd, mogą obawiać się represji.

Każda decyzja instytucjonalna wiąże się z wydatkowaniem funduszy. W Polsce Tuska każdego można postawić w stan oskarżenia za ich niewłaściwe wykorzystanie: „co wiąże się z poważaną szkodą...”. Rozmawiałem z wybitnym muzykiem, który kilka lat temu zgodził się kosztem swojej kariery poprowadzić orkiestrę. Dziś jako element „państwa PiS” poddana jest ona specyficznej kontroli, która ma wykazać, że jej finansowe zarządzanie było niewłaściwe. Muzyk ma podstawy, aby się obawiać.

Uderzenie w opozycję i zastraszenie niezależnej opinii wspierane jest przez dominujący układ opiniotwórczy oraz główne siły UE. Maszerujący w kierunku nowego totalitaryzmu system opresji zdaje się w niektórych aspektach skuteczniejszy niż aparat PRL, zresztą rząd Tuska spleciony jest z przedstawicielami tamtego w czułym uścisku.

Postaramy się, aby tym razem niszczyście państwa i demokracji realnie za to zapłacić.



Sygnalista nadaje

W połowie lipca w gdańskim Dworze Artusa niemiecki konsulat zorganizował „uroczystość upamiętniającą 80. rocznicę zamachu w Wilczym Szańcu” dokonanego przez Clausa Schenka Grafa von Stauffenberga. W wydarzeniu wzięli udział przedstawiciele lokalnych władz i posłów wybranych z Pomorza. Na zdjęciach widać także prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka. Dr Marek Szymaniak, szef gdańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, podkreśla, że próba zabicia wodza III Rzeszy nie była wynikiem sprzeciwu Stauffenberga wobec nazizmu: „To był wyraz czystej kalkulacji obliczonej na wyeliminowanie Hitlera, który w tamtym czasie był już postrzegany jako osoba, która II wojnę światową przegrywa”. Celebrowanie Stauffenberga jako bojownika o wolność jest ordynarnym fałszowaniem historii.

Co najmniej od połowy lat 30. XX w. von Stauffenberg podziwiał Hitlera. W pełni popierał atak na Polskę, wziął w nim udział jako oficer Wehrmachtu. W połowie września 1939 r. opisywał swoje wrażenia z walk w Rzeczypospolitej: „Miejscowa ludność to niewiarygodny motłoch, bardzo dużo Żydów i mieszanów. Naród, który aby się dobrze czuć, najwyraźniej potrzebuje batoga. Tysiące jeńców na pewno przyczynią się do rozwoju naszego rolnictwa. Niemcy mogą wyciągnąć z tego korzyści, bo oni są pilni, pracowici i niewymagający [...] Najważniejsze jest to, abyśmy w Polsce właśnie teraz zaczęli planować kolonizację. I nie martwię się, że ona nastąpi”. Stauffenberg nie był bohaterem, lecz członkiem nazistowskiej elity i to w jej imieniu próbował ratować upadającą Rzeszę.

Na terenie Wilczego Szańca, w miejscu, gdzie stał barak, w którym Stauffenberg podłożył bombę, znajduje się tablica ku czci jego „i wielu innych, którzy stawiali opór dyktaturze hitlerowskiej”. Powstała w czasach, gdy za teren kwatery głównej Hitlera odpowiadał prywatny dzierżawca. Zawiera nieprawdę, bo niedoszły zabójca wodza Rzeszy nie miał nic przeciwko dyktaturze – aż do momentu, gdy stało się jasne, że Hitler przegrywa wojnę. Jeśli chcemy upamiętniać takie zdarzenia, to tylko w zgodzie z prawdą. Kiedyś trzeba będzie wrócić do tej sprawy.

Na stronie internetowej Sejmu można wyczytać, że **Donald Tusk** ma dwie asystentki społeczne. Jedną z nich jest kosmolog Kristina Voronowska, pracująca w salonie urody „Dream of Beauty”, „absolwentka kosmologii, zakochana w anatomii skóry. Specjalizuje się w technikach stylizacji i upiększania okolicy oka i brwi”. Urodziła się w 1989 r. jako Kristina Potopalskaja w Międzyrzeczu, blisko ówczesnej sowieckiej bazy wojskowej. Do szkoły chodziła w Kalinówce na terenie obecnej Ukrainy. Jest obecna w rosyjskich mediach społecznościowych. Komentatorzy zadają pytania, po co premierowi Tuskowi taka asystentka i czy jej obecność blisko szefa rządu ma związek z obniżeniem przez gabinet VAT dla branży beauty – i tylko dla niej – do 8 proc. Pytania ważne, ciekawe, odpowiedzi na razie brak.

Asystentkę wzięła w obronę Natalia Polubiec, radna warszawskiej dzielnicy Mokotów. „Kilka słów o pisowskich wieprzach, ich kłamstwach i zaszcutej dziewczynie. Jak zwykle najważniejszy

jest cel, reszta się nie liczy. Ładna dziewczyna z Ukrainy w otoczeniu premiera, no to jedziemy z insynuacjami, przekreścimy trochę faktów, parę kłamstw, niedopowiedzeń i będzie story, a że przy okazji się kogoś skrzywdzi, to przecież dla nich bez znaczenia". Idalej: „Krystyna Voronovska jest magistrem ekonomii i pracowała jako specjalista w bankach. Na kosmologię zdecydowała się tylko po to, żeby przyjechać do Polski. Polski, która była jej marzeniem. Aplikowała do pracy w bankach w Polsce, ale okazało się, że ta ścieżka kariery dla specjalistów z Ukrainy nie była dostępna. Musiała znaleźć inną branżę i znalazła. Zajął się kosmologią". Później „zgłosiła się do pracy w biurze PO, bo szukano osób do pracy dorywczej. Pracowała jak wół i wyrobiła sobie doskonałą renomę". A więc osoba wielu talentów. Cóż, wydaje nam się, że to nie koniec tej historii.



🔊 Koalicja 13 grudnia uśmierca kolejne projekty rozwojowe. Odra, zamiast stać się ważnym szlakiem transportu wodnego, ma być „renaturalizowana”, czyli zamieniona w rezerwat. Wiceminister klimatu Urszula Zielińska tak tłumaczy sprawę: „To były takie miraże z piasku. Dlatego, że transport rzeczny jest dzisiaj kompletnie nieopłacalny. Są inne i *de facto* wykorzystywane środki transportu szynowego czy drogowego. I z tego korzystają firmy przewoźnicze i my, jako obywatele. Dlatego to były kompletnie miraże z piasku, to się nijak nie spinało finansowo. I było jednym z elementów tej katastrofy. To jest pieśń przeszłości. To polityka zarządzania rzekami jak z lat siedemdziesiątych, kiedy się betonuje, prostuje, to zabija nasze rzeki". Efekt będzie taki, że niemiecka sieć transportowa nie będzie miała konkurencji. Nie trzeba się ośmieszać, lepiej mówić wprost.



🔊 Były minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej polityk **Marek Gróbarczyk** podsumowuje: „Z 73 inwestycji na rzekach, a przede wszystkim na Odrze, gdzie z 73 wycięła 71, zostawiając dwie dotyczące renaturalizacji. Cały obszar związany z retencją, z zabudową regulacyjną, a więc ostrogi, zbiorniki retencyjne, jazy, to wszystko jest likwidowane. Wody Polskie właśnie likwidują dział inwestycyjny, bo tam inwestycji po prostu nie będzie". A więc nawet nie udają, że chcą coś zrobić inaczej, lepiej, efektywniej. III RP znowu ma wpaść w fentanylowy letarg.



🔊 Przeróżenie budzi zwłaszcza sfera energetyki. Brak energicznych działań w tej dziedzinie to sabotaż, oczywisty kurs na załamanie polskiej gospodarki, na biedę, bezrobocie, emigrację. Tymczasem miesiąc temu Polska Grupa Energetyczna zapowiedziała rezygnację z budowy koreańskiej elektrowni

atomowej w Koninie. A ponieważ życie nie znosi próżni, Koreańczycy długo nie czekali na zastępstwo. Zgłosili się Czesi i to w Dukovanach koreański koncern KHNP zbuduje reaktory. Pierwsze dwa, każdy o mocy 1 tys. MW, zostaną uruchomione już w 2036 r. Jeśli ta władza potrwa, Polska zostanie zredukowana w każdym obszarze i to skokowo. W tym są naprawdę dobrzy.

🔊 Są pierwsze oznaki przebudzenia. Z badań CBOS wynika, że w lipcu 40 proc. badanych określiło się jako przeciwnicy rządu – co oznacza wzrost w ciągu miesiąca aż o 4 punkty procentowe. Ubyło także zwolenników gabinetu – z 36 do 33 proc. To wyniki dramatyczne, tym bardziej że rządy tracą poparcie zazwyczaj nie latem, ale wczesną wiosną. Potwierdza się teza, że koalicja 13 grudnia zużywa swój kapitał szybciej niż jakikolwiek inny rząd w ostatnich dekadach. Nic nie jest przesądzone, ale jeszcze Polska nie zginęła.

🔊 Trwa walka o ocalenie dzieci i młodzieży przed szaleństwem lewackiej ideologii, która atakuje wszystko, nawet tożsamość płciową nastolatków w okresie dojrzewania. Wielu daje się nabrać i poddaje się ciężkim, brutalnym, nieodwracalnym operacjom. Tu miła niespodzianka: poseł KO Urszula Augustyn uznała, że Sejm powinien poważnie porozmawiać nad projektem instytutu Ordo Iuris o zakazie wykonywania tranzycji, czyli operacji tzw. zmiany płci u osób małoletnich. Poseł Augustyn wskazała, że towarzysząca projektowi petycja w tej sprawie została „bardzo solidnie uargumentowana”. Ta kwestia powinna jednoczyć wszystkich ludzi sumienia. Rzeźnicy, ręce precz od naszych dzieci.

🔊 W tej sprawie alarmuje także właściciel platformy X (d. Twitter) **Elon Musk**. „W zasadzie zostałem oszukany w celu podpisania dokumentów umożliwiających Xavierowi [zaaplikowanie bloków dojrzewania – przyp. red.]. To było zanim w ogóle zdawałem sobie sprawę z tego, o co tak naprawdę chodzi. Byliśmy w środku pandemii, wokół panowało mnóstwo zamieszania. Mówili, że Xavier popełni samobójstwo, jeżeli tego nie podpiszę” – opowiada, podsumowując: „W zasadzie straciłem swoje dziecko. Nie na darmo [LGBT+ – przyp. red.] określają swoje poprzednie imię jako deadname [martwe imię – przyp. red.]. Nie chcą, żebyś zwracał się do nich właściwym imieniem dlatego, że osoba, które je nosiła, jest martwa”. Musk zapowiada walkę: „Zamierzam więc zniszczyć wirusa wokeizmu [czyli radykalnej lewicowej ideologii]. Póki co nieźle nam idzie”. Trzymamy kciuki. Tę infekcję można pokonać, ale nikt nie może milczeć, nikt nie może uznać, że po niego – lub po jego dziecko – nie przyjdą. Przyjdą, bo to totalitaryzm.

WIEŻA BAB

Od kiedy koalicja rządząca przegrała w Sejmie m.in. za sprawą PSL głosowanie w sprawie ustawy dekryminalizującej aborcję, wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz nie ma lekko ze zwolenniczkami aborcji spod znaku pioruna.

Marta Lempart, liderka Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, przykleiła na drzwiach klubu PSL kartkę z pięcioma gwiazdkami, trzema koniczynami oraz napisem „a Kosiniak do dymisji”. Innymi słowy – zwolenniczki aborcji zachęcają, by od teraz j...ć PSL i PSL ma wypierd... Niechęć Strajku Kobiet wymierzona w lidera PSL jest tak wielka, że kobiety są gotowe zaatakować każdego, kto choćby przypomina Kosiniaka-Kamysza i tak zresztą się stało podczas ostatniego, niezbyt licznego protestu pod Sejmem.

„Podobno tutaj idzie pan Kosiniak-Kamysz gdzieś, to prawda? Tam idzie!!! – zawyla na widok wroga Marta Lempart i zaczęła krzyczeć pod jego adresem: – Wypierd...! Wypierd...! Wypierd...! Wypierd...! Wypierd...!”. Problem w tym, że wicepremiera nie było wówczas pod Sejmem.

Była za to Jacek Gądek, dziennikarz „Newsweeka”, który całe zajście opisał na platformie X (d. Twitter): „Zbyt zabawne, ale prawdziwe: jak zostałem Kosiniakiem, a Pani Lempart nalegała, bym »wypierd...«. Wczoraj wieczorem byłem przed Sejmem. Spieszyłem się na spotkanie. Była tam też demonstracja Strajku Kobiet. Na scenie Pani Marta wznosiła tradycyjne hasła. Osób na demonstracji nie było wiele, ale i tak musiałem się przebić. Przeszedłem dość blisko sceny. A potem przez cały tłum. Marynarka, koszula – na rzeczone spotkanie musiałem wyglądać w miarę godnie, choć nie było gwarancji, że zakończy się ono w sposób licujący z taką elegancją. Przez pośpiech nie bardzo wsłuchiwałem się w to, co płynie ze sceny. Gdy tylko jednak wszedłem w tłum, to uderzył mnie krzyk: »Podobno tutaj idzie Pan Kosiniak-Kamysz gdzieś, to prawda? Tam idzie!!!« – zauważyła Pani Marta. Potem był refren: »Wypierd...! Wypierd...! Wypierd...! Wypierd...! Wypierd...! Wypierd...!«

Dorwać Władka

Kosiniak-Kamysz nigdzie już nie może czuć się bezpiecznie i musi na siebie uważać, bowiem został napiętnowany przez „lemparcice”

się, więc – myślę – go nie dostrzegam. Ale widzę coś innego: ludzie widzą mnie. Mijam ludzi, a oni patrzą na mnie. Jedni podejrzliwie. Inni z uśmiechem. Dziwne. »Wypierd...! Wypierd...!« – mantra nie ustaje. Głośno i prosto z serca Pani Marty. Zaczyna do mnie docierać, że Pani Marta podpałiła się do przeganiania Kosiniaka, bo... pomyliła mnie z wicepremierem. Ktoś jej sekundy wcześniej (błędnie) powiedział, że idzie wicepremier z PSL. Myślę: za Kosiniaka robię tu ja!? To się, serio, dzieje? Jesteśmy nieco podobni, zwłaszcza odkąd Pan Władysław zapuścił brode, a żonie się spodobało, więc już nie miał wyboru: zarost został na stałe. Zresztą: »Tygryskowi« pasuje. Zmężniał dzięki niej [...]”.

Historyjka zabawna, ale jednak straszna. Po pierwsze, Kosiniak-Kamysz nigdzie już nie może czuć się bezpiecznie i musi na siebie uważać pod Sejmem, pod MON i na ulicy, został bowiem napiętnowany przez „lemparcice”. Może warto przemyśleć strategię, jak niespostrzeżenie dostać się do Sejmu. Może w bagażniku samochodu? Wszak w ten sposób próbowały już dostać się do parlamentu różne osoby. A może czołgiem? Ponadto niechęć Lempart wymierzona w lidera PSL stwarza zagrożenie dla wszystkich szczupłych, wysokich mężczyzn, chodzących na co dzień w garniturach i noszących zarost. Nigdy nie wiadomo, kiedy znów któraś z kobiet spod znaku pioruna dojrzy potencjalnego wroga i będzie gotowa go zaatakować. Panowie! Jeśli życie wam mile, golcie brody!

Dorota Łosiewicz



wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego 9 maja były ostrzeżeniem dla niemieckich partii koalicyjnych. Rok przed elekcją do Bundestagu wyborcy okazali swoje niezadowolenie z lewicowo-liberalnej polityki rządu. Dotyczyło to w szczególności Zielonych, którzy ponieśli największe straty.

Tylko 22 proc. Niemców pozytywnie ocenia pracę rządu. Zielonym najbardziej zaszkodziły protesty rolników oraz Zielony Ład. Okazali się oni największymi przegranymi europejskich wyborów, biorąc pod uwagę, że w ostatnich wyborach do PE w 2019 r. uzyskali rekordowy wynik – 20,5 proc. głosów. Największym ciosem była jednak utrata młodego elektoratu – tylko 11 proc. wyborców w wieku poniżej 25 lat oddało na nich głos. Także na wschodzie Niemiec Zieloni są bardzo niepopularni, uzyskali tam jednocyfrowy wynik, w Turynii spadli nawet poniżej 5 proc.

Nic dziwnego. Jak wynika z badań instytutu Infratest/Dimap już tylko 14 proc. Niemców uważa ochronę klimatu za „ważny temat wyborczy”. Ponadto ludzie są zdania, że Zieloni „robią politykę dla bogatych”. Z sondażu opublikowanego na początku lipca przez RTL/ntv-Trendbarometer wynika, że tak sądzi 54 proc. ankietowanych, a na wschodzie Niemiec nawet 72 proc. W społecznej percepcji za Odrą Zieloni to więc partia dla krezusów, oderwana od

Utrata wiary w Zielony Ład



Niemcy

realiów i forsująca kosztowną klimatyczną utopię.

Na domiar złego Niemcy nie za bardzo wierzą w cele klimatyczne Unii. Jak wynika z badań przeprowadzonych na zlecenie francuskiej firmy energetycznej ENGIE wspólnie z instytutem Jean-Jaurès, aż 68 proc. niemieckich respondentów uważa, że cel neutralności klimatycznej w 2050 r. jest nierealny. Ponad połowa ankietowanych wątpi też w możliwość sfinansowania Zielonego Ładu. Tylko 38 proc. uważa, że transformacja energetyczna doprowadzi do wzrostu gospodarczego, a jeszcze mniej, bo 26 proc., sądzi, że będzie miała pozytywny wpływ na ich siłę nabywczą. Krótko mówiąc, Niemcy uważają, że transformacja energetyczna odchudzi ich portfele. Podobne badanie wśród pracowników przemysłu przeprowadził związek zawodowy IG BCE. 44 proc. ankietowanych odpowiedziało, że decyzje polityczne Unii mają „negatywny” lub „bardzo negatywny” wpływ na ich pracę, a większość (62 proc.)

uważa cele klimatyczne UE za „nieosiągalne”. „Przemysł – skomentował przewodniczący IG BCE Michael Vassiliadis – jest gwarantem dobrobytu kontynentu”.

Niemcy, doświadczeni trwającą od lat i kosztowną transformacją energetyczną, najwyraźniej stracili entuzjazm dla Zielonego Ładu oraz partii politycznych, które go promują.

Aleksandra Rybińska

Zkońcem roku wygasa porozumienie z 2019 r. umożliwiające Rosjanom przesyłanie gazu do odbiorców w Europie Środkowej za pośrednictwem rurociągów przebiegających przez Ukrainę. Mimo trwającej wojny gazociągi były wykorzystywane, ale władze w Kijowie nie zamierzają przedłużać umowy z Moskwą.

Dla Słowacji, Węgier i Austrii przerwanie dostaw z Rosji oznacza kryzys energetyczny. Unia Europejska, asekurując się na taką ewentualność, w 2022 r. podpisała porozumienie z Azerbejdżanem, które przewidywało wzrost dostaw gazu z tego kraju. Wydaje się jednak, że mogą być z tym problemy. Ambasador Azerbejdżanu przy Unii oskarżył wspólnotę, że ta traktuje dostawy gazu z jego kraju jako coś w rodzaju straży pożarnej, bo jest zainteresowana zawarciem jedynie krótkoterminowych, 3- i 6-miesięcznych, kontraktów.

Prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew w czasie niedawnego szczytu z przedstawicielami Unii powiedział, że aby wywiązać się z planów zwiększenia

dostaw do Europy, państwowy koncern wydobywczy SOCAR musiałby uruchomić eksploatację złóż położonych głębiej na Morzu Kaspijskim i zainwestować w rozbudowę rurociągów. Problemem jest wszakże to, że zarówno Bruksela, jak i europejskie instytucje finansowe ze względu na cele klimatyczne nie mogą finansować inwestycji w wydobycie paliw kopalnych. Baku chce więc doprowadzić do zmiany tego nastawienia i zaczyna wywierać presję na Unię. Zdaniem azerskiego wiceministra energii Elnura Sołtanowa porozumienie paryskie nakładające ambitne cele klimatyczne nie stoi w sprzeczności z wydobyciem węgla i gazu. Zamiast wywierać presję na zmniejszenie wydobycia, należy raczej koncentrować się na emisji gazów cieplarnianych, zwłaszcza w państwach afrykańskich.

Niektórzy specjaliści są przekonani,

że usztywnienie stanowiska Baku może być także związane z obawami władz Azerbejdżanu, że po zakończeniu wojny na Ukrainie Europa będzie chciała wrócić do zakupów gazu i ropy naftowej w Rosji. Dlatego dopóki trwa, Baku chce wymusić na Brukseli maksymalne ustępstwa.

Marek Budzisz

Kłopoty z gazem

Azerbejdżan



Anglia jak Trzecia Rzesza

Brytyjska organizacja The Key wspierająca proces kształcenia nauczycieli przesłała do ponad 100 tys. szkół na terenie całego kraju zestawy materiałów edukacyjnych do nauki historii. To początek nowego rządowego programu, który ma przedstawić uczniom dzieje Anglii oraz świata w kluczu antyrasistowskim.

Wytyczne dla nauczycieli mówią, że powinni oni prezentować historię imperium brytyjskiego, podobnie jak innych mocarstw światowych, które dopuściły się okrucieństw, w taki sam sposób, w jakim są ukazywane nazistowskie Niemcy. Uczniowie nie mogą dowiadywać się o „dobrych i złych” stronach imperium, tak jakby było ono mieszaniną obu tych elementów, lecz muszą jednoznacznie usłyszeć, że stało ono po stronie zła, opierając się na kolonializmie, najeżdżaniu i wyzyskiwaniu innych krajów.

Zgodnie z wytycznymi na lekcjach powinno się unikać wzmianek na temat białych polityków i działaczy abolicjonistycznych w rodzaju Williama Wilberforce’a, którzy walczyli o zniesienie niewolnictwa. Tacy bohaterowie powinni zostać skazani na zapomnienie. Zamiast tego trzeba podkreślać rasizm innych postaci historycznych, takich jak Winston Churchill. Zараzеm należy uwypuklać wielkie osiągnięcia i wkład, który wnieśli do rozwoju cywilizacji czarnoskórzy, np. królowie Beninu (mniejsza z tym, że dawniej kraj ten nazywał się Dahomej, czyli Wybrzeże Niewolników, a największe zyski z handlu żywym towarem czerpali właśnie jego murzyńscy władcy).

Prof. historii Robert Tombse z Cambridge poproszony o komentarz przez dziennik „The Telegraph” nazwał wytyczne „propagandą” i „nonsensem”. Są one jednak wręcz podręcznikową ilustracją tego, co Roger Scruton nazywał ojkofobią, czyli nienawiścią do własnej ojczyzny. Na marginesie warto dodać, że wspomniane materiały edukacyjne niemal słowo w słowo powtarzają wszystkie argumenty putinowskiej propagandy dotyczące satanistycznego Zachodu jako wcielenia absolutnego zła oraz Wielkiej Brytanii jako państwa zbudowanego na ludzkiej krzywdzie. 

Grzegorz Górny

Zapomniane rakiety

Fatalne skutki uzależnienia Unii od Rosji odbiły się nie tylko na europejskiej energetyce i dostawach surowców. Ucierpiał również unijny program kosmiczny, który przed wybuchem wojny na Ukrainie korzystał z rosyjskich rakiet Sojuz.

W 2005 r. europejska agencja kosmiczna ESA oraz Roskosmos zawarły umowę, na mocy której Rosjanie mogli wystrzeliwać swoje rakiety z kosmodromu Kourou w Gujanie Francuskiej. Ma doskonałą lokalizację w pobliżu równika. Dzięki niej obrót Ziemi nadaje rakiecie dodatkowy pęd, co oznacza, że może ona przenosić cięższe ładunki, zużywając przy tym mniej paliwa.

Rosjanie przesłali do Gujany Francuskiej swoich inżynierów, którzy przygotowali kosmodrom do wystrzeliwania rakiet Sojuz 2. Po 2011 r. Unia Europejska, korzystająca dotąd z francuskiego systemu Ariane, zaczęła używać do wynoszenia ładunków także rosyjskich rakiet. Mówiło się nawet o wspólnej misji łazika na Marsa. Tę coraz bardziej wciągającą współpracę z Moskwą przerwał wybuch wojny na Ukrainie. Roskosmos wycofał wtedy z Gujany Francuskiej swoich inżynierów, pozostawiając na miejscu co najmniej dwie zmontowane i gotowe do startu rakiety.

Teraz, jak donosi „Politico”, stały się one poważnym problemem dla dalszego rozwoju kosmodromu. Bez pomocy Rosjan nie da się ich bezpiecznie zdemontować. Co więcej, zajmują miejsce potrzebne do montażu nowych rakiet. ESA zawarła ostatnio kilka umów z prywatnymi firmami, które mają włączyć się do europejskiego programu kosmicznego na zasadach komercyjnych. Unia liczy, że ożywi to program i popchnie go naprzód – podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie NASA podjęła udaną współpracę z Elonem Muskiem i jego firmą SpaceX. Prywatni kontrahenci ESA potrzebują jednak miejsca do pracy, a to jest zajęte przez rosyjskie rakiety.

Oczywiście Rosjanie nie mają nic przeciwko temu, aby Unia oddała im rakiety na własny koszt. Jak pisze „Politico”, taki wariant w ogóle nie jest jednak rozważany z przyczyn politycznych. Podczas niedawnego spotkania ministrów z państw unijnych wchodzących w skład ESA ustalono więc wstępnie, że francuska agencja kosmiczna CNES odzyska pełną kontrolę nad częścią kosmodromu użytkowaną dotąd przez Roskosmos i przekaze ją na potrzeby komercyjnych kontrahentów agencji. Rosyjskie rakiety – każda warta 80 mln dol. i ważąca ok. 100 t – miałyby zostać przeniesione w inne miejsce.

Być może niektórzy członkowie ESA liczą na to, że po ewentualnym resecie stosunków z Moskwą rosyjskie rakiety znów będą potrzebne, jednak na razie taka perspektywa wyraźnie się oddala. 

Konrad Kołodziejski

Gujana Francuska



Fot. Marjane Rehak/Shutterstock.com



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Polityczne skrajności

Podziały polityczne są istotą demokracji. Rzadko bywają tak klarowne i wyraziste, jak obecnie w Stanach Zjednoczonych. W trakcie zawziętej kampanii wyborczej coraz lepiej widoczne są partia zdrowego rozsądku i partia lewackiego szaleństwa. W Europie wszystko jest bardziej zagmatwane, bo żyje tu wiele narodów o niezwykle skomplikowanych doświadczeniach.

Od kiedy powstała Unia Europejska, z roku na rok panuje coraz większy chaos ideologiczny. Na to nałożył się skok cybertechnologii, co powoduje, że byle śmondak dysponujący medialnym „mainstreamem” może wbijać w lepetyny bałamutne opinie i poglądy. Jednym z natrętnych kłamstw jest codzienna mowa o skrajności prawicy. O wszelkiej maści lewakach, nawet jeżeli są to ideowi spadkobiercy stalinowsko-hitlerowskich potworów z przeszłości, żaden medialny gaduła nie powie, że są skrajni. Oni postanowili się teraz nazwać liberałami, natomiast każda prawica określana jest mianem skrajnej.

Terminologia publicystyczna dawno odkleiła się od prawdy. Chodzi o utrwalenie zbitki pojęciowej, negatywnie działającej na tę część elektoratu, która nie bardzo kuma, kto jest kim, ale nie życzy sobie skrajności. Woli ciepłoko łagodności. Do takiego elektoratu odwoływała się rządząca do niedawna Polską partia, która formalnie wygrała wybory, sympatycznie,

elegancko, leciutko, na palcach, nie drażniąc nikogo, ale rządzić nie ma jak. Niestety bez dynamiki, bez woli walki trudno w polityce coś ugrać.

Przekonał się o tym miły prezydent Biden, wyglądający na staruszkę bardzo utrudzonego życia. Ja jako staruszek o dłuższym stażu na tym padole odczuwam pokoleniową solidarność, kiedy zalicza on kolejne wpadki, ale nie rozumiem, jak może człowiek doświadczony upierać się przy lewackich chorych pomysłach. One czasem sprawdzają się na krótko, na dłuższy dystans prowadzą do katastrofy. Narody i ludzi.

Miał tego świadomość dobrze wspominany w Polsce Ronald Reagan. Kiedy wiekowego prezydenta pytano, czy można go budzić, jeżeli Ruscy wystrzelą rakiety, odparł – proszę mnie budzić, nawet jeżeli będę uczestniczył w obradach gabinetu.

Mniej ważne jest to, który polityk kiedy drzemie, od tego, czy w ogóle myśli o dobrostanie swego, a nie sąsiedniego kraju. A więc jak drzewiej mawiano: nie wolno nam zasypiać gruszek w popiele. Prawdziwą skrajnością jest niszczenie narodu na polecenie sąsiadów. Przypominam, że od pierwszego rozbioru, od 252 lat jesteśmy celem nieustannej agresji. Czy jest w polityce coś bardziej skrajnego niż mordowanie narodów?



**Jan
Pietrzak**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

True colors

Wielu zainteresowanych obywateli RP pewnie zamartwia się tym, że nagle dokonany wybór kandydatki na prezydenta USA oznacza alternatywę: covid albo cholera. Że nie ma już kandydata jednoznacznie propolskiego, antyrosyjskiego.

Ta pierwsza choroba, Donald Trump, jest nieprzewidywalna – albo będzie ciężka i zabije, albo przejdzie lekko, niemal bez skutków. A więc albo na złość światu Trump będzie usiłował dogadać się z Putinem i zmusić Zelenskigo do negocjacji, albo pogada sobie coś pod nosem i przycisnie do ściany kremlowskiego satrapę.

Druga choroba, Kamala Harris, będzie zainteresowana tylko swoim makijażem, prawami gejów i tego typu sprawami (nigdy nie interesowała się niczym innym), więc może coś bąknąć na temat konieczności wsparcia Ukrainy, ale trudno oczekiwać od niej konkretnych działań, ponieważ ona w odróżnieniu od Bidena nie rozumie zagrożenia, woli się skupić na kwestiach polityki hinduskiej lub jamajskiej, bo – wiadomo – kosztują bliższe ciała.

To tylko dygresja zaniepokojonego Polaka. Punkt wyjścia do prawdziwego tematu tego komentarzyka, który dotyczy telewizyjnych komentatorów. Otóż mimo marnej znajomości języka obcego przy takich okazjach przełączam telewizję na informacyjną stację z USA. Wiadomo, jak jest – choć lokalnie na głowę

inne bije Fox, w Europie nieustannie preferowane są Bloomberg, MSNBC, a przede wszystkim CNN, którą niesłusznie uważana się za wyrazicielkę przeciętnych amerykańskich poglądów, co jest bzdurą i zakłamaniem.

Cóż, nie mam dostępu do prawicowego Foxa, mam lewackie CNN, więc oglądam kolejne programy, audycje, komentarze, dyskusje. Nie mam nic przeciw pluralizmowi rozumianemu w każdy dopuszczalny sposób. Ale jeśli przez 10 kolejnych dni widzę wśród ekspertów od 40 do 80 proc. Murzynów, to muszę się zastanowić, o co chodzi. Oczywiście wiem, że to nie Murzyni, ale Afroamerykanie – tak mi się palec na klawiaturze poślizgnął – ale nadal to osoby nie białe. Prowadzący, anchorzy, konsultanci, komentatorzy... Wszyscy mocno kolorowi.

W społeczeństwie USA jest ok. 12 proc. Afroamerykanów, nie 50–80 proc., jak wśród uczestników tamtejszych programów publicystycznych. Ktoś mógłby argumentować, że znacznie wyższy odsetek kolorowych jest wśród ludzi wykształconych, przygotowanych do występów w mediach. Ale przecież wszyscy wiemy, że to bzdura, że jest wręcz odwrotnie. Jeśli tak ma wyglądać zrównoważona debata publiczna, to świat się kończy.



**Dominik
Zdort**

Móc o sobie decydować

I sierpnia br. obchodzimy 80. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, największej bitwy partyzanckiej w czasie II wojny światowej podjętej przez warszawską młodzież, warszawiaków i Polaków zaangażowanych w akcję „Burza”.

Każda decyzja o udziale w powstaniu była czynem heroicznym, świadczącym o dojrzałości, rozumieniu świata i wartości, które są najistotniejsze w życiu każdego człowieka. Powstańcy byli ludźmi honorowymi, pełnymi godności i kochającymi swoją ojczyznę. Kochającymi Polskę w sposób głęboko przemyślany i racjonalny. Krytycy zrywu zapewne nie przestaną powtarzać, że nie miał on szans powodzenia, a decyzja o walce była samobójcza. W realiach niemieckiej okupacji, masowej eksterminacji polskich obywateli, przemocy, niedostatku, głodu, upodlenia i pozbawienia wolności niestawienie oporu oprawcom byłoby równoznaczne z zaprzeczaniem jakichkolwiek szans na odzyskanie wolności i suwerenności przez Polskę. Powstańcy doskonale rozumieli znaczenie posiadania własnego państwa. Oni wiedzieli, o co walczyli. Byli pokoleniem o rodowodzie wywodzącym się z ruchu niepodległościowego zrodzonego w końcu XIX w., posiadającym wiedzę historyczną przekazywaną zarówno w szkołach, jak i w patriotycznych rodzinach, które wychowywał Kościół. Powstańcy wiedzieli, że tylko ojczyzna i państwo są gwarancją wolności. Chcieli być u siebie i móc o sobie decydować.

Muzeum Powstania Warszawskiego powstało po 60 latach od jego wybuchu. 31 lipca 2004 r. śp. Lech Kaczyński, ówczesny prezydent Warszawy, zorganizował pierwsze w historii tak duże obchody rocznicy tego wielkiego zrywu narodowego. Otwarto muzeum nowoczesne i do dziś cieszące się niesłabnącym zainteresowaniem, odbyły się uroczystości na Powązkach, a także przemarsz powstańców ulicami stolicy. Polityka historyczna prezydenta Lecha Kaczyńskiego, której niezwykle istotnym elementem było podniesienie pamięci o powstańcach warszawskich na należyty im poziom i krzewienie wiedzy nie tylko o ich martyrologii, ale przede wszystkim o dalekowzrocznym sensie ich walki, upowszechniło świadomość historyczną wśród Polaków i przyczyniło się do pobudzenia postaw patriotycznych. Prezydent Kaczyński mówił: „Niepodległość to nie tylko stan prawny i faktyczny, odnoszący się do państwa i narodu. To także realny kształt tego narodu, jego świadomości. To wszystko, co trwanie państwa legitymizuje, co kontynuuje go jako moralną jakość, ale także to – a jest to ważne szczególnie w dzisiejszym świecie – co o narodzie i państwie wiedzą inni, czyli mówiąc najkrócej, jak Polaków i ich historię odbierają inne narody”.

Jak interpretować działania podejmowane przez obecne władze RP w kontekście najwyższej ceny, którą powstańcy zapłacili za istnienie naszej ojczyzny i naszego państwa? Co stanie się z dobrokiem wszystkich tych, którzy o pamięć i rozumienie sensu poświęcenia pokolenia AK zabiegali przez ostatnie dekady?

MEN przekazało do konsultacji zmiany w programie nauczania historii w szkołach podstawowych, które w oczywisty sposób zmierzają do ograniczenia wiedzy kolejnych pokoleń i umniejszenia jego zdolności krytycznej oceny rzeczywiście-

ści. Propozycje przewidują wykreślenie spośród celów nauczania historii w szkołach podstawowych m.in. „poczucia miłości do ojczyzny przez szacunek i przywiązanie do tradycji i historii własnego narodu oraz jego osiągnięć, kultury oraz języka ojczystego”. Wśród

tematów, które proponuje się wykreślić z podstawowych lub dodatkowych treści nauczania, są m.in. Kulturkampf, chrzest Polski, średniowieczne wojny z Niemcami, żołnierze niezłomni, zwycięstwo grunwaldzkie, rola Jana Pawła II w obaleniu komunizmu i przykłady bohaterstwa Polaków podczas II wojny światowej, np. obrona poczty w Gdańsku czy walki o Westerplatte.

Przed zbliżającą się 80. rocznicą wybuchu powstania warszawskiego władze stolicy zdają się znowu próbować gasić pamięć o powstaniu i ściśle związane z nim patriotyczne uczucia, usiłując utrudnić przebieg organizowanego od 13 lat Marszu Powstania Warszawskiego, gromadzącego coraz większe rzesze Polaków, którzy z potrzeby serca, ponad dzielącymi ich poglądami politycznymi, jednoczą się, wyruszając w godzinie W z ronda Romana Dmowskiego pod pomnik Powstańców Warszawy. Analogie nasuwają się same. 



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

REKLAMA



**Radio 106.2
Warszawa**
dobrze słuchać

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolicę"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

16/0524/F

Walizka Marty Piaseckiej

dziennikarki wPolsce.pl

Na początku to mama była osobą, która starała się pokazywać mi świat. Gdy rozpoczęłam studia, zaczęłam też poznawać Europę, ale to naszą ojczyznę uważam za pełną nieodkrytych zakątków. Przekonałam się o tym podczas prowadzenia programu o zamkach i pałacach w Polsce. Wtedy po raz kolejny odkryłam swój rodzinny dom. Miejsca, do których lubię wracać, to Mazury i nasze polskie morze z Sopotem na czele. Mam wielką słabość do wody, przecież bez niej nie da się żyć i to ona daje mi ukojenie.

Krajem, do którego wracam, są Włochy – lubię sposób, w jaki ludzie odnoszą się tam do siebie i oczywiście ich kuchnię. W podróżach zawsze towarzyszy mi modlitwa, może być krótka, ale zawsze jest wyrazem wdzięczności za to, że mogę poznawać świat.

Nie może zabraknąć muzyki, którą zawsze mam przy sobie i często żartuję, że to ścieżka dźwiękowa mojego życia. Podróżując z moimi córeczkami, śpiewamy na głos ulubione przeboje. Podróże są wspaniałe, ale istotne są dla mnie powroty do mojego domu, rodziny, pracy z ludźmi, których lubię i szanuję. Wbrew pozorom często to praca jest miejscem, w którym odpoczywam. Podobno jeśli kochasz to, co robisz, nie przepracujesz ani jednego dnia.



PRZYTULANKI

Z każdej podróży przywożę pamiątki dzieciom, a gdy jedziemy razem, zabieramy niezbędne przytulanki. Najczęściej są to podobne przedmioty (np. te zajaczki), żeby nie było kłótni, który należy do kogo.





KAPELUSZ

W letnie dni osłona przeciwsłoneczna jest niezbędna. A kiedy potrzebuję wyciszenia, mogę się za nim ukryć.



SŁUCHAWKI

Głównie korzystam z nich na spacerach, gdy jestem sama i staram się wyciszyć. To jest także chwila modlitwy. Używam wtedy chrześcijańskich i katolickich aplikacji, wtedy łatwiej się skupić.



WACHLARZ

Pozwala mi łatwiej znosić ciężar upałów. Zazwyczaj dzielę się nim na wyjazdach albo dzieci mi go zabierają.



MUZYKA

Kasia Sochacka to delikatna, ale bardzo emocjonalna kobieta, która w swoje piosenki potrafi zaimplementować Boga. W Polsce mamy genialnych twórców, a ona szczególnie dobrze oddaje moje uczucia.



BLUZA Z KAPTUREM

Oczywiście jest ciepła, ale najważniejsze, że polskiej marki. Ubrania Medicine projektują nasi projektanci, a do współpracy zapraszają ciekawych artystów, tworząc limitowane kolekcje pełne bogatych wzorów, kwiatów i nawiązań do polskiej kultury folkowej.



APASZKA

Z kolekcji wspomnianej marki. Jest bardzo mała, łatwo ją wszędzie wcisnąć, pozwala opanować włosy (także moich dzieci) na wietrze.



KOSMETYKI

Gdy jadę gdzieś sama, z dziećmi, rodziną lub znajomymi, chodzę głównie bez make-upu. Ale pojawiają się takie sytuacje, że muszę się umalować. Wiadomo, że każda kobieta lubi być zadbana, a dbanie o to, co mamy, uważam za obowiązek i przyjemność.



POEZJA HALINY POŚWIATOWSKIEJ

Uwielbiam poezję Haliny Poświatowskiej, kobiety o niesamowitej wrażliwości, której życie przeplatało ciężką chorobę serca z miłością. Stygmat cierpienia i śmierci nie odebrał jej wierszom lekkości i subtelności skojarzeń.



PRZEWODNIKI MARKA GAWORSKIEGO

To książki autorstwa mojego kolegi, który jest wielkim pasjonatem zamków, pałaców i dworów w Polsce. Jego liczne dzieła często wskazują mi kierunek podróży po naszym kraju.



RÓŻANIEC

Zawsze mi towarzyszy. To dla mnie najlepsza terapia, która pomaga w walce z trudami dnia codziennego. Modlitwa mnie uspokaja i często przynosi rozwiązania.



KRZYŻYK

Od 18. roku życia nigdy go nie zdjęłam. Uważam go za symbol wiary i miłości, która przezwycięży wszystko. Od zawsze jest dla mnie najlepszym kompasem.



CÓRKI

Zawsze mam przy sobie zdjęcia dzieci. One są dla mnie prawdziwym cudem. Uczą mnie wielu rzeczy: życia, pokory i przybliżają do wiary. Jeżeli ktoś nie wierzy w istnienie Boga, niech spojrzy na dzieci.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

Wybiórcza solidarność

Jako delegatka Ukrainy do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy Nadia Sawczenko posiada immunitet międzynarodowy, który zgodnie z art. 40 Statutu Rady Europy gwarantuje jej nietykalność osobistą oraz chroni przed aresztowaniem i przeprowadzaniem procedur prawnych, w tym procesów sądowych". Uchwałę o takiej treści 9 marca 2016 r. poparli przez aklamację posłowie polskiego Sejmu, wśród nich przedstawiciele Platformy Obywatelskiej. „Federacja Rosyjska ratyfikowała Statut Rady Europy w 1996 r. i od tego czasu ma obowiązek respektowania gwarancji wynikających z postanowień tego statutu oraz Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności” – napisano w uchwale.

Gdzie są dzisiaj ci politycy obozu, który obecnie sprawuje władzę w Polsce, a którego podwładni zatrzymują posła opozycji Marcina Romanowskiego mimo jego immunitetu w tym samym Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy? Osiem lat temu na sali sejmowej trzymali wizerunek prześladowanej przez Rosję Sawczenko, której immunitet podważał reżim Putina. Dziś oni robią coś podobnego – wmawiają opinii publicznej, że nękania przez

nich polityk opozycji nie ma immunitetu ZPRE.

Takie podejście świadczy nie tylko o skrajnej hipokryzji i braku konsekwencji, lecz także o przedmiotowym podejściu do prawa. Gdy chodzi o prześladowaną Ukrainkę, protestując przeciwko negowaniu jej immunitetu (co w pełni popieram), a gdy chodzi o załatwienie swoich brudnych politycznych interesów, wśród których na czele jest prześladowanie opozycji – potrafią mówić coś o 180 st. odwrotnego niż kiedyś. To odsłania również motywy, bo gdyby było nim stanie na straży prawa, żaden z polityków obecnej władzy nie szedłby na skróty, a tym bardziej nie łamałby przepisów, których sam kilka lat temu bronił.

Takie postępowanie kompromituje obóz rządzący, ale co gorsza prowadzi do erozji zaufania obywateli do instytucji państwowych i samej idei sprawiedliwości, a utrzymywanie podwójnych standardów prawnych, szczególnie w relacji władza–opozycja, podważa autorytet Polski na arenie międzynarodowej.



Samuel Pereira

Jesteśmy naznaczeni

Z Małgorzatą Markowską, prezesem Fundacji im. Andrzeja Markowskiego, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jakie emocje wywołuje w pani 1 sierpnia?

Małgorzata Markowska: Wciąż silne. Doświadczenia, a także konsekwencje tamtych dni, są z nami do dziś. Najpierw towarzyszyły rodzicom, którzy 80 lat temu poszli do powstania, potem nam – ich dzieciom, później naszym dzieciom, a teraz wnukom. Jesteśmy naznaczeni. Ja, moja siostra i brat odziedziczyliśmy patriotyzm, który przekazujemy kolejnym pokoleniom, bo jest potrzebna ciągłość, by go utrzymać. Rodzice przekazali nam też, niestety, ideę życia z dnia na dzień. Życia na kredyt. To było ich obsesją, gdy myśleli o swoich przyjaciółach i kolegach, o tej całej polskiej inteligencji, która zginęła, a oni ocalili. Dlaczego właśnie oni? Później funkcjonowali ze świadomością, że życie zostało im подарowane.

Żyli intensywniej, bardziej kreatywnie – jak pani ojciec Andrzej Markowski, znakomity dyrygent, a także kompozytor, który rozległością działań mógłby obdzielić kilku twórców?

Myślę, że wydarzenia 1944 r. były inspiracją do wielu jego działań. Mogły też wpłynąć na powstanie festiwalu Wratislavia Cantans, który jest jego autorskim dziełem, patronuje mu do dziś. Był bardzo znany zarówno jako wybitny dyrygent muzyki klasycznej, jak i współczesnej. Pod koniec lat 50. ub.w. należał do grupy modernistów. Jako kompozytor skomponował muzykę do 33 filmów, m.in. do „Pana Wołodyjowskiego” i „Popiołów”.

Także do „Pokolenia” [1954].

Dwa lata później powstawał „Kanał” i Andrzej Wajda znów zaproponował ojcu współpracę, ale usłyszał, że nie



jest on w stanie skomponować muzyki do tego filmu. Ale w scenariuszu pojawiły się dwie powstańcze historie moich rodziców, związane z przeżyciami kanałami. Na to ojciec się zgodził, zresztą na prośbę Andrzeja Wajdy sam je opowiedział. Znamienne, że podczas tegorocznego festiwalu Wratislavia Cantans 12 września odbędzie się uroczysty koncert ku pamięci Andrzeja Markowskiego z okazji przypadającego w tym roku 100-lecia jego urodzin. Mikołaj Górecki, syn Henryka, na zamówienie Narodowego Forum Muzyki, skomponował utwór pt. „1944”.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

ORGANIZATORZY IGRZYSK W PARYŻU GORĄCO WITAJĄ SPORTOWCÓW I 15 MLN TURYSTÓW BRAKIEM KLIMATYZACJI W MIEJSKIM TRANSPORCIE I OBIEKTACH SPORTOWYCH. TAK JAK 100 LAT TEMU....



Biała flaga

Ostatnio chodzi za mną refren „Białe flagi” Grzegorza Ciechowskiego. Utwór powstał tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego.



„Gdzie są moi przyjaciele? / Bojownicy z tamtych lat? / Zawsze było ich niewielu / Teraz jestem sam”. Piosenka zespołu Republika była rozliczeniem z konformistami kapitulującymi przed opresyjnym systemem PRL. Dziś zawarte w niej pytanie jest nawet bardziej aktualne, w czasach Solidarności oportunizm kojarzył się z obciążeniem i zdradą.

Obecnie skala bezkrytycznego podporządkowania się wtłaczanej do głów ideologii jest porażająca. Póki żyli Polacy pamiętający II RP, póki przekazywali nam prawdę o agresji i o zbrodniach hitlerowskich Niemiec i stalinowskiej Rosji, żaden terror, żadna propaganda nie były w stanie zmienić naszej polskiej mentalności. Sytuacja zmieniła się radykalnie po 1989 r. Nowa rzeczywistość fałszuje historię, lansuje konsumpcyjny model życia, burzy świat tradycyjnych wartości (Dekalog, rodzina, patriotyzm), promuje egoizm, głupawkę i samobójczą wolność od jakichkolwiek zasad.

Demoralizacja jest bronią niezwykle skuteczną. Niszczy moralność, dewastuje demografię, przyspiesza upadek edukacji i kultury. I prowadzi do rozkładu Rzeczypospolitej, takiej, jaką od wieków znaliśmy i kochaliśmy. Szeroko otwarte granice (do niedawna marzyliśmy o swobodzie podróży) tylko te zmiany przyspieszają. Według prognoz w 2100 r. będzie nas aż 65 mln! Pod warunkiem, że ściągniemy do Polski 50 mln migrantów z Afryki i Azji. O tym, jak wtedy będzie wyglądał nasz kraj, już za kilkadziesiąt lat przekonają się rodzące się (jeszcze) między Odrą i Bugiem dzieci. Póki co, cytując klasyka, „widzę ciemność”. I tylko gdzieś w tyle głowy słychać puentę refrenu znanego barda: „A mury rosną, rosną, rosną / Łańcuch kołysze się u nóg”.

PS Jest światelko w tunelu. Zablokowano aborcyjną antykoncepcję. Odsłonięto pomnik rzezi wołyńskiej. Zburzono monument przyjaźni polsko-radzieckiej. Cdn.?

Lech Makowiecki

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCICKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZKA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: A. WITKOR, W. OLSKI/KEAST NEWS 42, J. DOMINIK/REPORTER,
ANDREW LEYBOWITZ/STUTTEROCK 46

Tak doja państwo

Gigantyczne zarobki, luksusowe samochody i sprzęt elektroniczny, miliony wydawane na polityczne audyty oraz potężne konflikty interesów – tak żyją „fachowcy” koalicji 13 grudnia w państwowych spółkach. Ujawniamy zachłanność nominatów nowej władzy na publicznych posadach



MAREK PYZA

Ta scena powinna przejść do historii jako synteza rządów Donalda Tuska.

4 sierpnia 2023 r. w czasie kampanijnego spotkania lidera Platformy Obywatelskiej z mieszkańcami Ustronia do mikrofonu (trzymanego przez Monikę Wielichowską, dziś wicemar-

szalek Sejmu) podchodzi ok. 40-letni mężczyzna z serduszką KO na piersi. Przedstawia się jako Michał Dąbrowski, mówi, że jest tu z całą rodziną, melduje, że był na marszu w Warszawie. Opoowiada o tym, co „najbardziej nurtuje” jego bliskich – zadłużenie państwa. „Gigantyczne pieniądze przepływają poza



Michał Dąbrowski nie grzeszy skromnością i dbałością o publiczną kasę. Na wstępie zażyczył sobie zmiany auta. Wyleasingowane dla zarządu w 2023 r. audi A6 okazały się niewystarczające dla nowego prezesa, więc Agencja Rozwoju Przemysłu sięgnęła po model A8

budżetem państwa. Ona [wskazuje na córkę] ma dzisiaj dwa latka. W mojej ocenie, jak byśmy dzisiaj zaczęli spłacać te długi, o których się nie mówi, to ona będzie miała 62 lata, jak skończymy je spłacać.” Jego pytanie do Tuska brzmi: „Czy jest na to pomysł? Czy my możemy żyć w normalnym kraju, w którym nie

będziemy kombinowali, kiedy zmienia się jakie prawo, kiedy jaki podatek znowu wzrośnie i zamiast szukać innych, lepszych miejsc do życia, po prostu żyć tutaj normalnie i się cieszyć?”

Opisujemy ten występ tak dokładnie, bo troskę pana Dąbrowskiego o państwową kasę można łatwo zweryfiko-

wać. Ponadto dowodzi on, iż w systemie Tuska obywatel otrzymuje w pełni satysfakcjonujące rozwiązanie swoich bolączek i może wreszcie „żyć tutaj normalnie i się cieszyć”.

ZŁOTE A SKROMNE

Dziś Michał Dąbrowski stoi bowiem na czele Agencji Rozwoju Przemysłu, rządowej spółki o olbrzymim, liczącym w miliardach budżecie i dużym znaczeniu dla państwowej gospodarki. Tylko przez ostatnie pięć lat ARP udzieliła przedsiębiorstwom pożyczek na kwotę 2 mld zł. Zarządza dwiema specjalnymi strefami ekonomicznymi, sprawuje nadzór właścicielski nad kilkudziesięcioma innymi spółkami.

18 kwietnia odwołano dotychczasowy zarząd, a Dąbrowski został oddelegowany z funkcji wiceszefa rady nadzorczej ARP na stanowisko p.o. prezesa spółki zajmującej się restrukturyzacją i rozwojem przedsiębiorstw. Zgłosił się też do udziału w konkursie na prezesa zarządu i tak się złożyło, że 9 maja zwyciężył. W międzyczasie rada nadzorcza przygotowała dla niego miłą niespodziankę – 29 kwietnia przyjęła uchwałę podwyższającą wynagrodzenie kierownictwa: prezesa o 19 tys. zł (teraz zarabia 116 514,15 zł miesięcznie, a członków zarządu o 17 tys. zł (kosztują obecnie podatnika 100 978,93 zł każdego miesiąca razy trzy, bo jest ich trzech).

Dąbrowski nie grzeszy skromnością i dbałością o publiczną kasę. Na wstępie zażyczył sobie zmiany auta. Wyleasingowane dla zarządu w 2023 r. audi A6 okazały się niewystarczające dla nowego prezesa, więc Agencja sięgnęła po model A8. Nie udało nam się uzyskać z ARP odpowiedzi, kto użytkuje Maserati parkujące w podziemnym garażu gmachu dawnego KC i czy koszty tego pojazdu też pokrywa Agencja.

Szefostwo ARP jest ze Śląska, a w Warszawie musi gdzieś mieszkać. Dlatego rada nadzorcza przyznała mu dofinansowanie na wynajem luksusowego apartamentu – wszak to 10 tys. zł dla każdego członka zarządu. Zanim przyjęto tę uchwałę, prezes był zmuszony nocować w warszawskich hotelach, co miało kosztować Agencję kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Fot. Bańka Złoty/REPORTER

Dąbrowski z przypadkowego obywatela, który na spotkaniu z Tuskiem w Ustroniu lał krokodylę łzy nad zadłużeniem państwa, stał się opływającym w luksusy szefem państwowej spółki



Do tego dochodzi komfort technologiczny. Dąbrowski zażyczył sobie sprzętu IT: najlepszych modeli MacBooka, iPada, iPhone'a, kilkunastu ładowarek i innych akcesoriów. Całe zamówienie opiewało na 30 tys. zł.

Tak oto pan Michał Dąbrowski z przypadkowego obywatela, który na spotkaniu z Donaldem Tuskiem w Ustroniu lał krokodylę łzy nad zadłużeniem państwa, stał się opływającym w luksusy włodarzem jednej z kluczowych spółek instytucji w polskim przemyśle.

RODZINA I KOLEDZY TEŻ CHCĄ POŻYC

Pod rządami koalicji 13 grudnia ARP doświadczyła desantu ludzi ze Śląska powiązanych z poprzednim ministrem aktywów państwowych Borysem Budką, a skupionych wokół Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach. To istniejące ponad 30 lat zrzeszenie śląskich przedsiębiorstw, którego wiceprezesem był do kwietnia Michał Dąbrowski. Nie wiele później z zarządu RIG odeszła jego partnerka, z którą występował w Ustroniu, Katarzyna Borowiecka. Dziś jest ona dyrektorem działu marketingu w Totalizatorze Sportowym.

Tomasz Zjawiony, prezes RIG Katowice, został dyrektorem zarządzającym ds. bezpieczeństwa w ARP. Robert Smoliński, do niedawna wiceprezes katowickiej Izby, już jest dyrektorem zarządzającym ds. rozwoju w ARP. Maciej

Na co jeszcze lekką ręką wydaje pieniądze ARP? Jak twierdzą nasi informatorzy, już o 1 mln zł przekroczono zaplanowany na ten rok budżet na usługi prawne. Prezes Dąbrowski miał wpaść w szal audytów

Miasko, do niedawna wiceprezes RIG Katowice, został prezesem Fundacji ARP. Jego żona Marlena Miasko wciąż zasiada w zarządzie RIG w Katowicach.

Co za przypadek, że akurat we władzach tego zrzeszenia obrodziło wybitnymi fachowcami ds. przemysłu, niezastąpionymi w zarządzaniu miliardami ARP! A może ma to związek z politycznymi koneksjami na Śląsku?

Dąbrowski uchodzi za człowieka Budki. Żona byłego ministra, a dziś europosła, w ub.r. zarobiła w RIG blisko 50 tys. zł na umowie-zlecenie. Na początku czerwca, kilka dni przed eurowyborami, Budka otwierał też nową imprezę na Śląsku, Europejski Kongres Przemysłu i Energetyki „Industry In Transition”. Zorganizowała ją RIG w Katowicach, a hojnie sponsorowała Agencja Rozwoju Przemysłu. Z ARP przekazano na to wydarzenie 492 tys.

zł. (czyli spółka kierowana przez Dąbrowskiego przekazała prawie pół miliona zrzeszeniu, którego wiceprezesem była jeszcze wówczas życiowa partnerka prezesa). Drugie 0,5 mln (prawie, bez 29 tys. zł) poszło z Fundacji ARP (przypomnijmy – prezesem fundacji jest Maciej Miasko, a wiceprezesem RIG Marlena Miasko). Miało się to stać z naruszeniem statutu, który na tak duże wydatki każe uzyskać zgodę rady fundacji, a o to prezes nie zadbał. Kolejne pieniądze (nie wiadomo, jak duże) wyłożyli następni sponsorzy: Totalizator Sportowy (ten, w którym Katarzyna Borowiecka jest dyrektorem) oraz spółki zależne od ARP: Grupa CZH, Aranda, Grupa Przemysłowa Baltic, ARP Leasing, Fabryka Cegielski, Dozamel, Baltic Towers. Musiała się zebrać spora sumka.

Najważniejszą postacią na kongresie był Jerzy Buzek, nie wiedzieć czemu uhonorowany tytułem Inspiratora Roku 2024. Dodajmy, że szefem jego gabinetu jako europosła był Robert Smoliński, dziś dyrektor w ARP, a do kwietnia wiceprezes RIG.

Na co jeszcze lekką ręką wydaje pieniądze Agencja Rozwoju Przemysłu? Jak twierdzą nasi informatorzy, już o 1 mln zł przekroczono zaplanowany na ten rok budżet na usługi prawne. Prezes Dąbrowski miał wpaść w szal audytów i podpisać liczne zlecenia dla zaprzyjaźnionych kancelarii na znalezienie rzekomych nieprawidłowości w działaniu poprzedników. Jednym z dobrze opłaconych ekspertów (w obszarze ryzyk związanych z pomocą publiczną) został śląski prawnik Michał Szulik. Zupełnym przypadkiem jest on prezesem spółki Halsbury, w której udziały ma Michał Dąbrowski.

CZYSTKI

4 czerwca Wirtualna Polska napisała, że wstępne audyty w ARP wykazały, że za poprzedników odkryto w Agencji fikcyjne działy z osobami zatrudnionymi tuż przed wyborami, wysokie pensje, finansowanie wieców wyborczych polityków PiS z publicznych pieniędzy, niegospodarność i wydatki bez pokrycia. Powołując się na anonimowego informatora, serwis podał, że to dopiero początek sprzątnięcia stajni Augiasza w ARP. Tych

samych słów używał Borys Budka, czyniąc sprawę jednym z tematów końcówki swojej kampanii do europarlamentu.

Ta narracja ma służyć masowym politycznym czystkom w Agencji i spółkach zależnych. Dzień po wyborach Radio ZET ogłosiło, że wymiana kadr się zakończyła, a w całej grupie pracę straciło 700 osób. Powtórzyło tezy sprzed tygodnia z wp.pl, ale szybko zmuszone było opublikować sprostowanie. Do dziś pod tym (a także w innych mediach, np. w „DGP”) artykułem czytamy, że nieprawdą jest, iż w czasach rządów PiS w ARP SA tworzono fikcyjne etaty i zatrudniano na nich ludzi powiązanych z poprzednią władzą. Fundacja ARP finansowała aktywność jakichkolwiek polityków czy opłacała puste faktury na 100 tys. zł każda.

Ale działania „żelaznej miotły” Tuska są faktem. Dąbrowski nawet nie czekał na rozstrzygnięcie konkursu na prezesa i jeszcze jako p.o. zaczął zwalniać na potęgę. Zaczął od kierowców, ale szybko poleciały też głowy kadry menedżerskiej – dyrektorów, wicedyrektorów, również specjalistów. No i władz spółek zależnych.

– Każdy mógł się spodziewać, że go wyrzucą, niezależnie od tego, jak dobrze wykonywał swoją pracę i czy miał jakiekolwiek koneksje polityczne. Wdzieliśmy, jak zwalniają – bez żadnych rozmów, uzasadnienia, informowania bezpośrednich przełożonych. Kadrowa wręczała zaskoczonym pracownikom pisma z wypowiedzeniem, informacją o zlikwidowaniu jego stanowiska pracy albo utracie zaufania i niedotrzymaniu warunków zapisanych w umowie o pracę – np. dotyczących okresów wypowiedzenia czy odpraw. Koledzy słyszeli, że jeśli im się to nie podoba, to mogą iść do sądu pracy. Wiem o co najmniej pięciu osobach z dyrektorskich stanowisk, które już złożyły pozwy – opowiada nam jeden z menedżerów.

Inny dodaje: – Niektórym jako powód zwolnienia podawano „utrącenie zaufania”, ale jak mogło do tego dojść, skoro szefostwo spółki nawet nie poznało tych pracowników, bo nigdy z nimi się nie spotkało? Likwidacja stanowisk to też wytrych. Wystarczy zlikwidować Biuro Poprawy Efektywności czy Biuro Zarządzania Projektami, a w ich miejsce powołać Biuro Analiz Strategicznych

oraz Biuro Strategii i Rozwoju Projektów i mamy gotowy wehikuł do wyrzucania ludzi z roboty.

O komentarz do zarządzania ARP po zmianie władzy poprosiliśmy Mariusza Rusieckiego, byłego wiceprezesa spółki: – ARP przekształciła się z instytucji wspierającej rozwój polskiej gospodarki w narzędzie politycznych rozgrywek i osobistych interesów. Obecny zarząd wydaje się skoncentrowany głównie na zapewnieniu sobie

ARP przekształciła się z instytucji wspierającej rozwój polskiej gospodarki w narzędzie politycznych rozgrywek i osobistych interesów – mówi Mariusz Rusiecki, były wiceprezes spółki

luksusów, podczas gdy nikt tam już nie myśli o rozwoju firmy i interesie publicznym.

Jego zdaniem masowe zwolnienia w Agencji są wyraźnym przykładem zapowiedzianej politycznej zemsty: – Twierdzenia o nadmiernym zatrudnieniu brzmią jak kpina, ponieważ zwolnieni pracownicy są zastępowani nowymi, co tylko potwierdza, że celem jest polityczna wendeta, a nie rzeczywiste potrzeby Agencji. Związki z Regionalną Izbą Gospodarczą rodzą zaś poważne wątpliwości i obawy dotyczące konfliktu interesów. Prezes Dąbrowski, który nieustannie zapowiada zawiadomienia do prokuratury, powinien najpierw skoncentrować się na wyjaśnieniu powiązań i układów, które sam stworzył. Co więcej, mimo licznych zapowiedzi żadnego zawiadomienia jeszcze nie złożono, co sugeruje, że te zapowiedzi mogą być jedynie pretekstem do odmowy udzielenia absolutorium.

ARP nie odpowiedziała na nasze pytania o skalę zatrudnienia oraz zwol-

nień w pierwszych tygodniach pod nowym kierownictwem, wymianę aut dla zarządu czy konflikt interesów w związku z wydatkami na kongres RIG w Katowicach.

Zamiast tego napisano: „Po dyskusji z Panem Prezesem chcę poinformować, że choć cenimy stand up comedy, to niekoniecznie chcemy brać w tym udział. Zakres pytań oraz ich treść są dalekie od rzetelnego dziennikarstwa, aczkolwiek należy docenić znajomość włoskiej myśli technicznej. Pozostaje nam poinformować Pana, że – pozostając w konwencji dialogu pomiędzy nami – Pan Prezes jest w trakcie zakupu dwóch helikopterów oraz łodzi podwodnej, które zaparkuje na parkingu podziemnym. Oczywiście obok Maserati”.

Ocenę transparentności państwowej spółki pozostawiamy czytelnikom.

PRZYPADKOWY PREZES

W ub. tygodniu gruchnęła wiadomość, jakoby pompy paliwowe produkowane przez należącą do ARP WSK Poznań sp. z o.o. były przekazywane na Bliski Wschód i wykorzystywane w irańskich dronach Shahed, którymi Rosjanie atakują Ukrainę. Podana przez Radio ZET wieść rzucająca cień ciężkich podejrzeń na poprzednie władze Agencji szybko się rozeszła, ale była kompletnym fake newsem, co oświadczył nawet rzecznik warszawskiej prokuratury. Weźmy choćby fakt, że pompy są przeznaczone do silników diesla w ciągnikach rolniczych, a nie benzynowych, jakie posiadają irańskie drony. Ciężko by też było tę pompę upchnąć w Shahedzie, skoro waży ona aż 10 kg, a cały silnik bezzałogowca – 16 kg.

Takie oczywistości nie przeszkadzają jednak dziennikarzom w kolportowaniu wyssanych z palca doniesień. Złośliwi spekulują, że news o pompach miał być zasłoną dymną dla zainteresowania mediów sympatiami politycznymi Michała Dąbrowskiego przed kilku laty. W 2019 r. wpłacił on bowiem 3 tys. zł na kampanię wyborczą PiS do europarlamentu. Dziś wolalby do tego nie wracać.

Takich nieporadnych operacji wewnątrz ARP jest więcej. W Świętokrzyskiem legendą obrósł już proces nominacji na prezesa kluczowego zakładu

w regionie – Świętokrzyskiej Grupy Przemysłowej Industria (100 proc. udziałów ma w niej ARP). Jej poprzedni zarząd, czyli prezes Szczepan Rumana, w ciągu ostatniego roku podwoił przychody (do 194 mln zł) oraz zyski (do 15 mln zł). Miał duży wkład w dofinansowanie klubów sportowych, zwłaszcza kieleckich piłkarzy ręcznych z Industrii, najlepszej drużyny świata, która zmieniła nawet nazwę w ramach współpracy ze sponsorem. Rozpędził też inwestycję w elektrownię jądrową, na którą wszystkie poprzednie zgody wydały po zmianie rządów Ministerstwo Aktywów Państwowych, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Ta ostatnia instytucja 10 maja wydała decyzję zasadniczą. Ale projekt będzie realizować już ktoś inny, bo Rumana, kojarzonego z poprzednią ekipą, odwołano.

Skąd się wziął następca? To historia brzmiąca niewiarygodnie, lecz wśród tych fachowców niczego nie można wykluczyć. Oddajmy głos naszemu informatorowi z Kielecczyny: – Może pan nie uwierzy, ale to był kabaretowy przypadek. Grzegorz Bednarski, przykładowca AWF w Katowicach, były prezes paru spółek sportowych, m.in. GKS Tychy i Piasta Gliwice, po zmianie zarządu ARP miał zostać prezesem Industrii Kielce, tej od szczypiorniaka. Nie udało mu się. Po otwarciu kopert okazało się, że ktoś mu nieprecyzyjnie podpowiedział, do jakiego podmiotu ma złożyć dokumenty. Człowiek wystartował więc na stanowisko prezesa spółki górniczo-energetycznej zamiast na prezesa klubu piłki ręcznej. A że tańce wokół zmian w zarządach obserwował cały region, nie wchodziła w grę kompromitacja z odwołaniem konkursu. Tym bardziej że w konkursie do Grupy Przemysłowej nie wystartował żaden inny kandydat godny zaufania śląskiej ekipy. Poproszono Bednarskiego, aby zgodził się tymczasowo zostać prezesem spółki posiadającej kamieniołomy oraz realizującej projekt elektrowni jądrowej w technologii Rolls-Royce SMR. Ponoć obiecano mu, że w ciągu kilku miesięcy ta sprawa ma zostać jakoś odkręcona...

Dodajmy, że nowy zarząd Industrii się rozrósł – z jednoosobowego zamienił się w triumwirat.

ARP nie ma szczęścia do kadry menedżerskiej w czasie sprawowania władzy przez Platformę Obywatelską. Poprzednie rządy PO zakończyły się skandalem w Agencji. Wiosną 2016 r. CBA zatrzymało wiceprezes spółki Patrycję Z. z podejrzeniem korupcji. Długie śledztwo zakończyło się dopiero w lutym br., gdy prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia. Zarzuca Z. przyjęcie 240 tys. zł w gotówce, wyjazdu do Dubaju oraz Porsche i BMW X6 do dyspozycji w zamian za wynoszenie z ARP dla biznesmena Wojciecha W. informacji dotyczących inwestycji planowanych przez spółki publiczne. Na ławie oskarżonych za-

Będzie gruby skandal, bo to strategiczna spółka, w której zaledwie w parę tygodni wykonano potężny skok na kasę, ignorując regulaminy wewnętrzne oraz prawo zamówień publicznych – twierdzi nasz informator

siadają także m.in. wspomniany przedsięwzięcie oraz dyrektor Departamentu Projektów Własnych w Agencji.

Z naszych informacji wynika, że obecnym praktykom w ARP też przyglądają się służby. Czy sprawa może się zakończyć zatrzymaniami? – Do tego potrzebne jest zielone światło na najwyższym szczeblu. Będzie gruby skandal, bo to strategiczna spółka, w której zaledwie w parę tygodni wykonano potężny skok na kasę, ignorując regulaminy wewnętrzne oraz prawo zamówień publicznych – mówi nasz informator.

SKARBNIK UMIE LICZYĆ

W ilu państwowych spółkach tak właśnie wygląda Tuskowe „przywracanie normalności”? Wszystko wskazuje, że to niestety standard.

Bliźniacze opowieści do tych o czystkach i skoku na kasę w ARP dobiegają do nas od osób związanych z Bankiem Gospodarstwa Krajowego. 12 kwietnia Donald Tusk powołał na jego prezesa Mirosława Czekaja, czyli człowieka Rafała Trzaskowskiego, dotychczasowego skarbnika Warszawy i członka kilku rad nadzorczych stołecznych spółek. W zarządzie znaleźli się też m.in. Mateusz Szczurek (dawny minister finansów u Tuska, to akurat nieźle oceniana osoba do tej funkcji) czy Maciej Kliś, prawnik o międzynarodowym doświadczeniu, specjalizujący się m.in. w problematyce mobbingu i dyskryminacji w środowisku pracy.

Tego ostatniego powinny zatem zainteresować zdarzenia, które relacjonują nam osoby znające sytuację w BGK po zmianie władzy. Słyszymy historię zebrania w sali konferencyjnej kilku menedżerów wyższego szczebla i oznajmienia im w zastraszającym tonie, że mają się przyznać do nieprawidłowości, a jeśli nie, to one i tak zostaną wykryte. Pracowników zachęca się do donoszenia na siebie nawzajem, stworzono w tym celu nawet specjalną skrzynkę mailową.

BGK jako podmiot państwowy zarządzający gigantycznymi pieniędzmi (w samym 2023 r. wygenerował 356 mld zł wsparcia dla gospodarki) był poddawany wielokrotnym kontrolom, audytom. Nic nie znaleziono. „Afery PiS” w BGK miał więc wytropić Czekaj. Na razie efektów nie ma, a sam prezes ciężko pracuje, by jego następcy byli zmuszeni przyglądać się jego działaniom. Jego wynagrodzenie podstawowe wynosi 101 tys. zł brutto. Od tej kwoty płaci miesięcznie zaliczkę na podatek PIT w symbolicznej wysokości 100–200 zł. Odracza dzięki temu moment zapłaty daniny za dany rok i obraca pieniędzmi, które powinny co miesiąc trafiać do budżetu państwa oraz Warszawy. Były skarbnik stolicy co miesiąc pozbawia więc miasto ponad 12 tys. zł. To legalne, ale etycznie wątpliwe, zwłaszcza z CV pana prezesa.

Sielskie życie protegowanego Rafała Trzaskowskiego oraz jego zastępców

wyznaczają też dodatkowe korzyści: czterocyfrowe środki na wynajem mieszkania, BMW w garażu (dotychczasowe szkody superb okazały się za mało prestiżowe), nowy sprzęt elektroniczny oraz otoczenie się doradcami. Zamiast dwóch, jak było za poprzedniej władzy, jest ich ośmiu. Czterokrotnie miały też wzrosnąć ich wynagrodzenia.

Tak w praktyce wygląda realizacja konkretnego przedwyborczego Donalda Tuska – wymiana władz państwowych spółek według kryteriów kompetencji, a nie znajomości rodzinnych i partyjnych. Zapewne dlatego szefową zakładów zbrojeniowych Mesko została radna PO Renata Gruszczyńska, wcześniej prezes Zieleni Miejskiej, komendant Straży Miejskiej i wykładowca akademicki.

Pewnie dlatego Cezary Stypułkowski, dotychczas prezes mBanku, kredytującego działalność polityczną PO (tylko w ub.r. 25 mln zł pożyczki na kampanię wyborczą), został prezesem banku Pekao SA.

Pewnie dlatego do zarządu Fabryki Broni „Łucznik” trafił Daniel Wilk, prywatnie mąż szefowej radomskich struktur Platformy.

JAK W LATACH 90.

Na koniec wróćmy do kadr państwowych wykuwających się na spotkaniach wyborczych Donalda Tuska. Michał Dąbrowski nie jest bowiem jedynym z takim epizodem w karierze.

7 października, na ostatniej prostej kampanii parlamentarnej, lider PO jest na wiecu w Płocku. W pewnym momencie Monika Wielichowska informuje go, że z Zachodniopomorskiego przyjechali do niego leśnicy, by „wyrazić niezgodę na to, co się dzieje z lasami”. Panowie wchodzi na scenę, a jeden z nich, Witold Koss, czyta z kartki: „Większość leśników z Lasów Państwowych jest zastraszonych i sparaliżowanych widmem utraty pracy i mieszkania. [...] Środowisko leśników jest upolitycznione jak nigdy dotąd. Jest straszone cyklicznie prywatyzacją lasów”. Warto było. Pan Koss jest dziś dyrektorem generalnym Lasów Państwowych.

Co zaś do wiecu w Ustroniu, to warto odnotować istotną odpowiedź, której



Pod rządami koalicji 13 grudnia Agencja Rozwoju Przemysłu doświadczyła desantu ludzi ze Śląska powiązanych z Borysem Budką, a skupionych wokół Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach

Donald Tusk udzielił na pytanie Michała Dąbrowskiego o zadłużenie państwa. Najpierw było słodko i ciepło, bo podkreślił, że uroczą dwulatką, o której mówił Dąbrowski, wywołuje uśmiech na jego twarzy, nawiązał do własnych wnucząt, podziękował za serduszką (przyklejone również do sukienki dziewczynki). W stylu standupera rozwodził się nad miłością dziadków i wywołał gromką owację, prosząc seniorów o potwierdzenie. Co za człowiek, jak powiedział Stanisław Anioł o tow. Winnickim w pamiętnym serialu „Alternatywy 4”.

Po minucie Tusk wziął jednak do ręki karabin: „Rozumiem ból rodziców dzisiaj czy też babć i dziadków na myśl o tym, ile ciężarów tym naszym maleństwu nałożył PiS na następne dziesięciolecie”. „Niektórym będzie ciężiej, szczególnie jeśli PiS będzie dalej rządził”. „Pierwsze, co musimy zrobić, to pomóc ludziom odzyskać wiarę, że możliwa jest ta lepsza, normalna, rozsądna Polska [...]”.

Tyle zakłęb. A co z tym długiem? Zapamiętajmy tę wypowiedź, być może kwintesencję tego, co chce nam zafundować Tusk: „My sobie z tym długiem poradzimy. Naprawdę. Nie z takimi długami mój serdeczny przyjaciel, pierwszy premier po Mazowieckim, kiedy Wałęsa został prezydentem, Jan Krzysztof Bielecki, mój serdeczny przyjaciel z Gdańska został premierem. Wicie, jaki wtedy był potężny dług, ten jeszcze pogierkowski. Ale dobra polityka, dobre relacje z Zachodem, umorzenia, pewien spryt też i gospodarczy, i polityczny i wyszliśmy z tego”.

Przypomnijmy: Bielecki sprawował funkcję premiera niespełna rok. Ministrem pracy był wówczas kolejny przyjaciel Tuska, Michał Boni. Bezrobocie w tym czasie wzrosło z 6,6 proc. do 12,2 proc. W II miesiącu! Duża w tym zasługa guru Tuska, ministra finansów Leszka Balcerowicza, który na dekady stał się symbolem polskiej biedy, szalejącej inflacji, podnoszenia podatków, topniejących oszczędności, a wraz z Januszem Lewandowskim (następnym bliskim współpracownikiem premiera) symbolem oddawania całych sektorów gospodarki w obce ręce, wyprzedawania majątku narodowego, bankructw i likwidacji.

Czas, do którego z takim sentymentem odwołuje się Donald Tusk, był czasem ubóstwa, korupcji, panoszących się mafii, szarej strefy, rajem dla cwaniaków i nowej nomenklatury. Czyżbyśmy obserwowali właśnie ten sam „spryt gospodarczy i polityczny”?



Dlaczego Tusk nie zniszczy prawicy? Pięć przeszkód, które mu to uniemożliwią

Cel: całkowita anihilacja prawicy i wyeliminowanie jej przywódców z życia publicznego. Środki: aparat państwa, wsparcie z zagranicy, poparcie mediów głównego nurtu, agresja fanatycznych zwolenników. Finał: brak pewności sukcesu. Oto pięć przyczyn, dla których Donald Tusk ma małe szanse na zrealizowanie swojego planu



PIOTR GURSZTYN

Powiedzieć, że prawica jest świadoma zamiarów Tuska, to nic nie powiedzieć. Poczucie zagrożenia – łącznie z fizycznym, wiążącym się z wizją stosowania w skali masowej aresztów wydobywczych – jest nastrojem dominującym wśród ludzi

blisko związanych z prawicą. Nie tylko polityków.

„Nie da się nie zauważyć, że premier Tusk wprowadza tzw. nowe standardy, zatrzymując posłów i tak naprawdę robiąc z nagonki na PiS i z próby anihilacji Prawa i Sprawiedliwości swój program wyborczy. Na jego miejscu pamiętałbym jednak o tym, o czym mówił podczas pierwszego posiedzenia Sejmu prezydent Duda – że nie zawsze jest się władzą i opozycją, że za trzy lata role mogą się odwrócić i dziś tzw. nowe standardy, które wprowadza premier Tusk, mogą się obrócić przeciwko jemu i jego ludziom” – mówił prezydencki minister Marcin Mastalerek.

Ta przestroga ma szczególne znaczenie, bo wypowiedział ją człowiek prawicy, ale ostro skonfliktowany z Prawem i Sprawiedliwością, bardziej grający na siebie samego, niż przejmujący się losem całej formacji. Trzeba ją zatem potraktować jako diagnozę, a nie manifest polityczny.

Anihilacja ma kilka wymiarów. Jedno to marzenie najbardziej ekstremalnej części wyborców Koalicji Obywatelskiej, czyli sądowa delegalizacja Prawa i Sprawiedliwości jako partii politycznej. Drugi wymiar, także będący euforycznym pragnieniem wyborców Donalda Tuska, to uwięzienie odpowiednio dużej liczby

polityków PiS. Jest jeszcze trzeci wymiar, który stworzy ogromne problemy w funkcjonowaniu Zjednoczonej Prawicy, choć jej nie zniszczy. Mowa o zablokowaniu subwencji budżetowej. W tej chwili to kłopot, który niepokoi polityków prawicy. „Ma zapaść decyzja PKW co do subwencji dla Prawa i Sprawiedliwości. Obawiamy się tego, że cała ta gra jest sprowadzana do tego, żeby zabrać subwencję PiS, żeby uderzyć w PiS, w opozycję, żeby odebrać pieniądze na funkcjonowanie opozycji” – mówił w ub. tygodniu szef Klubu PiS Mariusz Błaszczak.

Utrata pieniędzy przez PiS będzie bolesna. To rzeczywiście dotkliwa sztywność, która zmieni reguły gry, bo zredukuje i tak ograniczone możliwości komunikacyjne Prawa i Sprawiedliwości.

To, że na to bardzo liczy obecna władza, wyszło z wywiadu Romana Giertycha udzielonego portalowi Gazeta.pl. Polityk po raz kolejny powtórzył w nim swą mantrę, że „PiS należy zdelegalizować”. „Co nigdy się nie wydarzy” – replikowała osoba przeprowadzająca wywiad. Na co Giertych: „Może nie, ale mogą stracić subwencję i dotację za robienie kampanii wyborczej z publicznych pieniędzy. Jeśli nie będą mieli pieniędzy, żeby oddać te środki, to na konto PiS wejdzie syndyk. Delegalizacja to nie będzie, ale syndyk zarządzający finansami PiS zamiast Kaczyńskiego to już krok w dobrą stronę”.

Giertycha należy tu traktować jako usta Donalda Tuska. Na pewno nie powie mniej na temat zamiarów niszczenia prawicy, niż mówi to główny pomysłodawca i prowodyr tego planu. Widać więc, że celem na dzisiaj jest odebranie subwencji. Z punktu widzenia Tuska ten zamysł ma jednak wady. Oczywiście mocno zaszkodzi PiS, ale nie doprowadzi do upadku partii. Może być nawet odwrotnie – odebranie subwencji (lub jej wstrzymanie pod jakimś pretekstem) stanie się przyczyną wzmożonej mobilizacji wyborców prawicy łącznie z zachęceniem ich do manifestacyjnych i hojnych wpłat na rzecz popieranej przez nich partii. Oznacza to, że sprawa subwencji to etap, a nie cel.

Z tym – czyli ostateczną eliminacją prawicy z życia politycznego w Polsce – będzie jednak dużo trudniej, niż zdaje się największym klakierom Tuska i Giertycha. Dlaczego?

1

Powód pierwszy to sam Donald Tusk. To on sprawił, że wszystko wisi na nim i zależy od niego. Jego mizantropia sprawia, że *de facto* jest sam. Najbliżsi zaufani współpracownicy to osoby formatu Pawła Grasia czy Agnieszki Rucińskiej. Są dworzanami, a nie politykami zdolnymi do samodzielnego działania. Oraz oczywiście Roman Giertych, bardzo przydatny w działaniach taktycznych, ale będący obciążeniem w perspektywie długoplanej strategii. Dyrygowani przez Giertycha internetowi hejterzy zachowują się jak małpy z brzytwami. Walą na oślep i częściej zajmują się tropieniem domniemyanych zdrajców po stronie antypisowskiej niż walką z rzeczywistą konkurencją polityczną. Oczywiście Tusk w każdej chwili może odstrzelić Giertycha, ale hunwejbini spod znaku Silnych Razem nadal będą aktywni i swym fanatyzmem oraz nadgorliwością przyniosą mu więcej szkody niż pożytku.

Tusk nie jest szczęśliwy z tego powodu, że musi być premierem. Sam zapowiadał, że widzi swą misję zamiatacza żelazną miotłą jedynie na kilkanaście miesięcy. To się przedłuży, bo za sprawą reelekcji Ursuli von der Leyen stracił możliwość powrotu do ukochanej Brukseli. Zwróćmy uwagę, że mimo swej ponadprzeciętnej zamożności Tusk nie posiada w Polsce żadnych nieruchomości. Pod tym względem jest chyba wyjątkiem wśród polskich polityków. Teraz prezydentura daje mu szansę na ucieczkę ze stanowiska szefa rządu. Ale jeśli ją wygra – co byłoby jego wielkim osobistym sukcesem – straci większą część wpływu na rzeczywistość. Tylko jako premier ma dość władzy, aby wymuszać na podwładnych bezwzględność i przekraczanie granic prawa. Z pałacu prezydenckiego nie będzie mógł też rządzić ani koalicją, ani nawet własnym

ugrupowaniem. A w obu przypadkach mamy do czynienia z niezbyt spójnymi bytami, więc zobaczymy zupełnie otwarte walki między różnymi środowiskami i frakcjami. Będą one bardziej zajęte tym niż „rozliczaniem PiS”, a co gorsza mogą szukać na prawicy dożącego wsparcia w walce z wrogimi frakcjami.

2

Wybory prezydenckie to dodatkowy, osobny powód. Nawet niezależnie od tego, czy prawica je wygra, czy przegra. W tym drugim przypadku będzie to zależało od stylu, w jakim to się zdarzy. Jeśli PiS wystawi nowego Andrzeja Dudę, ma ogromne szanse na wygraną. Pierwowzór, czyli obecny prezydent, w chwili startu liczył 43 lata. Jego konkurent był starszy od niego o 20. Teraz może być podobnie. Prawu i Sprawiedliwości nie brakuje energicznych 40-latków „walczaków”. Któryś z nich stanie naprzeciw prawie 70-letniego Tuska, kandydata obciążonego ogromnym negatywnym elektoratem, wieloma niepopularnymi decyzjami, które podjął i obciążającymi go spektakularnymi zaniechaniami.

„Wątpię też w to, czy Nowogrodzkiej uda się znaleźć polityka, który nie był w żaden sposób związany z rządami PiS. Kogoś, kto nie brał odpowiedzialności za wszystko, co działo się przez osiem lat” – mówił w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Rafał Trzaskowski. Jego słowa świadczą o wierze we własną propagandę. Prezydent Warszawy jest przekonany, że on lub Tusk – z całym obciążającym ich bagażem – zostaną lepiej ocenieni przez ogół wyborców niż młody kandydat prawicy, na którego jedynym hakiem będzie przynależność do PiS.

Kampania prezydencka uruchomi nową dynamikę w polityce. Oczywiście przegrana kandydata PiS dużą różnicą głosów, a już szczególnie niezakwalifikowanie się do drugiej tury, byłaby katastrofą. Ale przegrana minimalna nie pograży prawicy. Tu zadziała analogia z przegraną Trzaskowskiego w 2020 r. – wynik niemal lew w lew był impulsem dla przeciwników PiS.

3

Kolejnym powodem są dwie pozornie różne sprawy – klapa z zatrzymaniem Marcina Romanowskiego i kompromitacja Tuska, który przyznał się do utracenia kandydatury Tomasza Szatkowskiego. Obie ukazały niekompetencję i brak rozsądku premiera ludziom, którzy go popierają, a przynajmniej nie znoszą PiS.

Sprawa Romanowskiego skłania do ostrożności szczególnie środowiska prawnicze. Nie nawykły one do wojowania z instytucjami z wyidealizowanego przez nich Zachodu. Powszechna elitach kompradorska mentalność tym razem działa na niekorzyść Tuska. On i jego ekipa będą musieli brutalniej manipulować składami sędziowskimi, aby dopełnić zemsty.

Był to też znak, że nawet „praworządna” część świata prawniczego może ponieść konsekwencje za łamanie norm prawnych. Charakterystyczny był w tym kontekście występ Ryszarda Kalisza w TVN24 w roli członka Państwowej Komisji Wyborczej. Tłumaczył on, dlaczego odebranie subwencji finansowej PiS nie ma mocnych podstaw prawnych.

„Nie bronię Komitetu Wyborczego PiS. Bronię prawa” – wyl się i przerzucał odpowiedzialność na innych, mówiąc, że „niektóre urzędy potraktowały pytania PKW niepoważnie”. Jak to czytać? Otóż Kalisz, prawnik i doświadczony polityk, wie doskonale, jakie mogą go czekać konsekwencje za uleganie naciskom w sprawie subwencji dla PiS. Członkowie PKW nie są sędziami ani posłami i nie mają żadnego immunitetu.

Do tego dochodzi sprawa Szatkowskiego. Okazało się, że jego kandydatura na jednego wiceszefów NATO miała oficjalne wsparcie szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza, a po cichu kibicował jej Radosław Sikorski (a przynajmniej nie zwalczał). Obaj nie poparli Tuska w jego atakach na Szatkowskiego. Wiadomo też, że wcześniej Sikorski nie wyrwał się do masowej „eksterminacji” ambasadorów nominowanych przez rząd PiS. Chciał dogadywać się z prezydentem. To znak, że wielu ostrych przeciwników Prawa i Sprawiedliwości chce jednak „brać jeńców” w nadziei, że

jeśli kiedyś losy się odwrócą, PiS będzie się zachowywało umiarkowanie. Tusk musi ich poganiać do przekraczania dotychczas przyjętych granic w walce między ugrupowaniami politycznymi.

4

Powód czwarty to biologia, czyli daty urodzenia. Dzisiaj w Polsce wszystko jest możliwe łącznie z wariantem białoruskim, czyli masowymi aresztami polityków opozycyjnych. Oznaką tego jest wniosek Adama Bodnara o uchy-

Marzeniem najbardziej ekstremalnej części wyborców Koalicji Obywatelskiej jest sądowa delegalizacja Prawa i Sprawiedliwości jako partii politycznej

lenie immunitetu Michała Dworczyka. Przypomnijmy, że to poszkodowany w sprawie włamania na jego skrytkę mailową, a nie podejrzany. Trzeba zakładać, że Tusk będzie łamał opór wahających się urzędników, prokuratorów oraz sędziów. Ale Dworczyk ma 49 lat. W polityce to niedużo. Na jak długo Tusk może wsadzić go do więzienia? Nie na tyle, aby Dworczyk (lub inni politycy PiS z jego generacji) spędził za kratami resztę swego życia. Ludzie tacy jak on wyjdą na wolność w aurze męczenników, a ekipa Tuska przejdzie do historii jako polska wersja putinizmu.

PiS ma w swych szeregach wielu sprawnych 40- i 30-latków. Ludzie tacy jak Zbigniew Bogucki, Waldemar Buda, Andrzej Śliwka, Piotr Mueller, Kacper Płażyński, Dominik Tarczyński i sporo innych stali się w tej kadencji frontmanami PiS. I dobrze wypadają w tej roli, co widać było w trzech komisjach śledczych. Mimo wyłączenia mikrofonów i wykluczania ich przez sejmową większość radzili sobie lepiej niż ich przeciwnicy ze strony rzą-

dowej. Jak się okazało, młodzi z PiS byli sprawniejsi niż ich rówieśnicy z KO.

W 190-osobowym klubie PiS jest 51 posłów urodzonych w latach 80. i 90. (to niemal trzy razy tyle, ile liczy cały klub Konfederacji). Wszystkich ich Tusk nie posadzi, a ponieważ trudne czasy wylaniają twardych ludzi, może się okazać, że prawica powróci w innej formie, z innymi liderami, ale zdecydowaną wolą odpłaty za łukaszenkowskie metody premiera.

5

Powód ostatni, ale być może najważniejszy. To przyczyny, które można nazwać strukturalnymi. Liberalizm, zwłaszcza w Tuskowej wersji, ma wielką zdolność stwarzania niezadowolonych społecznych i nowych przeciwników. W czasach PRL mówiono, że socjalizm rozwiązuje problemy, które sam stworzył. Dzisiejszy liberalizm nawet nie stara się rozwiązywać wywoływanych przez siebie problemów. Mowa o niewydajnej polityce gospodarczej, co łączy się z masowymi zwolnieniami, likwidacją zakładów pracy, spadającymi wpływami budżetowymi, niepewną przyszłością programów socjalnych. A także o całkowitym braku oporu wobec szalonych pomysłów eurokratów oraz wygaszaniu projektów infrastrukturalnych, co jest odbierane jako uległość wobec Niemiec.

Platforma ma słaby słuch społeczny. Uważa, że dzięki wsparciu silnych mediów i swojemu PR-owi powyższe okoliczności nie będą problemem. Zresztą, gdy się z nimi styka, „ripostuje”, że to pisowska propaganda.

Oczywiście ekipa Tuska ma ogromne zdolności odwracania uwagi od zasadniczych problemów za pomocą tego, co eufemistycznie jest nazywane rozbudzaniem polaryzacji nastrojów. Ta metoda ma jednak tę wadę, że wymaga ciągłej eskalacji. Co będzie na jej końcu? Masowe zamykanie oponentów w aresztach wydobywczych? Kneblowanie prawniczych mediów? Wszystko jest możliwe, ale stanowi słabą gwarancję utrzymania władzy. Trawestując znane powiedzenie – policyjną pałką można zdobyć władzę, ale trudno na niej usiąść.

Święte oburzenie



Co złego jest w treściach prezentowanych na stadionie Legii? Odpowiedź jest prosta: kibicom, często zwykłym, prostym ludziom, w przeciwieństwie do liberalnych elit zależy na własnym kraju. Jednak za taką postawę grozi dzisiaj kara

Fot. Wojciech Okrusnik/East News



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kibice Legii Warszawa podobnie jak sympatycy wielu innych klubów już od dawna słyną z efektownych opraw, na których wyrażają swój stosunek do różnych kwestii, niekoniecznie piłkarskich. W poprzednią sobotę, 19 lipca, podczas meczu z Zagłębiem Lubin odnieśli się do budzącego powszechną obawę problemu z relokacją imigrantów. Zrobili to oczywiście na własny, kibicowski sposób – szyderczo i bardzo niepoprawnie politycznie.

Oprawa przedstawiała trzy postacie: dwóch mężczyzn i kobietę. Jeden z mężczyzn trzymał kij bejsbolowy, drugi młotek, kobieta zaś miała w rękach głowę świni – zwierzęcia uważanego przez muzułmanów za nieczyste. Całość była opatrzona angielskim napisem: „Witajcie uchodźcy!” Przekaz był oczywisty dla każdego: imigranci nie są mile widziani.

Można oczywiście dyskutować nad tym, czy forma oprawy była zbyt ostra (do tego wątku jeszcze wrócimy), ale jej treść nie powinna budzić szczególnych kontrowersji. Trudno bowiem polemizować z nastrojami społecznymi, które – co potwierdza większość badań opinii publicznej – są zdecydowanie nieprzychylnie przyjmowaniu imigrantów.

Dla obecnej władzy temat relokacji imigrantów jest wyjątkowo niewygodny. Nic dziwnego, skoro rząd nie jest w stanie uchronić Polski przed nielegalną imigracją, a w interesie każdego dnia pojawiają się filmy i zdjęcia z zachodniej granicy, na których niemiecka policja przerzuca na naszą stronę egzotycznych przybyszów z dalekiego świata.

Dla rządu najlepiej jest więc spuścić na kwestię relokacji zasłonę milczenia lub ją zakrzyczeć. W przypadku oprawy kibiców Legii zdecydowano się na krzyk oburzenia. Przy czym nie chodzi tu o reakcję obronną – wszystko wskazuje bowiem na to, że ekipa Tuska zamierza pójść znacznie dalej. W tej chwili uderza w środowiska kibiców, ale jej długofalowym celem jest ucięcie jakiegokolwiek krytyki pod swoim adresem.

HIPOKRYCI

Szczególnie gorliwymi sojusznikami rządu w jego walce z kibicami okazały się – jak zawsze – wspierające go liberalne media. Nie zabrakło też różnej maści otumanionych celebrytów oraz postępowych aktywistów, zawsze chętnych do wpuszczania imigrantów i goszczenia ich w polskich domach (oczywiście nie w swoich).

I tak zdaniem „Gazety Wyborczej” oprawa Legii była „szokująca”, dla odmiany TVN24 nazwał ją „skandaliczną” i „niepokojącą”. Należący do niemieckiego wydawcy „Przegląd Sportowy” stwierdził, że kibice stołecznego klubu pokazali „skrajnie nietolerancyjną postawę”, a ich

Oprawy kibiców to rodzaj współczesnej, nieco plebejskiej agory, która jest odzwierciedleniem nastrojów sporej liczby Polaków. Zwłaszcza teraz, gdy rząd Tuska lekceważy głosy wielu z nich

oprawa wywołała „burzę” i „skrajne emocje”. Tym emocjom dali też natchmian wyraz politycy obecnej koalicji. „To jest czyste zło, to jest polityka nienawiści” – piekł się na antenie Polsat News Michał Szczerba. Sekundowała mu Magdalena Biejat. „Jest to przekaz godny potępienia. Mówi wprost, że nie będziemy witać uchodźców, co jest wbrew zasadom polskiej gościnności. To jest nieakceptowalne” – stwierdziła.

Znakiem czasów jest, że w sukurs postępowej „marszałkini” Senatu natchmian przyszedł jezuita Łukasz Sośniak, który na portalu Deon.pl opublikował dłuższą analizę zgodności oprawy Legii z polską tradycją. Podob-

nie jak pani Biejat uznał on, że prezentacja kibiców jest „szyderstwem z polskiej gościnności, która od wieków nakazuje witać przybyszów chlebem i solą”. Jak ocenił, oprawa „nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem” i stanowi jego „zaprzeczenie”, a na końcu swojego wywodu uderzył w najwyższe tony i przestrzegł przed powtórką z Holocaustu.

Obawę przed masowymi pogromami – tym razem kobiet – wyraziła także Dorota Spyrka, lewicowa radna warszawskiej Pragi Południe. „Biali mężczyźni straszą, że »przyjadą migranci i zrobią kobietom piekło«. Ci sami biali mężczyźni [...] wysłali mi już ponad 100 wiadomości z życzeniami gwałtu i śmierci. Pracuję czasem z migrantami jako tłumaczka i od żadnego nie zaznałam takiej krzywdy jak od Was” – pożałowała się na platformie X (d. Twitter).

Najbardziej irytujące były jednak głosy „niezaangażowanych politycznie” publicystów, którzy z gracją prowincjonalnej hrabiny wyrażali swój moralny i estetyczny sprzeciw wobec zachowania kibiców. Ich nazwiska kurtuazyjnie pominę, kto chce, może sprawdzić na platformie X. Jakoś nie pamiętam podobnego oburzenia tych samych osób, gdy wylewano wiadra pomoy na katolików lub „motłoch popierający PiS”. Oburzyli się dopiero wtedy, gdy poszło o imigrantów. Ten rodzaj hipokryzji jest szczególnie odpychający.

Można oczywiście – wracam do wcześniejszego wątku – odrzucać zbyt dosadną symbolikę oprawy czy często wulgarny język warszawskiej Żyły. To jest jednak specyfika tego miejsca, a zasiadający tam ultrasi Legii nie należą przecież do grzecznych młodzieńców z grodzonych osiedli. Równie dobrze można oburzać się na pilota myśliwca, że jego samolot robi hałas, albo na Donalda Tuska, że nie mówi prawdy. To znaczy oburzać się można, tyle że będzie to nieskuteczne.

Nie chodzi więc o oburzenie, ale o hipokryzję. Bo gdy Marta Lempart wyzywa ludzi od „ch...ów” i każe im „wyp...dalać”, jakoś nie razi to nikogo z naszych liberalnych wrażliwców. Nie

jest to dla nich „szokujące” ani „skandaliczne”. Nie razi też ich nazywanie żołnierzy „śmieciami” (Frasyniuk), a prymitywne bluzgi Barbary Kurdej-Szatan uchodzą w ich wrażliwych uszach za krzyk sprzeciwu. W pełni usprawiedliwiona jest również Krystyna Janda, która za czasów PiS czuła, że ktoś ciągle na nią „sra”, oraz jej były mąż Andrzej Seweryn domagający się, aby „przyp...dolić” ludziom o poglądach innych niż on. Ordynarne słownictwo, pospolite chamstwo i nawoływanie do przemocy jest więc w oczach liberalistów i postępowców całkowicie uzasadnione, o ile uderza w ich rywali. Ci z kolei nie mają prawa do podobnej ekspresji i nie mogą się bronić, bo natychmiast zostanie to uznane za „mowę nienawiści”.

PĘD DO CENZURY

Wydarzenia na stadionie Legii stały się wygodnym pretekstem do uderzenia w wolność słowa. Ma temu służyć przygotowywana przez rząd ustawa przeciwko mowie nienawiści. Pod to celowo nieostre pojęcie można właściwie podciągnąć wszystko. A skoro w zespole pracującym nad ustawą znajdują się takie tuzy, jak Michał Bilewicz, można być pewnym, że jej celem będzie ideologiczna cenzura życia publicznego, podobna do tej, z jaką mamy już do czynienia w wielu państwach tzw. demokratycznych Zachodu.

„Celem tych przepisów jest wprowadzenie odpowiedzialności karnej za niestosowanie przepisów, które stanowią o nienawoływaniu do nienawiści ze względu, chociażby na orientację seksualną” – mówił w ostatni wtorek w radiu RMF FM minister sprawiedliwości Adam Bodnar. W tłumaczeniu na zrozumiały język chodzi o to, że za niewłaściwe poglądy wkrótce będzie można trafić za kraty. Bodnar dał zresztą do zrozumienia, że gdyby dziś obowiązywały przepisy o mowie nienawiści, to kibice Legii prawdopodobnie byliby ścigani karnie. „Uważam, że w przestrzeni publicznej tego typu zdarzenia się nie powinny pojawiać. Powinniśmy tworzyć przestrzeń

wolną od dyskryminacji” – stwierdził minister.

Pojęcie dyskryminacji jest tu rozumiane bardzo specyficznie – otóż jej sprawcami mogą być wyłącznie przeciwnicy polityczni pana ministra oraz środowiska ideowego, które reprezentuje. Nie słyhać bowiem z jego strony żadnych uwag wobec np. Marty Lempart oraz antykatolickich oszołomów z jej sekty. Oni przecież nikogo nie dyskryminują, tylko w pełni korzystają z zagwarantowanej konstytucją wolności słowa. Za to ci, którzy stoją po drugiej stronie politycznej barykady, zostają pozbawieni części przysługujących im praw. Stają się obywatelami drugiej kategorii. Tutaj jednak Adam Bodnar nie dostrzega dyskryminacji.

Gdy Marta Lempart wyzywa ludzi od „ch...ów” i każe im „wyp...dalać”, jakoś nie razi to nikogo z naszych liberalnych wrażliwców. Nie jest to dla nich „szokujące” ani „skandaliczne”

Nic w tym dziwnego, bo przecież taki jest plan Tuska i jego ekipy. Jeszcze raz trzeba to podkreślić: nie chodzi wyłącznie o kibiców, ale o każdego, kto mógłby zagrozić obecnej władzy. O nieliczne już niezależne instytucje, o antyrządowe media. Poglądy krytyczne wobec obecnej rzeczywistości nadal będzie można mieć, ale wyłącznie w domu. Otwartym krytykom będą bowiem grozić konsekwencje karne. Niewiele to ma wspólnego z wolnością słowa, demokracją i konstytucyjnymi prawami obywateli.

KARA ZA PATRIOTYZM

Oprawy kibiców są być może szorstką, ale jednak w pełni dopuszczalną formą wyrażania opinii w de-

mokratycznym państwie. To rodzaj współczesnej, nieco plebejskiej agory, która jest dobrym odzwierciedleniem nastrojów całkiem pokaznej liczby Polaków. Zwłaszcza teraz, gdy rząd Tuska lekceważy głosy wielu z nich. Z prezentowanymi na stadionach treściami się można nie zgadzać, można z nimi polemizować, ale w żadnym razie nie powinno się ich zakazywać.

Przyjrzyjmy się więc tym „groźnym” treściom, które, zdaniem środowisk liberalnych, są niedopuszczalne i powinny być karane więzieniem. W maju wybuchła wielka wrzawa o to, że na Legii pojawił się banner „Trzaskowski, łapy precz od krzyża”. Chodziło o pomysł prezydenta Warszawy, aby usunąć z budynku ratusza i innych miejskich urzędów symbole chrześcijańskie. Wielokrotnie pojawiały się oprawy z okazji kolejnych rocznic powstania warszawskiego. Przykładowo w 2021 r. oglądaliśmy wielką powstańczą kotwicę z podpisem po angielsku „Nigdy nie zapomnimy”, a w 2017 r. „kontrowersje” wzbudziła oprawa przedstawiająca niemieckiego żołnierza z pistoletem wycelowanym w głowę polskiego dziecka i opatrzona informacją – również po angielsku – że podczas powstania Niemcy zabili 160 tys. Polaków, wśród których było wiele dzieci. Wreszcie po wybuchu wojny na Ukrainie kibice Legii pokazali Putina powieszzonego na sznurze. Nie przeszkodziło to jednak Tomaszowi Lisowi wyrazić wyjątkowo głupiej – nawet jak na niego – opinii, że „co druga kibolska oprawa na Legii wygląda na robioną na obstalunek ruskiej onucy. Większość idealnie pasuje do propagandowych celów Moskwy”.

Co złego jest w treściach prezentowanych na stadionie Legii? Odpowiedź jest prosta: kibicom, często zwykłym, prostym ludziom, w przeciwieństwie do liberalnych elit zależy na własnym kraju. Oni nie wstydzą się swojego pochodzenia i nie czapkują zagranicznym protektorom. Jednak za taką postawę grozi dzisiaj kara.

Rozłam w Trzeciej Drodze, który nastąpił w sejmowym głosowaniu nad swobodą aborcyjną, sprawił, że stronnictwo prezesa Władysława Kosiniaka-Kamysza znalazło się woku politycznego cyklonu. Trudno się temu dziwić. Już przecież sam fakt, że dwie partyjne frakcje sojuszu Trzeciej Drogi obrały dwie radykalnie sprzeczne strategie postępowania w tak doniosłej dziś dla życia publicznego kwestii, jest wystarczająco spektakularny.

Jak wiadomo, Szymon Hołownia nie tylko sam poparł w tym głosowaniu *de facto* pełną swobodę aborcyjną, lecz także zaprowadził partyjną dyscyplinę w swojej części Trzeciej Drogi, działając w ten sposób zgodnie z wyraźnie sformułowanym oczekiwaniem szefa rządu. Prawdę mówiąc, całkowita uległość Hołowni wobec żądań Donalda Tuska mogła wydać się pewną niespodzianką, zwłaszcza, że marszałek Sejmu to w końcu nie kto inny, jak przez długie lata tzw. dziennikarz katolicki.

Ów rozłam pomiędzy dwoma liderami Trzeciej Drogi, którzy jeszcze niedawno niemal każdego dnia lubili manifestować niezwykłą „chemię pomiędzy Władkiem i Szymonem”, to jedna część politycznego problemu tego sejmowego głosowania.

PORAŻKA TUSKA

Druga to faktyczna próba sił pomiędzy premierem i jego zastępcą w sprawie, która miała kolosalne polityczne znaczenie dla obydwu, choć nie z takich samych powodów. Już jakiś czas temu Tusk zdecydował się na przyjęcie postępowej agendy światopoglądowej jako kluczowej części własnych planów politycznych. A uczynił to z dwóch powodów: *primo* – taktycznych, aby wchłonąć postępowy elektorat lewicy; *secundo* – aby wykazać się przed zachodnimi partnerami, iż w Polsce, stereotypowo uznawanej w świecie za kraj konserwatywny, potrafi przeforsować

kluczowe elementy globalnej agendy obozu postępowców.

Kosiniak-Kamysz sprawił jednak, że tym razem Tusk spektakularnie przegrał, co nie tylko pogmatwało mu relacje z własnymi postępowymi wybor-

Tuska do władzy poważna wątpliwość, czy polski premier rzeczywiście jest wystarczająco sprawny i silny, aby złamać katolicko-konserwatywny opór w Polsce. Z obu tych powodów porażka zafundowana Tuskowi przez Kosiniaka-

Kamysza jest zatem politycznie dotkliwa. Można zakładać, że zwłaszcza teraz, gdy francuski prezydent wprowadził do konstytucji swobodę aborcyjną jako prawo kardynalne, a w Ameryce czołowa aborcjonistka powalczy w listopadzie o zdobycie prezydentury USA, Tusk nie pogodzi się z tą porażką i będzie podejmować starania o jej odwrócenie. A więc krnąbrność Kosiniaka-Kamysza nadal będzie stanowić dlań spory problem.

„CZARNY PIOTRUŚ”

Cała wcześniejsza praca Kosiniaka-Kamysza w dwóch kolejnych rządach Tuska nie wskazywała raczej na taką krnąbrność lidera ludowców. Wobec premiera zachowywał on zazwyczaj postawę posłuszeństwa i uległości, a na rozkaz szefa gabinetu podejmował się nawet misji tak dlań niewygodnych, jak choćby niepopularna reforma wieku emerytalnego. Co więcej, wiadomo, że Kosiniak-Kamysz jest z charakteru politykiem niezbyt dobrze czującym się w warunkach ostrych konfliktów, o czym świadczą choćby nieustannie wygłaszane przezeń pochwały cnoty umiarkowania i centrowego stylu uprawiania polityki.

Ale od czasu jego ówczesnej pracy dla Tuska coś się musiało zmienić.

Nie jest do końca jasne, czy to na zbyt daleko idąca skłonność Tuska do koniunkturalnego forsowania, wzorem zachodnich polityków, postępowej agendy w Polsce, wyzwoliła w Kosiniaku-Kamyszu tę nową w jego przypadku polityczną krnąbrność. A może zbyt szybko postępująca globalna rewolta kulturowo-obyczajowa zdała się ministrowi, katolikowi, czymś, wobec czego owa krnąbrność stała się zdroworozsądkową koniecznością?

Nowa krnąbrność Kosiniaka-Kamysza

Kosiniak-Kamysz sprawił, że Tusk spektakularnie przegrał, co nie tylko pogmatwało mu relacje z własnymi postępowymi wyborcami. Ta porażka została odnotowana na Zachodzie, gdzie pojawiła się poważna wątpliwość, czy polski premier rzeczywiście jest wystarczająco sprawny i silny, aby złamać katolicko-konserwatywny opór w Polsce



JAN ROKITA

cami i dało nowe pole działania Lewicy. Porażka w materii tak pierwszorzędnej dla globalnego obozu postępowców została bowiem odnotowana na Zachodzie jako pierwsza od grudniowego powrotu



W każdym razie właśnie w ten sposób dwaj liderzy Trzeciej Drogi zyskali wyrazisty, ale całkiem odmienny polityczny wizerunek. Hołownia – układnego i posłusznego wykonawcy dyktaw Tuska, zwłaszcza w kluczowej dziś sferze ideologii, zaś Kosiniak-Kamysz – „czarnego Piotrusia”, który będzie rzucać premierowi kłody pod nogi. A że chodzi tu nie tylko o spójność obozu rządowego i uległość wobec Tuska, lecz także o kluczowy spór ideologiczny, Kosiniak-Kamysz niemal z dnia na dzień stał się chłopcem do bicia wszystkich zaciekłych postępówcom.

W lewicowej „Krytyce Politycznej” obwieszczono „przechrzył Kosiniaka w stronę autorytarnego konserwatyzmu”, co wyklucza go jako sojusznika z „obozu demokratycznego”, a zwiastuje narodziny jakiegoś małego polskiego Farage’a albo Bardelli. Z kolei „Gazeta Wyborcza” doszła do wniosku, że „w III RP żadne demokratyczne stronnictwo nie głosiło jawnie tak bezbrzeżnej

pogardy wobec kobiet” jak właśnie PSL pod wodzą Kosiniaka.

Sam lider ludowców skarży się teraz w audycji radiowej, że pod siedzibami jego partii trwają wrogie demonstracje, a biura poselskie są oblewane czerwoną farbą. Przy czym Kosiniak-Kamysza najbardziej oburza fakt, iż politycy obozu rządowego, w tym – jak twierdzi – posłowie Platformy, przyjmują to z satysfakcją. Prawdę mówiąc, oburzenie szefa ludowców jest w tym przypadku słabo uzasadnione. W końcu to przecież on sam zdecydował się wystąpić w roli sprawcy kto wie, czy nie najpoważniejszej jak dotąd politycznej porażki Tuska jako premiera. I to w takich okolicznościach, kiedy nagle zaczęły się sypać oba fundamentalne filary, na których premier osadził misję swojego rządu: rozbijanie PiS za pomocą sankcji karnych, czego sprawnie nie umie zrobić minister sprawiedliwości, oraz postępową rewoltą obyczajową, którą właśnie przyblokował minister obrony narodowej.

REKAWICA RZUCONA POSTĘPÓWCOM

Dopiero na tym tle widać polityczne znaczenie innych, coraz liczniejszych kłopotów, które Tuskowi sprawia teraz krnąbrny Kosiniak-Kamysz. Lider PSL dopiero co krytykował politykę historyczną nowego rządu, a to w związku z relegowaniem z gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej figur katolickich bohaterów i świętych – Ulmów i o. Kolbego. Co prawda w tym przypadku Tusk oportunistycznie zszedł z linii konfliktu ze swoim zastępcą, nie ganiąc ani postawy Kosiniaka-Kamysza, ani gdańskich postępówcom muzealników. Ale prorządowe media nie miały wątpliwości. Czołowy analityk „Wyborczej” zakwalifikował wicepremiera jako „kacyka narodowej partii, który przyznaje sobie prawo do ingerowania w treści przedstawiane przez autonomiczną instytucję kultury”, stawiając go na równi z byłym ministrem Czarnkiem. A trzeba pamiętać,

że w żargonie postępowców uznanie za „narodowca” jest jednym z najwyższych stopni ideologicznego obrzydzenia.

Co prawda w tej sprawie wygląda na to, iż Kosiniak-Kamysz zadowolili się werbalnym okazaniem krnąbrności, a realnie – jak się zdaje – nie kiwnął nawet palcem, aby jako wicepremier i szef MON doprowadzić do naprawy szkód poczynionych w gdańskim muzeum. Skądinąd taki właśnie styl działania zgadzałby się z jego wizerunkiem jako „gadudy”, niechętnego stanowczemu działaniu w warunkach konfliktu.

A do tej listy aktów krnąbrności wicepremiera trzeba dodać jeszcze spór o składkę zdrowotną, w którym Kosiniak-Kamysz (tym razem wspólnie z Hołownią) chciałby powrotu do jej odliczania od podatku przynajmniej dla najmniejszych przedsiębiorców. I sam nazywa to „śmiertelnie ważną sprawą”, choć minister finansów mający na głowie spór z Unią Europejską o nazbyt wysoki polski deficyt finansów nie pozwala Tuskowi na tego rodzaju budżetową rozrzutność.

W nadchodzących wyborach prezydenckich Kosiniak-Kamysz jest z góry skazany na rozłam z Tuskiem, co nieuchronnie wywoła zamęt w obecnym rządzie

No i zaczynający się dopiero oraz zapewne bardziej doniosły spór o legalizację związków gejowskich, w którym Kosiniak wystawił olsztyńską działaczkę PSL poseł Urszulę Paślowską do negocjacji z radykalną feministką – ministrem Katarzyną Kotulą. Teraz publicznie opowiada o tym sporze tak, jakby chciał się wykazać angielskim poczuciem humoru. Mówi: „Były bardzo dobre negocjacje, z których się cieszę, ale nie doszło do porozumienia”. Zresztą niewykluczone, że to nie tyle świadoma ironia Kosiniaka-Kamysza, co raczej przejaw jego naiwności.

A teraz jeszcze wicepremier zapowiada PSL-owski projekt „ustawy o wychowaniu patriotycznym”, o której jak dotąd niewiele wiadomo, poza tym, że miałby w niej zostać ustalony trwały kanon patriotycznych lektur szkolnych. Prawdę mówiąc, byłby to pomysł dość ekstrawagancki, jeśli istotnie w obecnym Sejmie miało by dojść (zapewne po zaprowadzeniu dyscypliny przez partię) do głosowania, w którym Henryk Sienkiewicz trzema głosami raz na zawsze pokonałby Olgę Tokarczuk.

Ale niezależnie od tego, jak Kosiniak-Kamysz rozumie sens ustawy o wychowaniu patriotycznym, sama idea tego rodzaju aktu prawnego jest oczywistym wyzwaniem rzuconym postępowcom, na które zareagują zapewne falą fanatycznego sprzeciwu. A dla premiera ma to być kolejny kłopot, który miałby go skłonić do samookreślenia się, czy chce iść dalej „patriotycznie” z Kosiniakiem-Kamyszem i jego stronnictwem, czy raczej trzymać się swojej „postępowej” agendy, tworzącej jak dotąd fundament tożsamości trzeciego rządu Tuska.

CHAS PRÓBY

Jednak w tych wszystkich wyzwaniach rzucanych teraz Tuskowi tkwi zasadnicza słabość Kosiniaka-Kamysza, z której w obozie Platformy doskonale zdają sobie sprawę. Szef PSL wraz ze swoim stronnictwem jest *de facto* uwiązany do politycznego rydwanu Tuska, Czarzastego, Hołowni i postępowców. Polskie Stronnictwo Ludowe zwykle się uważa za „partię obrotową”, skłoną rządzić z każdym, kto akurat wygrywa wybory. Ale to przecież nieprawda, co pokazuje historia ugrupowania w wolnej Polsce. W czasach Pawłaka PSL świetnie czuło się jako koalicjant i pomocnik postkomunistów, choć partia potrafiła też skutecznie wieść z SLD nieustanną walkę o własne wpływy i pozycję swoich działaczy.

Potem, gdy nastały czasy młodszych inteligentów – Piechocińskiego i Kosiniaka-Kamysza, PSL mocno związało się z Tuskiem, służąc mu jako wygodne narzędzie jego osobistej hegemonii. To charakterystyczne, że Stronnictwo zawsze znajdowało się w twardej opozycji wobec rządów zo-

rientowanych ideowo na prawo. Tak było w przypadku prawicowej koalicji stojącej za gabinetem Hanny Suchockiej, tak samo za AWS podczas rządu Jerzego Buzka i za wszystkich kolejnych rządów PiS.

W tym sensie mariaż z wielkomiejsko-liberalną grupą Hołowni, który przeformował Kosiniak-Kamysz, jest dopełnieniem długiej historii aliansów PSL. To, że doprowadził on akurat szefa ludowców do odzyskania istotnej pozycji rządowej, było jednak dziełem fortuny, a nie jakiegoś perfekcyjnego zamysłu politycznego. Wiadomo, że przed ubiegłorocznymi wyborami w sieci poszedł hej, iż Kaczyńskiego da się odsunąć od władzy, tylko przeciskając jakoś ponad progami wyborczym słabą Trzecią Drogę. I tak tysiące zmotywowanych tą kampanią platformersów ustawiły się w kolejkach, głosując na Hołownię i Kosiniaka-Kamysza. Oczywiście tak fortunny dla PSL przypadek może się zdarzyć tylko raz. Ale jak długo trwa ten dziwny mariaż pomiędzy starą partią polskiej prowincji i efemeryczną grupą wielkomiejskich liberałów, Kosiniak-Kamysz i jego partia są zaprzężeni do rydwanu postępowców niczym koń, któremu nałożono chomątą do ciągnięcia wozu.

Zresztą wkrótce nadejdzie dla PSL czas rozstrzygającej próby. W nadchodzących wyborach prezydenckich Kosiniak-Kamysz jest z góry skazany na rozłam z Tuskiem, co nieuchronnie wywoła zamęt w obecnym rządzie. Tak zresztą zawsze, od czasu pamiętnej „wojny na górze”, działa się w polskiej polityce, odkąd rządowe koalicje popadały w wewnętrzny konflikt na tle walki o prezydenturę. Wybór, przed którym stoi Kosiniak-Kamysz, jest tylko taki: czy w tym konflikcie PSL będzie grać zaledwie rolę kibica prezydenckich ambicji Hołowni, tracąc być może ostatnią szansę na odzyskanie politycznej podmiotowości? A może obecna nowa krnąbrność Kosiniaka-Kamysza sprawi, że w nadchodzącym wielkim politycznym spektaklu Stronnictwo wystąpi jako samodzielny aktor, z własną ideową agendą, tak odmienną przecież nie tylko od Czarzastego, Biedronia czy Tuska, lecz także od Hołowni?

Kosiniak-Kamysz zatem wkrótce albo ugruntuje odzyskiwaną teraz rolę samodzielnego aktora w polskiej polityce, albo ją zaprzepaści. Na razie więcej wskazuje na tę ostatnią możliwość. 

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL



Biedroń

Hryszkiewicz

W KAŻDY PIĄTEK O 17:00

OGLĄDAJ NAS 

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJI
N E T I A **192**

NA POZYCJI
orange **32**

NA POZYCJI
vectra **825**

NA POZYCJACH
PLAY **339**
dawniej UPC dekodery Mediabox

121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 8a089026ad



Spiskowanie z PSL

jest ryzykowne, ale jeśli

to jedyna możliwość

przerwania rządów

Tuska, gra wydaje się

warta podjęcia

Teatr Ludowy im. Witosa

PSL nie był, nie jest i nie będzie niczym wasalem” – zagrzmiął Władysław Kosiniak-Kamysz 20 lipca 2024 r. na posiedzeniu Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego. To kolejny głos płynący z jądra PSL, że ta partia nie chce być skazana na bezwzględne podporządkowanie się Donaldowi Tuskowi.

Zapowiedzi buntu to żadna nowość w historii PSL po 1990 r. (wtedy formalnie zaczęła działać jako Polskie Stronnictwo Ludowe), choć rzadko skutkująca rozpadem rządzącej koalicji. Ale biorąc pod uwagę obecne nastroje oraz np. to, że 3 marca 2003 r. ministrowie z Polskiego Stronnictwa Ludowego w rządzie Leszka Millera zostali odwołani „za wywoływanie konfliktów” i gabinet stał się mniejszościowy, a potem lewica poniosła klęskę, PSL może, a nawet powinno być brane pod uwagę w ewentualnej zmianie układu rządzącego obecnie Polską. Trzeba tylko realnie oceniać PSL i jego różne „wisty”.

Gdy Polskie Stronnictwo Ludowe współrządzi, jego manewry w większości to tylko teatr, bo najważniejsze dla tej partii jest utrzymanie się u władzy. Teatrem był także najnowszy numer partii Władysława Kosiniaka-Kamysza, czyli pomoc w utraceniu w Sejmie ustawy dekrymina-

lizującej aborcję, gdyż PSL nie ponosiło wielkiego politycznego ryzyka. A przecież przez większą część swego istnienia w III RP było ono raczej partią lewicową. O swoim konserwatyzmie i dziedzictwie Wincentego Witosa jej działacze przypominali sobie w ważne święta narodowe, hucznie obchodzone rocznice i wtedy, gdy chcieli na tym coś ugrać.

Nie inaczej jest w sprawie aborcji i związków partnerskich. W przygotowywaniu ustawy w tej sprawie od początku uczestniczyła wiceprezes PSL Urszula Pasławska (w głosowaniu zagrała rolę zwolennika dekryminalizacji) i gdyby to się politycznie opłaciło, cały (lub prawie cały) klub PSL byłby „za”. Ale obecnie głosowanie „za” się nie opłaci, gdyż ludowcy są na etapie podkreślania konserwatyzmu, a to wynika z czystej kalkulacji. Korzystne jest granie takiej roli w koalicji, w której pozostałe ugrupowania (Koalicja Obywatelska, Nowa Lewica, Polska 2050) są lewicowo-liberalne. A sondaże pokazują, że przesuwanie się w lewo powoduje wymierne straty. Nawet mimo tego koniunkturalizmu PSL to jedyne „słabe” ogniwo koalicji 13 grudnia, czyli takie, które nie ma zamiaru ginąć za Tuska, nie będzie stać przy nim do końca.



STANISŁAW JANECKI

NIEUNIKNIONA ZEMSTA

Na posiedzeniu Rady Naczelnej partii 20 lipca 2024 r. prezes Kosiniak-Kamysz mówił: „To my zdecydowaliśmy, że po raz kolejny premierem jest Donald Tusk. [...] Każda partia tworząca naszą koalicję [...] ma prawo do szacunku wobec swoich poglądów. Ma prawo do szacunku wobec swoich przekonań, do swoich myśli, światopoglądów, do tego, jak postrzega rzeczywistość. [...] I my to mówimy wprost tym, z którymi się nie zgadzamy w niektórych kwestiach, czy z naszego obozu, czy ze strony naszych oponentów politycznych”. Lider PSL obawia się chyba jednak skutków tego mówienia wprost, bo atak na niego i jego partię po głosowaniu w sprawie dekryminalizacji aborcji jest wyjątkowo silny.

Politycy PSL nie mają złudzeń, że powrót do działań „rewolucyjnych”

Marty Lempart i jej „brygad”, przede wszystkim przeciwko PSL (w Sejmie na drzwiach pokoju Stronnictwa przyczepiła kartkę z pięcioma gwiazdkami i trzema koniczynkami) został jakoś uzgodniony i zaplanowany z Donaldem Tuskiem. Obecny premier nie jest w stanie użyć wobec ludowców swoich ulubionych narzędzi, czyli wyrzucania, więc posługuje się Martą Lempart. Dał jednak sygnał, że może grać mocno, czyli tak jak postąpił wobec wiceministra rozwoju i technologii Waldemara Ślugockiego, w przeszłości członka Zarządu Krajowego Platformy Obywatelskiej. Podczas głosowania w sprawie dekryminalizacji aborcji Ślugocki był służbowo w USA, ale zamiast kajać się i przeproszać, zaczął racjonalnie tłumaczyć powód swej nieobecności, czyli podważył nieomyślność Donalda Tuska, a ten nigdy nie wybacza takich rzeczy. Kosiniak-Kamysz na tyle długo współpracuje z szefem PO, że wie, jak bardzo jest on mściwy (tę jego cechę jako najważniejszą wymienia były prezydent Aleksander Kwaśniewski), dlatego może to potrwać, ale na pewno odegra się za głosowanie w sprawie dekryminalizacji aborcji.

Prezes PSL dodaje sobie animuszu, mówiąc: „My się w swoich działaniach nie obawiamy ani biskupów, ani lewaków, bo postępujemy zgodnie z własnym sumieniem. Gdybyśmy się bali jednych, nigdy nie weszlibyśmy w koalicję z Tuskiem. Gdybyśmy się bali drugich, nie bylibyśmy w stanie głosować za naszymi wartościami”. Te wartości to „tradycja, tożsamość i kultura narodowa oraz patriotyzm” i one „muszą być przekazywane młodemu pokoleniu”. Dlatego PSL przygotowało ustawę o wychowaniu patriotycznym, czyli „zbiór rozwiązań zapobiegający jakiegokolwiek rewolucji – czy to lewackiej, czy prawackiej”. Prezes PSL zapewniał: „Nie można pomijać znaczenia krzyża jako symbolu kultury i tożsamości narodowej, będziemy jego obrońcą”. Przekonywał: „W Polsce jest miejsce dla naszych bohaterów: Witosy i Piłsudskiego, dla Dmowskiego i dla Daszyńskiego, dla Paderewskiego i Korfatego, dla ojców niepodległości, którzy w 1989 r. przeprowadzili Polskę z ciemnych lat komuni-

zmu do pełnej wolności i suwerenności. Jest miejsce w naszej historii i nauce dla Jacka Kuronia i Kornela Morawieckiego, dla tych wszystkich, którzy przyczynili się do tego, niezależnie z jakiego obozu politycznego pochodzą”.

Kosiniak-Kamysz musi jednak wiedzieć, iż Tusk już sprawił, że „ogary poszły w las”. Dlatego m.in. wicepremiera zaatakowała prof. Magdalena Środa: „Minister Wojny, katolik-rozwodnik Kosiniak-Kamysz, znany powszechnie jako obrońca nienarodzonych, przeciwnik praw kobiet i osób LGBT. Wrażliwość pana ministra na życie istot słabych i bezbronnych ogranicza się wyłącznie do ludzkich zarodków; zresztą w jego zawodowym życiu nie chodzi o obronę życia, a o zdobywanie głosów”. Wobec

PSL to jedyne „słabe” ogniwo koalicji 13 grudnia, czyli takie, które nie ma zamiaru ginąć za Tuska, nie będzie przy nim stać do końca

ludzi o mentalności bojówkarzy słowa Kosiniaka-Kamysza o „szanowaniu poglądów” są wyłącznie wyrazem naiwności. Musi ponieść karę i trwając przy Tusku, poniesie ją prędzej niż później.

OBROTOWOŚĆ DO WYKORZYSTANIA

„Pozwólcie mi działać, pozwólcie pokazać, że konserwatyści też mogą mieć w tym rządzie reprezentację, a stworzymy stabilny rząd, który przez lata będzie mógł rządzić Polską” – prawie tak powiedział prezes PSL podczas posiedzenia Rady Naczelnej 20 lipca 2024 r. Ale Donald Tusk mu oczywiście nie pozwoli. A i sam Władysław Kosiniak-Kamysz obudził się dopiero po siedmiu miesiącach udziału w rządzie, gdy działy się rzeczy będące ewidentnym łamaniem prawa i konstytucji, demonstracją przemocy, a nie dialogu i poszukiwania pozytywnych

rozwiązań. Zamiast pytać o pozwolenie, powinien po prostu działać. I nie bać się zemsty Tuska. Problemem jest to, że jednak się jej boi. A kolejni bojówkarze już czekają z atakami, żeby zmieknąć wicepremiera i ministra obrony, żeby nie dać mu spokojnie żyć, żeby po prostu podporządkował się szefowi rządu. Tak jak wtedy, gdy w drugim rządzie Tuska był ministrem pracy i polityki społecznej i firmował dwa najbardziej „antyspołeczne” posunięcia tego gabinetu, czyli podniesienie wieku emerytalnego i przejęcie 153 mld zł z Otwartych Funduszy Emerytalnych. Politycy PSL twierdzą, że ich prezes drugi raz nie da się tak zrobić, bo tamto upokorzenie i wykorzystanie zostało w pamięci. I pozostaje wspomnienie o długoletnim koniunkturalizmie partii.

Praktycznie pod każdym przywództwem PSL było najbardziej obrotową partią po 1990 r. Jej liderzy lubią pozować na konserwatyzm i programową odrębność, a nawet opozycyjność, tyle że Stronnictwo było partią czysto establishmentową, najdłużej u władzy ze wszystkich, które dotychczas rządziły (przez prawie 15 lat). PSL współrządziło albo z lewicą (w latach 1993–1997 oraz 2001–2003), albo z liberałami (w latach 2007–2015), albo w wielkiej koalicji liberałów i lewicy (po 13 grudnia 2023 r.). Ale paradoksalnie tę establishmentowość, w tym przywiązanie do władzy, można wykorzystać przeciw Donaldowi Tuskowi. Jego trzeci rząd traci najwięcej i w najkrótszym czasie, co widzą także liderzy PSL. To może być podstawą do negocjacji w sprawie zmiany rządzącego układu.

Oczywiście każde „spiskowanie” z PSL jest ryzykowne, ale jeśli to jedyna możliwość przerwania rządów Tuska, gra wydaje się warta podjęcia. W wydaniu polityków PSL to także może być teatr, ale w 2003 r. podobny teatr doprowadził do przesilenia, a dwa lata później do zasadniczej zmiany układu rządzącego Polską. Wiedza o tym, jakie jest PSL i jak trudno polegać na tej partii nie powinna jednak odstręczać od prób wciągnięcia jej do rozgrywki o odsunięcie od władzy Donalda Tuska. Realnie jest to bowiem jedyna możliwość dla obecnej opozycji, czyli PiS i Konfederacji.

Synowie Mitteleuropy w Polsce

W dziwnym nekrologu zmarłego aktora Jerzego Stuhra rodzina opisała go jako „społecznika, inteligenta, syna Mitteleuropy”. To powstałe w 1915 r. pojęcie niemieckiej geopolityki odżywa w polskiej debacie politycznej, bowiem od dwóch lat ostrzega przed nim prezes PiS Jarosław Kaczyński, ale elity III RP nie lubią o tym mówić



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Awszystko przez Instytut Pileckiego, tak ostatnio dewastowany przez nową władzę, który jeszcze w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy wydał w 2022 r. – po raz pierwszy w Polsce – pracę Friedricha Naumanna z 1915 r. pt. „Mitteleuropa”. Dlaczego mamy czytać książkę sprzed ponad 100 lat? – zapyta ktoś. Prawica często odnosi się do starych tytułów, przypisując im nadmierną wagę, ale tym razem jest inaczej. Konceptja Naumanna o gospodarczym i intelektualnym (a nie militarnym czy politycznym) podporządkowaniu sobie naszego regionu jest w zmodyfikowanej formie realizowana do dziś, a nekrolog Stuhra to tylko jeden z dowodów, że poczucie niemieckiej wyższości zyskuje uznanie wśród polskich elit.

PRACA Z PŁUGĄ DATĄ WAZNOŚCI

Oto kilka argumentów na rzecz ogromnego znaczenia pracy Naumanna. Po pierwsze, myśl tego polityka nie wzięła się znikąd – wyrastała na kan-

wie liberalizmu niemieckiego przez całe XIX stulecie, a później odżyła po II wojnie światowej. Po drugie, „Mitteleuropa” była najchętniej czytana książką w Niemczech w II dekadzie XX w. Po trzecie, niedoszły następca Hitlera (proponowany przez zamachowców Stauffenberga) Carl Friedrich Goerdeler (1884–1945) planował pokojowe zorganizowanie „federacji państw europejskich” pod egidą Niemców w oparciu o książkę Naumanna. Po czwarte, „Mitteleuropa” jest dziś ważną lekturą niemieckich elit politycznych. Po piąte, Fundacja im. Friedricha Naumanna świetnie prosperuje do dziś, od 1992 r. także w Polsce. Po szóste, wybitny polski historyk Oskar Halecki ostrzegał, że określenie „Mitteleuropa” czy nawet jego tłumaczenie: „Europa środkowa” to narzędzie niemieckiej dominacji, gdyż w swoim założeniu dzieli nasz kontynent na trzy strefy wpływów: francuską (Europa Zachodnia), niemiecką (Europa Środkowa) i rosyjską (Europa Wschodnia). Sam Halecki namawiał do używania określenia Europa Środkowowschodnia jako upodmiotowiającego kraje dawnej Rzeczypospolitej czy Jagiellonów. Wreszcie po siódme, jej treści brzmią niepokojąco aktualnie, choć Polacy we własnym języku samą książkę mogą przeczytać od niedawna. Jej czytelnikiem na pewno był prezes PiS, który wprost mówił o tej publikacji Instytutu Pileckiego na spotkaniach z wyborcami.

JEDNOŚĆ Z DOMINUJĄCYMI NIEMCAMI

Naumann pisał swoją książkę na początku I wojny światowej, gdy perspektywa zwycięstwa Niemiec i Austro-Węgier wydawała się bardzo bliska. Jego zdaniem należało zaproponować zupełnie nową formułę organizacji terenów od Renu po Dniepr i Dunaj. „Przestrzeń tę wyobraźmy sobie jako jedność, jako kraj bratni w swojej różnorodności, jako związek obronny, jako jednolity obszar gospodarczy! Pod wrażeniem wojny wszelkie partykularyzmy historyczne należy tutaj uciszyć do tego stopnia, by mogła przemówić idea jedności”.

Naumann uważał, że Niemcy mają dwa sposoby zdominowania Polski i sąsiednich krajów: albo terrorem i eksterminacją, albo wpływem i kontrolą. Sam gorąco namawiał do tej drugiej metody. Uważał, że Polsce, Ukrainie czy Rumunii należy pozwolić na używanie własnego języka i symboli narodowych, ale trzeba będzie stworzyć wielką unię gospodarczą, znieść cła i zaproponować wspólną walutę, a do tych małych, niedorozwiniętych narodów przemówić za pośrednictwem elit zwerbowanych dla niemieckich planów. „Ludzie największego formatu w obu krajach muszą jeszcze swobodniej i bardziej zdecydowanie rozmawiać ze społeczeństwem o tym, że należy zapomnieć o zaszłościach, zamknąć wzajemne rachunki i podążać

odtąd ramię w ramię jako dobrzy, uczciwi towarzysze". Jeśli więc Stuhr chciał być pochowany jako „syn Mitteleuropy”, to jednak wierniejszym synem teź jest Donald Tusk, widziany przez swoich wyborców jako „człowiek największego formatu”, który „zdecydowanie” tłumaczy Polaczkom, że „należy zapomnieć o zaszłościach” – z niemieckimi reparacjami za II wojnę światową włącznie.

WSPÓLNA GOSPODARKA

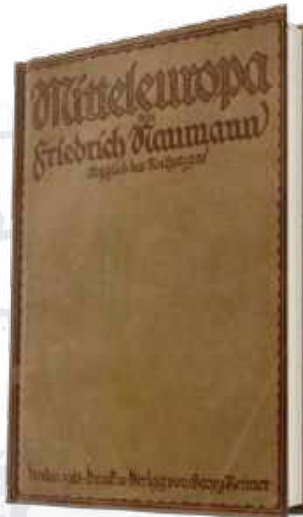
Koncepcje Naumanna wydają się być fundamentem Unii Europejskiej wcale nie słabszym niż Schumanna czy Spinello. Ten pierwszy mówił o korzyściach chrześcijańskich, drugi o komunistycznych, a Niemiec stwierdzał, że to konieczność gospodarcza zmusi część kontynentu do takiej współpracy. „Niemieckie idee ekonomiczne powinny w przyszłości w coraz pełniejszy sposób określać charakter tego regionu. [...] Powstanie jednolity naród gospodarczy, przekraczający wszystkie granice państwowe”.

Jeśli dziś brukselscy komisarze powtarzają postulat rzucenia ekonomicznego wyzwania Stanom Zjednoczonym czy Chinom, to także mówią Naumannem – on również uważał, że świat podzieli się na regiony gospodarcze, a Mitteleuropa będzie jednym z nich, ale musi to być region skonsolidowany nie bagnetem, lecz wspólnym pieniądzem. „Z pewnością próby zjednoczenia Mitteleuropy wyłącznie za pomocą działań politycznych są skazane na porażkę, dopóki jedności nie zbudują samoczynnie środowiska gospodarcze” – pisał w 1915 r.

Pomniejsze narody, takie jak Polacy, muszą dostać swoje ekwiwalenty niezależności. Naumann wiedział, że nawet jeśli Polacy przyjadą zbierać szparagi w Niemczech, to będą się różnić od swoich niemieckich panów: „Polak pozostanie Polakiem, nawet jeśli przeniesie się do Berlina lub Westfalii. Zachowa swój charakter narodowy również jako robotnik najemny i będzie miał inne marzenia niż przydzielający mu obowiązki niemiecki inspektor”.

„POWIETRZE NASYCONE IDEĄ”

W swoich wyliczeniach gospodarczych widział nadzieję w takim podziale pracy, że na ziemiach polskich czy ukraińskich zorganizuje się zaplecze żywnościowo-rolnicze, tak potrzebne wysoko rozwiniętym Niemcom, zaś system organizacyjny z Berlina będzie promieniował na niżej rozwinięte ludy. One same będą miały jednak pewną autonomię, by mogły zatwierdzać np. umowy międzynarodowe dla całej Mitteleuropy. „Sprawą pojedynczych państw pozostanie również charakter rządów parlamentarnych czy też pozaparlamentarnych” – łaskawie przekonywał Naumann. W swojej pracy wiele miejsca poświęcił kwestiom znie-



przez nich proniemieckich elitach. Trzecim filarem ma zaś być forsowane przekonanie, ideologia wspaniałości takiego rozwiązania, które będzie wtłaczane do głów mieszkańcom od Bałtyku po Morze Czarne i Adriatyk. Ma tutaj zapanować „duch wielkich struktur i organizacji ponadnarodowych”, a „powietrze musi zostać nasycone ideą Mitteleuropy”.

Rozmawiając z Polakami bezkrytycznymi wobec rządów Brukseli, własnymi nosami czujemy owe „nasycone ideą Mitteleuropy” powietrze wokół nas.

MIEJSCE POLSKI W TAKIM ŚWIECIE

Naumann – to zresztą nie tylko jego pogląd, ale klasyka niemieckiego myślenia geopolitycznego – ostrzegał swoich rodaków przed sojuszem z Anglosasami. Może i przyniosłoby to pokój czy rozwój ekonomiczny, lecz pozbawiłoby Berlin roli hegemonu: „Dla naszego narodu oznaczałoby koniec samodzielnej roli w historii świata”. Z Rosją można by współpracować jedynie ekonomicznie, od Anglików i Amerykanów należałoby się odcinać.

Jeśli spojrzymy dziś na wypychanie Brytyjczyków z Unii Europejskiej aż do skutecznego brexitu czy postmowanie na Donalda Trumpa, z którym Scholz czy Tusk i Sikorski nie bardzo chcą współpracować, zdaje się, że Naumann doczekał się bardzo licznych duchowego potomstwa. W tym scenariuszu Polska ma być rezerwuarem surowców (drewno i ziemia) i taniej siły roboczej? W dodatku wprost nazywana przez polityka

„krajem satelickim” albo „państwem-planeta” (krążącym wokół niemieckiego słońca)? Przecież to wszystko jest dziś tak wprost realizowane, dlatego szybkie zniknięcie książki Naumanna z księgarni Instytutu Pileckiego trudno uznać za przypadek.

Jeśli dziś brukselscy komisarze powtarzają postulat rzucenia ekonomicznego wyzwania Stanom Zjednoczonym czy Chinom, to także mówią Naumannem – on również uważał, że świat podzieli się na regiony gospodarcze, a Mitteleuropa będzie jednym z nich. Musi to być jednak region skonsolidowany nie bagnetem, lecz wspólnym pieniądzem

sienia cel i stworzenia unii celnej na tym obszarze, a także „nowego ustroju ekonomicznego” wraz z centralną administracją zdominowaną przez Niemców.

Dominacja Berlina ma być zatem oparta na gospodarczym podporządkowaniu Niemcom i nominowanych

Jak zostać patocelebrytą?

Nazwisko Chajzer znają w Polsce chyba wszyscy. Głównie za sprawą Zygmunta, ale Filip nie pozostaje w cieniu ojca. Niestety ostatnio to nazwisko pada w coraz ciemniejszych kontekstach



DOROTA ŁOSIEWICZ

Kiedyś znany i lubiany prezen-
ter, socjalk, mistrz socjal
mediów oraz niedoszły „za-
wodnik” Fame MMA. Była gwiazda TVN
Filip Chajzer wywołuje coraz większe
kontrowersje.

ZWROT ZA ZWROTEM

„Jeszcze jest jakaś godność gdzieś tam
mniej więcej potrzebna” – twierdził Filip
Chajzer kilka miesięcy temu w podcaście
„Wojewódzki Kędziński”, twierdząc, że
nie będzie walczył we freak fightach. Jed-
nak celebryta zmienił zdanie i ogłosił, że
weźmie udział w najbliższej gali federacji
freakfightowej Fame MMA. Rzeczą miała
się odbyć 31 sierpnia br. na Stadionie Na-
rodowym w Warszawie, a przeciwnikiem
celebryty i najsławniejszego w Polsce
właściciela budki z kebabem miał być
youtuber Tomasz „Gimper” Działowy.
Skąd ta zmiana decyzji?

Jak wyznał Chajzer w wywiadzie
u Szalonego Reportera, Fame MMA
„podała kwotę mieszkania”. Jednak
nim opinia publiczna zdążyła ochłonąć
i oswoić się z tą wiadomością, ogłosił on,
że rezygnuje z walki. „Gimper, wafu.
Wyzywam cię na pojedynek: formuła K1.
Na wadze zejść do 90 kg w dniu walki.
Tylko nie w FAME MMA. Straciłem
zaufanie biznesowe do tej organizacji.
TO WAŻNE – oficjalnie, przez krzywe
ruchy FAME MMA, rezygnuję z udziału
w walce z tobą na PGE Narodowym.
Zrywam umowę, która chyba była i tak
niewiele warta. Ja w biznesie jestem
sztywny, druga strona mniej. Szczegół
zostawię dla siebie. Nie dostaniesz
za walkę ze mną złamanej złotówki. Ja
też nie, ale nap...lać będziemy się jak za
10 mln zielonych, bo cały dochód z bile-
tów i PPV pójdzie na wybrany przez nas
wspólnie cel charytatywny” – napisała
na Facebooku była gwiazda TVN. I znów
nim opinia publiczna zdążyła ochłonąć,
ten wpis został usunięty.

„Jesteśmy zaskoczeni wpisem Filipa
Chajzera na Facebooku. Kontaktujemy
się z jego managerką, aby ustalić, czy wpis
jest zgodny z prawdą. Po wyjaśnieniu sy-
tuacji i poznaniu stanu faktycznego bę-
dziemy mogli podjąć dalsze kroki” – po-
informowało Fame MMA portal Pudelek
zaś „Gimper”, czyli przyszły lub niedoszły
rywal Chajzera, tak skomentował sprawę
w rozmowie z portalem: „Nie wiem, czy to
jakaś jego gra, żeby podbić stawkę, czy coś
się odkebabowało w tej jego głupiej gło-
wie” – powiedział Pudelkowi youtuber.
„Usunął posta. Chyba się zorientował, że
umowy nie można zerwać postem na In-
stagramie” – dodał. Do sprawy kebabów
jeszcze wrócimy.

Jednak to nie koniec zwrotów akcji
w tej sprawie. Dzień po tym, gdy Filip
Chajzer wycofał się z walki, a potem
usunął swój wpis, fanów celebryty i całą
resztę opinii publicznej poraziła wiado-
mość o tym, że matka chłopca chorego na
autoimmunologiczne zapalenie mózgu,
która twierdziła wcześniej, że fundacja
Chajzera nie wypłaciła jej obiecanych
350 tys. zł na leczenie syna, miała złożyć
zawiadomienie w warszawskiej prokura-
turze, sugerując możliwości popełnienia
przestępstwa przez byłego prezentera.
Być może celebryta, ogłaszając wy-
cofanie się z walki, wiedział już o tym
zawiadomieniu.

WZAJEMNE OSKARŻENIA

Przypomnijmy tylko, że kilka tygodni
temu portal Goniec.pl opublikował ar-
tykuł, w którym zasugerował nieprawid-
łowości w działaniu fundacji „Taka ak-
cja” prowadzonej przez Filipa Chajzera.
Prezenter odpierał zarzuty, twierdząc,
że matka 7-letniego Oskara próbowała
wyludzić pieniądze. Serwis ujawnił też,
że dyrektor fundacji Krzysztof Ś. usłyszał
zarzuty przywłaszczenia 700 tys. zł. Poja-
wiły się też kolejne oskarżenia ze strony
innej matki, której dziecko jest chore.
Kinga Szostko, prezes fundacji Przed-
siębiorcy Pomagają, zwróciła uwagę na
to, że Chajzer nie przedstawił zawiado-
mienia, które miał złożyć w prokuraturze
przeciwko мамie Oskara, tymczasem
zawiadomienie złożyła Monika Kozieł,
czyli właśnie wspomniana mama chorego
dziecka. „Zgodnie z zapowiedzią – za-
wiadomienie o możliwości popełnienia

przestępstwa przez Filipa Chajzera, który
to naraził Oskara Kozieła na utratę zdro-
wia lub życia oraz znieważyl i zniesławil
publicznie jego matkę Monikę Kozieł.
Szkoda, że pan Chajzer, informując opinię
publiczną o tym, że matka jest »oszustką«
nie przedstawił zawiadomienia, które rze-
komo w jej sprawie złożył do prokuratury”
– czytamy w oświadczeniu Kingi Szostko.
„Szkoda, że na oczach milionów ludzi
i przy udziale przychylnych mu mediów
spowodował całkowitą utratę zaufania do
matki dziecka, tym samym powodując, że
zbiórka na leczenie chłopca praktycznie
stoi w miejscu, a stan ośmiolatka ciągle
się pogarsza. Liczę też na to, że z uwagi
na dobro dziecka, które jest dla mnie
najważniejsze – kierownictwo organów
ścigania oraz Rzecznik Praw Dziecka
będą monitorowały tę sprawę” – napisała
prezes fundacji Przedsiębiorcy Pomagają.

Maria Niklińska, aktorka, piosenkarka
i menedżerka kultury, nie kryje zasko-
czenia całą sprawą: – Obserwuję Filipa
od lat, lubię go, szanuję, i mam nadzieję,
że wyjaśni wszystkie wątpliwości. Znam
jego działalność charytatywną i wiem, że
zrobił wiele dobrego. Jestem zszokowana
całą sytuacją, mam nadzieję, że on wy-
jdzie z tego z twarzą, może ma teraz czas
poszukiwań. Jeśli chodzi o samą walkę, to
nie jestem fanką tego typu rozrywki, ale
wiem, że budzi ona emocje i zaintereso-
wanie – mówi mi Niklińska.

KOKA, KEBSY I ARCYKAPŁANKA

Jeśli czytelnicy jeszcze nadążają za tymi
zwrotami akcji, pozwolę sobie wrócić do
tematu kebabów, które Filipowi Chajze-
rowi także udało się powiązać z tematem
zdrowia dzieci. Były prezenter opubli-
kował w mediach społecznościowych
zdjęcie ze szpitala, na którym pozował
u boku pacjenta, któremu dowiózł swój
kebab. W kwietniu br. był prezenter
TVN stworzył lokal typu street food. To
budka z kebabem o nazwie „Kreuzberg
Kraft Kebap”, która stała na Żoliborzu.
Celebryta zapowiadał, że będzie to „ke-
bab rodem z berlińskiej dzielnicy Kreuz-
berg”. Ta kryptoreklama ze szpitalnego
łóżka nie spodobała się internautom,
którzy nie zostawili na nim suchej nitki.
Historię przypomniał celebrycie także
wspomniany już „Gimper”, a Chajzer
odniósł się do sprawy, tłumacząc, że jego

specjał może poprawić stan zdrowia. „Napisala mama tego chłopaka, że leży w szpitalu i mają zaj...stą ochotę na mojego kebaba. Każdy ma możliwość posiadania ochoty na mojego kebaba. Tak było, więc zawiozłem tę dostawę, a mama mi odpisała, że bardzo dziękuje i że to jest dla niego wielka rzecz, i poprawiły mu się wyniki. I to jest zaj...te, bo motywacja i to, co masz w głowie, jest zaj...ście ważne” – tłumaczył.

To jeszcze mniej spodobało się opinii publicznej. Znany dziennikarz i założyciel Kanalu Zero Krzysztof Stanowski skomentował: „Ten gość to największy upadek pana z telewizji od czasów Kamila Durczoka”. Joanna Niemiec, wiceprezes i główny strateg LoveBrands Group, po historii z walką stwierdziła na portalu Wirtualne Media, że decydując się na start w Fame MMA, Chajzer sam sobie przypiął łatkę patocelebryty, a ekspert InPlus Media Adam Mitura zauważył, że była gwiazda TVN to doskonale przykłady tego, że nie jest dane raz na zawsze i o wizerunek trzeba dbać.

A przecież o wizerunek byłego prezentera dbać ma nie byle kto, bo sama „arcykapłanka celebrytów”. Tę sprawę nagłośnił z kolei youtuber, który miał walczyć z Chajzerem. W ostatniej rozmowie opublikowanej na YouTube „Gimper” postanowił opowiedzieć trochę o kulisach konferencji Fame MMA. Youtuber stwierdził, że Filip Chajzer w ogóle nie wiedział, jak zachowywać się na wydarzeniu. Nie miał pojęcia, jak odpowiadać na pytania i jakie prawidła rządzą światem patowalk. „Z nim nie ma gadki, niestety, on nie wie, gdzie jest [...]” – mówił „Gimper”. I zdradził: „On z całą świtą, człowieku, chodzi, pięć osób za nim lazi. Ma cztery menadżerki i arcykapłankę – i to nie jest żart. On naprawdę ma arcykapłankę, która za nim chodzi i dba o energię wokół niego. Ja z nią rozmawiałem i ona mówi, że wie, że ma dar jasnowidzenia, że słyszy głosy” – relacjonował „Gimper”. Skoro ktoś powierza swoją karierę i wizerunek w ręce arcykapłanki, to nie może się to skończyć dobrze.

Sytuację celebryty jeszcze pogorszyło wyznanie podczas konferencji zapowiadającej galę. Chajzer przyznał, że był

uzależniony od narkotyków. „Czy boję się tej walki? Odpowiem ci, że nie, bo przy całym szacunku do tego chłopaka naprzeciwko mnie, walka z nim to trochę jak paproch. Byłem ćpunem, waliłem kokę hardkorowo. W najtrudniejszym momencie co 6 minut, taki był interwał. Każda sekunda staje się wiecznością” – powiedział były prezenter TVN.

RODZINNY DRAMAT

Znawcy branży mówią, że Filip Chajzer tak naprawdę nigdy nie otrząsnął się po śmierci swojego pierwszego syna. Maksymilian zginął w wypadku samochodowym w 2015 r. „Straciłem moje dziecko. Syna, którego kochałem nad wszystko na świecie. Moje życie właśnie straciło sens.

Obserwuję Filipa od lat, lubię go, szanuję i mam nadzieję, że wyjaśni wszystkie wątpliwości. Jestem zszokowana całą sytuacją, mam nadzieję, że wyjdzie z tego z twarzą, może ma teraz czas poszukiwań – mówi Maria Niklińska

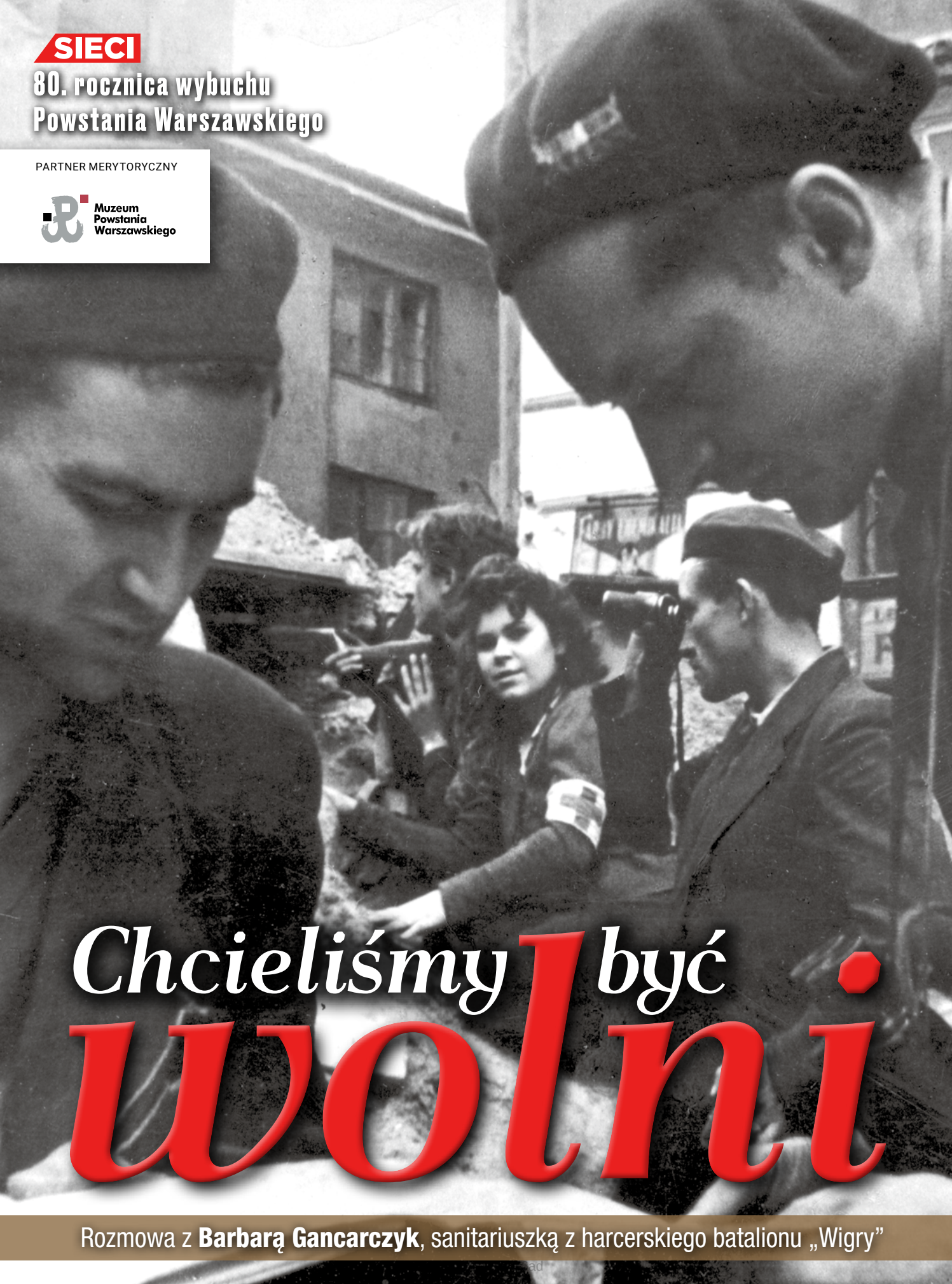
Ten wpis jest ponad moją siłę, jak zresztą wszystko od zeszłego tygodnia. Mam nadzieję, że jeszcze uda mi się go kiedyś znaleźć. Teraz nie wiem tylko jeszcze jak. Jestem w bardzo złym stanie” – pisał niedługo po tragedii w mediach społecznościowych zrozpaczony Chajzer.

Rok temu celebryta wyznał, że po śmierci syna zaczęły pojawiać się u niego myśli samobójcze oraz że nigdy nie będzie w stanie pogodzić się ze stratą. „To jest coś takiego, jak w telefonie masz aplikację w tle. Czy korzystasz z tych aplikacji, czy nie, one cały czas mielą, są, zjadają baterie i to jest taka aplikacja w tle, która codziennie zżera ci baterie – obojętnie, czy jesz śniadanie, obchodzisz urodziny, jesteś na imprezie, czy kładziesz się spać,

czy jesteś po prysznicu” – mówił w rozmowie z Kubą Wojewódzkim i Piotrem Kędzierskim. W 2017 r. Chajzer ponownie został ojcem, ale poczucie straty nie zniknęło.

O sprawę Filipa Chajzera pytam Sylwię Golecką, dziennikarkę i kreatorkę wizerunku w show-biznesie. – Edward Miszczał miał rację, sprowadzając Filipa do TVN, bo młody Chajzer ma świetne nazwisko i tę samą cechę, którą jego sławny tata – umiejętność kontaktu z ludźmi na żywo i przed kamerą. Jest błyskotliwy, szybko skraca dystans, mówi ciekawie i obrazowo. Myślę, że w »Dzień dobry TVN« celowo dobrano mu do pary psycholog Małgorzatę Ohme. Zyskał przy niej trochę spokojniejszy wizerunek i więcej rozważi, ale ostatecznie rozstał się ze stacją – mówi ekspertka. – Media społecznościowe Filipa Chajzera były potęgą zanim jeszcze jego krytycy z internetu skończyli podstawówkę i rozwinęli swoje kanały, ale dziś to oni budują zasięgi na wytykaniu mu błędów i potknięć. Taka szczerść za szczerść. Sam ich tego nauczył – dodaje Golecka. – Chajzer ma sporo szczęścia w show-biznesie i w życiu: sławny tata zawsze, podkreślam, zawsze stoi za nim murem, mama i siostra także. Nawet byłe partnerki go oszczędzają – jedna milczy, druga mimo rozstania kibicowała mu z synem w studiu »Tańca z gwiazdami«, zakładała dresy z jego firmy i występowała w filmach, które zamieszczał na Instagramie. Z taką drużyną można odbudować wizerunek i pozycję wśród reklamodawców – uważa Sylwia Golecka. – Doskonałym przykładem na to jest Michał Koterski – narkoman, który czekał na śmierć, ale padł na kolana i poprosił o pomoc Jezusa, a potem odzyskał rodzinę i dziś jest jednym z najlepiej zarabiających aktorów w Polsce oraz ulubionym rozmówcą dziennikarzy z każdej opcji. Rodzice, którzy każdego dnia bali się, że go stracą, dziś są z niego bardzo dumni – dodaje ekspertka.

I może takich głosów zamiast arcykapłanki powinien słuchać Filip Chajzer, jeśli chce odbudować zrujnowany wizerunek i zerwać ze świeżo doklejoną gębą patocelebryty. Czy to się uda? W show-biznesie wszystko jest możliwe.



SIECI

80. rocznica wybuchu
Powstania Warszawskiego

PARTNER MERYTORYCZNY



*Chcieliśmy być **wolni***

Rozmowa z **Barbarą Gancarczyk**, sanitariuszką z harcerskiego batalionu „Wigry”

Sanitariuszka „Pająk”



Barbara Gancarczyk z domu Piotrowska, rocznik 1923, w konspiracji żołnierz Armii Krajowej i łączniczka w Delegaturze Rządu na Kraj. W pierwszych dniach Powstania Warszawskiego pełniła służbę w szpitalu przy ul. Mariańskiej 1, a od 7 sierpnia 1944 r. na Starym Mieście jako sanitariuszka „Pająk” w harcERSkim batalionie „Wigry”. Po wycofaniu się oddziałów powstańczych ze Starówki pozostała z ciężko rannymi żołnierzami, których nie można było ewakuować kanałami. Po wkroczeniu Niemców na Stare Miasto razem z koleżanką, Janiną Gruszczyńską „Janką”, usiłowała ratować rannych, wynosząc ich z płonących domów. W powstaniu została odznaczona Krzyżem Walecznych. Po wojnie ukończyła studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Pracowała jako architekt w Biurze Odbudowy Stolicy, jej pierwszym zadaniem była inwentaryzacja zniszczonej przez Niemców kolumny Zygmunta III Wazy na pl. Zamkowym. Później była zatrudniona w biurach projektowych. W 1975 r. została odznaczona najwyższym polskim odznaczeniem wojennym – Orderem Virtuti Militari, a w 2015 r. otrzymała stopień majora Wojska Polskiego. Mieszka w Warszawie na Saskiej Kępie.

Fot. Andrzej Wiktor

Z **Barbarą Gancarczyk** rozmawia **Katarzyna Utracka**

W jakim środowisku się pani wychowywała?

Barbara Gancarczyk: Kiedy miałam pięć lat, zamieszkaliśmy z rodziną na Saskiej Kępie, w domu, który wybudował mój dziadek dla czwórki swoich dzieci. Z Saską Kępą związane było całe moje późniejsze życie. Tu zresztą mieszkam do dzisiaj. Gdy przeprowadziliśmy się tam w 1928 r., okolica w niczym nie przypominała dzisiejszej. Było zaledwie kilka ulic, przy których budowano domy. W 1920 r. mój ojciec jako ochotnik walczył z bol-

szewikami. Duży wpływ na moje wychowanie miała Szkoła Sióstr Nazaretanek przy ul. Czerniakowskiej, gdzie uczęszczałam do szkoły powszechnej i gimnazjum, które ukończyłam w 1939 r., zdając tzw. małą maturę. Miałam wspaniałe nauczycielki oraz koleżanki pochodzące zarówno z bogatych, jak i biedniejszych domów. Pomagałyśmy sobie nawzajem. Jeżeli któraś z uczennic miała problem z jakimś przedmiotem, mogła liczyć na pomoc koleżanek. Szkoła uczyła nas szacunku dla drugiego człowieka.

Dużą maturę zdała pani już na tajnych kompletach. Wtedy też zaczęła się pani współpraca z prof. Stefanem Brylą, ówczesnym dyrektorem Departamentu Robót Publicznych i Odbudowy w Delegaturze Rządu na Kraj. Warto zaznaczyć, że profesor opracował konstrukcję najwyższego przed wojną budynku w Warszawie i w Polsce oraz jednego z najwyższych w Europie – Prudentialu przy pl. Napoleona (obecnie pl. Powstańców Warszawy). Tego samego, w którego pod koniec sierpnia 1944 r. trafił po-

Fot. Andrzej Wiktor

cisk najcięższego moździerza oblężniczego, co uwiecznił na zdjęciach powstańczy fotograf Sylwester Braun „Kris”. Dzięki solidnej konstrukcji budynek przetrwał eksplozję, istnieje zresztą do dziś. Co pani skłoniło do zaangażowania się w pracę konspiracyjną i jak wyglądała współpraca z prof. Bryłą?

Zawsze lepiej liczyłam niż pisałam. Myślałam o chemii, wybrałam jednak architekturę. Dlatego po zdaniu dużej matury w 1941 r. zapisałam się na Kursy Rysunku Technicznego Jagodzińskiego. W rzeczywistości szkoła realizowała program tajnej Politechniki Warszawskiej. Jednym z wykładowców był światowej sławy inżynier budownictwa prof. Stefan Bryła. Dzięki koledze wraz z dwiema koleżankami zostaliśmy mu polecone i zostaliśmy jego łączniczkami. Do naszych zadań należało dostarczanie pod wskazane adresy tajnych materiałów, które przekazywał nam profesor. To były niewielkie karteczki zwinięte w ruloniki, które ukrywałam w ubraniu. Nie było to zbyt skomplikowane zadanie. Musiałam jednak przemieszczać się po całej Warszawie, co wiązało się z ryzykiem wpadnięcia w łapankę. Miałam dużo szczęścia i nic takiego mnie nie spotkało. Tydzień przed aresztowaniem prof. Bryły zakazał nam przychodzenia do swojego mieszkania przy ul. Noakowskiego. Musiał czuć zagrożenie i nie chciał nas narażać. Niedługo później dowiedziałam się o jego rozstrzelaniu w publicznej egzekucji. Było to w grudniu 1943 r. Zapamiętałam profesora jako poważnego i zasadniczego człowieka, bardzo oddanego sprawie wychowania młodzieży. Zachęcał nas do nauki, chciał żebyśmy się rozwijały i nie traciły czasu. Ciągłe powtarzał, że tego, czego się nauczymy, nikt nam nie odbierze.

Oprócz współpracy z prof. Bryłą była pani sanitariuszką w harcerskim batalionie „Wigry”, którego dowódcą był kpt. Eugeniusz Konopacki „Trzaska”. Kiedy wstąpiła pani do oddziału i na czym polegała pani służba?

Złamałam wszelkie reguły konspiracji, ponieważ będąc jeszcze łączniczką prof. Bryły, zostałam sanitariuszką w batalionie „Wigry”. Bardzo chciałam służyć w oddziale wojskowym, nie było to jednak łatwe. Dzięki wstawieniu koleżanki udało mi się wreszcie dostać do organizacji. Miałymy szkolenia ze służby sanitarnej i łączności. Dużą wagę przywiązywano do sprawności fizycznej, uczestniczyłyśmy więc w tajnych zajęciach z gimna-

Strach szybko ustąpił chęci działania. Byliśmy młodzi, chcieliśmy być wolni, realizować swoje pasje i plany. Nie mogliśmy tego robić, narastał w nas bunt, stąd nasze zaangażowanie w działalność konspiracyjną i przygotowania do otwartej walki z okupantem

styki. Ponieważ miałam długie i cienkie ręce oraz nogi, wisząc na drabince przypominałam pająka, stąd wziął się mój pseudonim.

Jak zapamiętała pani wybuch powstania? Jakie uczucia towarzyszyły pani w tamtych momentach?

Mimo że chciałam działać, czekałam na tę chwilę, czułam strach. Pamiętałam opowieści mamy, która jako dziecko przeżyła I wojnę światową. Opowiadała, że najbardziej dokuczał jej głód. Mocno zapadło mi to w pamięć. Strach jednak szybko ustąpił chęci działania. Byliśmy młodzi, chcieliśmy być wolni, realizować swoje pasje i plany. Ponieważ nie mogliśmy tego robić, narastał w nas bunt, stąd nasze zaangażowanie w działalność konspiracyjną i przygotowania do otwartej walki z okupantem. Kilka dni przed powstaniem był rozkaz, żeby osoby z oddziału, które mieszkają w prawobrzeżnej Warsza-

wie, przeniosły się do lewobrzeżnej części miasta. Zamieszkałam więc u koleżanki przy ul. Leszno. Rodzice wiedzieli o zbliżającym się wybuchu zrywu. Nie zatrzymywali mnie jednak, rozumieli sytuację.

1 sierpnia 1944 r. ojciec koleżanki nakarmił nas zupą i po południu udałyśmy się do miejsc zbiórek – koleżanka do Śródmieścia, a ja na Stare Miasto, na ul. Kilińskiego 1. Jakież było moje rozczarowanie, gdy następnego dnia rano otrzymałyśmy informację, że powstanie się nie udało, chłopcy przeszli na Wolę, a dziewczęta mają się rozejść do domów. Wiedziałam, że nie ma szans, by udało mi się wrócić na Saską Kępę. Postanowiłam więc z dwiema koleżankami udać się do mojej ciotki, która mieszkała w Śródmieściu przy pl. Napoleona. Udałyśmy się w stronę pl. Zamkowego i Krakowskiego Przedmieścia, i dalej, w rejon pl. Piłsudskiego. Tam jednak było mnóstwo niemieckiego wojska. Zawróciłyśmy więc i skierowałyśmy się w stronę pl. Grzybowskiego. Dotarłyśmy na ul. Mariańską 1, gdzie działał szpital powstańczy (budynek istnieje do dzisiaj). Przez następne dni pełniłyśmy tam służbę jako sanitariuszki.

Pierwszego dnia zbierałyśmy pościel oraz materiały opatrunkowe od okolicznych mieszkańców, a później dyżurowałyśmy przy rannych. Chciałyśmy jednak działać przy oddziale wojskowym. Po kilku dniach wróciłyśmy więc na Starówkę, gdzie przy ul. Kilińskiego 1 spotkałyśmy żołnierzy z naszej macierzystej jednostki. Tak rozpoczęła się moja służba sanitariuszki na Starym Mieście, która trwała do 2 września 1944 r.

Szczególnie tragicznym dniem dla obrońców Starówki był 13 sierpnia, kiedy przy ul. Kilińskiego wybuchł ciężki transporter ładunków wybuchowych – Borgward B IV, tzw. czołg pułapka. Jak zapamiętała pani to wydarzenie?

13 sierpnia rano wróciliśmy z ul. Barokowej, gdzie przez kilka dni nasz oddział stanowił osłonę dowódcy AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”. Było już późne popołudnie,



gdy w naszej kwaterze sanitariuszek przy ul. Kilińskiego 1 usłyszałyśmy okrzyki i wiaty ludzi. Wyszłyśmy na balkon i zobaczyłyśmy pojazd z zatknietą białą-czerwoną flagą, który jadąc ul. Podwałę, skręcił w Kilińskiego. Towarzyszył mu tłum rozentuzjasmowanych powstańców i cywilów, było wśród nich mnóstwo kobiet z dziećmi. Udzieliła się nam radość tłumy, zaczęłyśmy wznosić okrzyki i bić brawo. Gdy pojazd minął naszą kwaterę i był na wysokości domu Kilińskiego 3, zatrzymał się i eksplodował. Nie słyszałam wybuchu, widziałam tylko czerwoną, ognistą kulę. Ocknąłam się, leżąc na balkonie. Podała mi nade mną leżeli ludzie. Poczulałam, że jestem zakrwawiona. Pomyślałam, że umieram, nic mnie jednak nie bolało. Byłam przekonana, że w budynku uderzył pocisk, tzw. krowa, co oznaczało, że za chwilę trafią kolejne. Nic takiego się jednak nie stało. Udało mi się wstać. Na balkonie nie było barierki, dookoła mnóstwo krwi. Słychać było jęki rannych i konających, obok leżał tułów człowieka bez głowy, nóg i rąk. Najgorsze były jednak krzyki, a właściwie niekończące się wycie kobiet szukających swoich dzieci. I kolejna scena, tym razem z naszego pokoju, w którym wisiało mnóstwo sznurków, na których suszyłyśmy bieliznę i bandaże. Zamiast nich zobaczyłam wiszące ludzkie szczątki. To było coś tak potwornego, że wręcz nie-realnego. I to niekończące się wycie zrozpaczonych kobiet. Czegoś takiego nigdy nie przeżyłam.

Kilka dni później uczestniczyła pani w wyniesieniu z płonącej katedry św. Jana przy ul. Świętojańskiej cudownego krucyfiks baryczkowskiego, czyli późnogotyckiej rzeźby Chrystusa Ukrzyżowanego. Czy może pani opisać tę sytuację?

To było 16 sierpnia. Żołnierze z naszego oddziału zostali skierowani do obrony katedry św. Jana, która od kilku dni była zaciekle atakowana przez Niemców. Razem z koleżanką Teresą Potulicką (po mężu Łatyńską) zostałyśmy oddelegowane, żeby wspierać naszych kolegów. Zaopatrzone w ap-



Barbara Gancarczyk i Katarzyna Utracka

teczki udałyśmy się w rejon katedry. Zajęłyśmy pokój w budynku przylegającym do świątyni. Niemcy od rana ostrzeliwali rejon świątyni, w której wybuchł pożar. Razem z Teresą zauważyłyśmy księdza, który usiłował ratować cudowny krucyfiks z kaplicy Baryczków. Nie mogąc zdjąć go ze ściany, odczepił rzeźbę od krzyża. Tym kapłanem był ks. Wacław Karłowicz „Andrzej Bobola”. Ponieważ figura była ciężka, od korpusu odłączył ręce, które mi przekazał. Musieliśmy jak najszybciej opuścić płonąca świątynię. Pozostałe elementy rzeźby niósł ks. Karłowicz wraz z innym powstańcem. Przy kościele jezuitów zesłaliśmy do piwnic, połączonych ze sobą wybitymi przejściami. Podziemia były zapełnione ludźmi szukającymi w nich schronienia. Tłok był tak duży, że mieliśmy problem z przejściem. Krzyknęłam więc, że niesiemy cudowną figurę Chrystusa z katedry. Ludzie natychmiast się rozstąpili. Padali na kolana i plakali, inni modlili się, prosząc o cudowne ocalenie. To była niezapomniana chwila. Gdy doszliśmy do Rynku Starego Miasta, przekazałam jednemu z powstańców elementy rzeźby i wróciłam do oddziału. Cudowna figura Chrystusa przetrwała powstanie, do dzisiaj wisi w kaplicy Baryczków.

Co szczególnie utkwiło pani w pamięci z walk powstańczych?

Cały czas mam w pamięci 16-letniego powstańca z naszego oddziału – strz. „Sokoła”. Martwił się, że jego matka umiera z niepokoju, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Staralam

się nim opiekować. On również mnie polubił. Pewnego dnia został ciężko ranny – dostał w okolice nerek i bardzo krwawił. Denerwował się, że lekarze nie chcą go operować. Uspokajałam go, tłumacząc, że stracił dużo krwi i musi się nieco wzmocnić, żeby przejść operację. Było z nim jednak coraz gorzej. Masowałam mu sztywniejące nogi i ramiona, starając się pomóc, jak potrafiłam. W pewnej chwili pochylając się nad nim, poczułam delikatny pocałunek w policzek. Chwilę po tym stracił przytomność i 15 minut później już nie żył. Do dzisiaj o nim myślę, o tym ostatnim pożegnaniu.

Najtrudniejszy moment dla pani w powstaniu?

Najtrudniejszy był upadek Starego Miasta. W nocy z 1 na 2 września mój oddział wycofał się kanałami do Śródmieścia. Nie można było już ewakuować rannych. Część sanitariuszek, wśród nich ja z „Janką”, postanowiłyśmy zostać z rannymi.

Nie bałyście się? Czy to była trudna decyzja?

Prawdę mówiąc, nie miałyśmy świadomości zagrożenia. Docierały do nas informacje, czego Niemcy dopuścili się na Woli. Uważałyśmy jednak, że skoro na Starówce zostali sami ranni i cywile, to nieprzyjacieli nie posunie się do takich okrucieństw. Zwyczajnie nie wierzyłyśmy, że jest do tego zdolny. Powtarzałyśmy sobie, że przecież wszystkich nie wymordują. Z tym przekonaniem zostałyśmy z rannymi kolegami przy ul. Kilińskiego 1. Gdy niemieckie oddziały zaczęły zajmować dzielnicę, nakazali wyprowadzać rannych z budynków. Część kolegów przebywała w szpitalu przy ul. Długiej 7. Stwierdziłyśmy, że przeniesiemy tam rannych z Kilińskiego. Sądziłyśmy, że będą tam bezpieczni. Gdy przetransportowałyśmy rannych kolegów, spotkałyśmy ks. Tomasza Rostworowskiego „Ojca Tomasza”. Powiedział roztrzęsionym głosem, że przy ul. Kilińskiego 3 zostali ranni powstańcy z batalionu „Gustaw”, których trzeba jak najszybciej ewakuować. Udało nam się wynieść stamtąd



Reakcja III Rzeszy na Powstanie Warszawskie

*Niemcy do ostatniej chwili uważali polskie
przygotowania powstańcze za propagandową grę*

Jeszcze 1 sierpnia 1944 r. o godz. 12.00 H. Stechbarth, żołnierz jednostki samochodowej stacjonującej w Warszawie, wraz ze swoim dowódcą udali się na „zwiedzanie” ruin zburzonego getta. W swoim dzienniku Stechbarth nazwał ten teren „obrazem bezsensownego zniszczenia, którego nie mógł się szybko pozbyć”. W drodze powrotnej do bazy usłyszał narastające dudnienie. Zastanawiał się, skąd te wybuchy: „Co się właściwie dzieje? Każdy zadaje sobie to pytanie. [...] Nie mogą to być jeszcze Rosjanie, ponieważ wydaje się, że udało się ich odeprzeć, a więc jest to poważna akcja partyzancka. Huczy i trzeszczy tak, że nikt nie mógł już dłużej wytrzymać w biurze: wszyscy rzucili się do broni” (cyt. za „Dziennik H. Stechbartha 24.07–6.10.1944”, IPN BU 2535/1996, tłum. P. Brudek).

Kiedy 2 sierpnia niemieccy czołgści próbujący dostać się do warsztatów naprawczych na forcie Bema, wjechali swoimi panterami w sam środek pozycji Zgrupowania „Radosław”, nawet nie wiedzieli, że w mieście wybuchło powstanie. Dowództwo 9. Armii zareagowało charakterystycznie na kompromitujący fakt zdobycia czołgów przez „bandytów” – z raportu o stratach usunięto sam fakt ich istnienia wraz z załogami.



PAWEŁ BRUDEK

HIMMLER NA KOLACJI

Wybuchu powstania tym bardziej nie zauważyły elity III Rzeszy. Minister okupowanych terytoriów wschodnich Alfred Rosenberg pominął je w swoich wspomnieniach. Dla niemieckiego sztabu było wiadome, że za zamieszkami stoją „bandy”, więc ich rozbiciem się zająć musiał Reichsführer SS Heinrich Himmler, który już wkrótce skierował tam kombinowane siły odsieczy z Gruppenführerem SS Heinzem Reinefarthem na czele.

Himmler, poinformowany o sytuacji w Warszawie przez Wilhelma Koppego, Wyższego Dowódcę SS i Policji w Generalnym Gubernatorstwie, 1 sierpnia udał się na kolację z Adolfem Hitlerem. Podczas spotkania czyn Polaków miał nazwać „błogosławieństwem” dającym okazję Niemcom do ostatecznego zniszczenia polskiej cywilizacji, utrudniającej im opanowanie Europy Wschodniej.

Później Himmler osobiście interweniował w szczególnych kwestiach związanych z powstaniem: nakazał postawić przed sądem niemieckiego prezesa Sądu Rejonowego w Warszawie za nieuprawnione otwarcie więzień, zaproponował

też Hitlerowi wykorzystanie sieci kanałów i piwnic w niemieckich miastach do produkcji uzbrojenia, zainspirowany meldunkami o militarnej roli podziemnej infrastruktury Warszawy.

Himmler kierował walką z powstaniem z dystansu. Sam nie pojawił się w mieście, kontrolując tylko wykonywanie poleceń. Podobnie próbował oddziaływać na sytuację generalny gubernator Hans Frank, którego władza nad Warszawą została bezpośrednio zagrożona. Frank reagował, zasypując ministra kancelarii Rzeszy Hansa Lammersa alarmistycznymi meldunkami i prośbami o przysłanie posiłków. Namiestnik Kraju Warty Arthur Greiser wpadł w panikę – uważał, że nie da się stłumić tego partyzanckiego zrywu. Minister propagandy Joseph Goebbels podejrzewał, że to tchórzliwy Frank zaraził Greisera tym czarnowidztwem. Sam fakt, że doszło do powstania, obciążał jednak Franka, którego uważano za fatalnego zarządcę, a podczas jego panowania rozpleniła się korupcja i demoralizacja niemieckiej administracji.

NIEBEZPIECZNE SCENARIUSZE

W początkach sierpnia toczyła się zażarta bitwa z Sowietami pod Okuniewem i Radzyminem; dowództwo Wehrmachtu uważało za oczywiste, że celem Armii Czerwonej jest wzięcie Warszawy szturmem po uprzednim jej okrążeniu. Kiedy do tego nie doszło, uspokojony Goebbels zapisał w dzienniku, że role w Warszawie uległy zmianie – teraz to Niemcy atakowali, Polacy desperacko się bronili. Minister rozumiał jednak, że sytuacja nie jest wystarczająco opanowana i nie informował niemieckiej opinii publicznej o wybuchu powstania.

Mimo że do miasta przybyły znaczące siły niemieckie pod dowództwem SS-Obergruppenführera Ericha von Bacha, podwładnego Himmlera, nie wierzono już w szybkie stłumienie zrywu. Wcześniejsze desperackie pomysły generała Luftwaffe Roberta Rittera von Greima, by zrównać Warszawę z ziemią zmasowanymi nalotami, zignorowano, by uniknąć strat własnych. Niepokój budziły niejasne polskie plany – obawiano się, że zryw w Warszawie jest tylko sygnałem do powstania w Generalnej Gubernii.

Goebbels polecił Wilhelmowi Ohlenbuschowi, szefowi propagandy w rządzie GG, sporządzić raport o prawdopodobieństwie wybuchu powstania w Krakowie. Brak polskich działań na tym kierunku pozwoliły skupić się wyłącznie na Warszawie, o czym Goebbels pisał 23 sierpnia: „Nie mam żadnego współczucia dla Polaków. Zrobiliby lepiej, gdyby się powściągnęli. Jeśli powstanie przyniosłoby sukces, z pewnością odnotowalibyśmy jego powtórzenie na całym okupowanym jeszcze przez nas obszarze Polski. Po tym, jak pucz



Niemiecki transporter opancerzony ostrzeliwuje rakietami pozycje powstańcze, niemiecka fotografia propagandowa

w Warszawie tak żałośnie się załamał, tego rodzaju niebezpieczeństwo już nie istnieje” (cyt. za: J. Goebbels, „Dzienniki”, t. 3: 1943–1945, tłum. Eugeniusz C. Król, Warszawa 2014).

POWSTANIE OCZAMI ŻOŁNIERZY

W efekcie działań Landsерów (szeregowców) Wehrmachtu milionowe europejskie miasto rozpadało się. Początkowo skala zniszczeń szokowała, szybko jednak nauczono się ją usprawiedliwiać choćby tym, że przecież alianckie naloty dokonywały podobnej destrukcji miast niemieckich. Nie było to żadne pocieszenie, bowiem do żołnierza w każdej chwili mogło przyjść zawiadomienie o nalocie na jego rodzinne miasto. Dostawał przepustkę, by pojechać do siebie i pomóc najbliższemu, pozbawionemu teraz środków do życia. Tymczasem w Warszawie walczyło z niewidzialnym przeciwnikiem, określanym przez propagandę mianem „Heckenschützen” – strzelcy zza węgła.

Cel polskiej walki pozostawał nieistotny, o AK myślano jak o komunistycznych bandach, niegodnych traktowania zgodnie z prawami wojny. Koszmarem była walka na małym dystansie, w której żołnierz pozostawał narażony także na ogień od swoich. 23 sierpnia szeregowiec H. Stechbarth zapisał: „Detonacja. Wyglądam przez okno. Co się dzieje? Chmura piasku wiruje w połowie drogi na lewo od naszej



stacji benzynowej, tylna część baru zostaje uniesiona w powietrze, wokół niej walają się odłamki. To jest przecież jakiś szalony wybrzyk naszej własnej artylerii [...] Już przybywa dwóch rannych. Starszy rachmistrz Volkenborn leży martwy na pierwszym piętrze [...]. Wygląda to strasznie” (cyt. za: „Dziennik H. Stechbartha”, tłum. P. Brudek).

Działania saperów bardziej przypominały katorżniczą robotę fizyczną w warunkach bezpośredniego zagrożenia życia niż zwycięską walkę godną pochwały w raportach Wehrmachtu. Josef Mack, 22-letni saper, po latach wspominał: „Spotkaliśmy się w sklepie, który był dostępny tylko przez zewnętrzne drzwi. Jak się tam dostać, skoro nie ma drugich drzwi? Lider grupy powiedział do nas obu: »Wy, pionierzy, musicie wybić dziurę w ścianie, abyśmy mogli dostać się na inne piętra«. Rozejrzeliśmy się w sklepie i znaleźliśmy pod ladą dwa kamienie wagowe, 1 kg i 2 kg. Tymi narzędziami stukaliśmy przez dwie godziny, aż do uzyskania otworu od 50 do 80 cm. Podczas tego procesu prawie wylamaliśmy sobie palce, ale dwóch mężczyzn zdołało ostrożnie przeczolgać się przez otwór i oczyścić resztę pomieszczeń granatami ręcznymi. Atak dwóch stukasów uderzył w dom po drugiej stronie ulicy i w nasz budynek, tak że cały sufit spadł na nas” (cyt. za: Josef Mack, „Meine Soldatenzeit als Heeressturmpanier. Von der Musterung bis zur Heimkehr 1942–1945”, Euerfeld 2010, tłum. P. Brudek).

Pokonanie polskiego oporu nie kończyło walki, a im dłużej trwała, tym większy był strach przed sowieckim okrążeniem i niewolą. W takim przypadku wielu żołnierzy było gotowych na samobójstwo.

PROPAGANDOWA BITWA

Militarne uwarunkowania żmudnego rozbijania polskiego oporu nie interesowały żadnego z przywódców Rzeszy. Ale powstanie inaczej jawiło się na arenie politycznej gry. Ujawniało kulisy działania antyhitlerowskiej koalicji. Goebbels patrzył na nie przez pryzmat fascynującego go zjawiska, czyli sowietyzacji Polski. Obserwował działania Moskwy wokół Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, czyli organizowania komunistycznych wieców poparcia jako wstępu do „przewrotu i utworzenia republiki rad”. W jego rozumieniu powstanie wybuchło pod wpływem fałszywych sowieckich obietnic pomocy, których nie dotrzymano, pozwalając na



rzez „polskiej arystokracji i obozu narodowego”. Świadomość, że w takiej sytuacji stłumienie powstania przez Niemców będzie stanowić znaczący sukces Stalina w żaden sposób nie mącił dobrego samopoczucia ministra propagandy, widzącego w Niemczech jedyną „ostoję anty bolszewizmu”.

17 sierpnia odbyła się tajna konferencja Ministerstwa Propagandy z Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy, w jej trakcie opracowano wytyczne dla publikacji na ten temat. 18 sierpnia dziennikarze niemieccy wiedzieli już, że pisząc o powstaniu mają „sprawiedliwie rozkładać winę na obie strony”, oskarżając Anglików i bolszewików jako cynicznych podżegaczy polskiej emigracji w Londynie. Czołowy partyjny organ prasowy NSDAP „Völkischer Beobachter” z 18 sierpnia przykuwał uwagę niemieckiego czytelnika nagłówkiem: „Szatańska gra”, mając na myśli taktykę Sowietów, dążących do zniszczenia „polskich





sił narodowych” i zarazem kompromitując politycznie polski rząd na emigracji.

Do 8 października „Völkischer Beobachter” opublikował w sumie 20 artykułów i karykatur, w których powstańcy, dotąd „ofiary” Londynu i Moskwy, jawili się jako bandyci. „Kłęska powstania i zaprzestanie walk w Warszawie były sygnałem, by zmienić ton: teraz powstańcy stali się zdradzonymi i oszukanymi bohaterami. Goebbels uważał siebie za zwycięzcę w grze, jakim miało być odpowiednie ukształtowanie obrazu powstania za granicą” (cyt. za: E.C. Król, „Powstanie Warszawskie oczami wroga – ciąg dalszy dzienników ministra III Rzeszy Josepha Goebbelsa”, „Stolica” 2012, nr 6–7).

Gdy Goebbels pisał o kłęsce powstania, interesowała go jego przyczyna. Według niego załamanie nastąpiło, gdy upadło morale ludności cywilnej, które zarazem destrukcyjnie wpływało na wolę walki powstańców. Przewidując, że już niedługo niemiecka ludność cywilna znajdzie się na terenie objętym walkami, Goebbels postawił sobie za cel, by propagandowo nie dopuścić do podobnego załamania na niemieckim „froncie wewnętrznym”. W myśl jego zapisków powstanie mogło pełnić rolę silnego bodźca w celu „pokrzepienia serc” żołnierzy Wehrmachtu i funkcjonariuszy policji.

Słowa Goebbelsa dotarły do kpt. Wilma Hosenfelda z Komendantury Wehrmachtu Warszawa: „Tak przyjemnie słucha się tego przemówienia, że człowiek ma wrażenie, jakby siedział w ciepłej kąpieli, ale potem stał nagi na zimnym wietrze i marzł, i szczykał zębami. Retoryczna gra słów! W każdym

razie przyjemnie kontrastuje z zimnym brzmieniem głosu Hitlera” (cyt. za: Wilm Hosenfeld, „»Staram się ratować każdego«: życie niemieckiego oficera w listach i dziennikach”, tłum. Janusz Tycner et al., red. nauk. Eugeniusz C. Król, Winfried Lipscher, Warszawa 2007).

OD „ZWYCIĘSTWA” W WARSZAWIE DO KATASTROFY NIEMIEC

Zagłada Warszawy z perspektywy wojny mocarstw i ideologii stawała się zjawiskiem pożądanym i korzystnym dla Niemiec. Tak wyglądało to z punktu widzenia Berlina, acz już zupełnie inaczej było w oczach kpt. Hosenfelda, który prawie całą wojnę przesłużył w stolicy Polski: „Warszawa ma być oddana, a tym samym i Polska, a wojnę można uznać za przegraną. Oddajemy wszystko, co mieliśmy przez 5 lat w posiadaniu, co rozbudowywaliśmy i przed światem zadeklarowaliśmy jako zdobycz wojenną. Zużyto ogromne środki. Zachowywaliśmy się, jakbyśmy byli panami, którzy nigdy stąd nie odejdą. Teraz, kiedy musimy przyznać, że wszystko jest stracone, niszczymy całą wykonaną pracę i unicestwiamy to wszystko, z czego tak dumna była administracja cywilna, która dostrzegała tu przecieź dla siebie wielkie cywilizacyjne zadania do wykonania, a realizując je, chciała dowieść świata swoją niezbędność. To bankructwo naszej polityki wschodniej, a burząc Warszawę, stawiamy tej polityce kamień nagrobny” (cyt. za: Wilm Hosenfeld, „»Staram się ratować...«”).

PROGRAM OBCHODÓW 80. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO – WYBRANE WYDARZENIA

26 lipca – 7 sierpnia

„Pamięć »W« kadrze”

Szоста edycja konkursu fotograficznego na najlepsze zdjęcie wykonane podczas obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Regulamin konkursu na: 1944.pl

Fotografie należy wysłać na: foto@1944.pl

29 lipca • poniedziałek

godz. 16.00

Apel rozpoczynający Złot Harcerski

„Zawsze »W« pamięci” w 80. rocznicę Powstania Warszawskiego

Cytadela Warszawska

30 lipca • wtorek

godz. 11.00

Spotkanie Powstańców Warszawskich z prezydentem RP Andrzejem Dudą i prezydentem m.st. Warszawy Rafałem Trzaskowskim

Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

Wstęp z zaproszeniem dla Powstańców i ich rodzin

godz. 18.00

Wernisaż wystawy „Rzeczywiste. 80 wyjątkowych przedmiotów z Powstania Warszawskiego”

Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania

Warszawskiego

Wstęp z zaproszeniem

31 lipca • środa

godz. 17.00

Wernisaż wystawy plenerowej „Kolor Powstania 1944”

Muzeum Łazienki Królewskie, Galeria Plenerowa przy Alejach Ujazdowskich 4

Wstęp wolny, wystawa otwarta do 29 września

godz. 18.00

Uroczysta polowa msza święta

pl. Krasińskich

Wstęp z zaproszeniem

godz. 19.00

Apel Pamięci i składanie kwiatów pod pomnikiem Powstania Warszawskiego

pl. Krasińskich

Wstęp z zaproszeniem

1 sierpnia

czwartek

godz. 10.00

Uroczystości pod pomnikiem

„Mokotów Walczący 1944”

w parku gen. Gustawa Orlicz-Dreszera

Podniesienie na maszt flagi państwowej, rozpalenie „Ognia pamięci” i włączenie iluminacji pomnika na 63 dni, złożenie kwiatów

godz. 14.00

Uroczystości pod pomnikiem

„Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej”

– skrzyżowanie ulic Wiejskiej i J. Matejki

godz. W

Oddanie hołdu Powstańcom przy pomniku Gloria Victis

Cmentarz Wojskowy na Powązkach

godz. 17.00

„Wolność łączy” – akcja społeczna w miejscach pamięci Powstania Warszawskiego na terenie całej Warszawy

godz. 18.00

Uroczystość złożenia kwiatów na kurhanie, w którym znajdują się prochy ponad 100 tys. mieszkańców stolicy i ich powstańczego wojska. Modlitwa ekumeniczna przy pomniku Polegli Niepokonani

Cmentarz Powstańców Warszawy na Woli

godz. 20.30

„Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki” – wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru pod kierownictwem Jana Stokosy pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego
Śpiewniki do pobrania na: 1944.pl

godz. 21.00

Uroczystość rozpalenia Ognia Pamięci na Kopcu Powstania Warszawskiego park Akcji „Burza”, ul. Bartycka

godz. 24.00

Premiera opery „D'ARC”, reż. Krystian Lada
Muzeum Powstania Warszawskiego
Wstęp z zaproszeniem

2 sierpnia • piątek

godz. 10.00

Apel kończący Złot Harcerski w 80. rocznicę Powstania Warszawskiego

Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

3 sierpnia • sobota

godz. 17.00

Masa Powstańcza – przejazd rowerami szlakiem

Komendy Głównej Armii Krajowej

Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

Wstęp wolny. Udział po rejestracji na: rejestracja.1944.pl

3–6 sierpnia • sobota–wtorek

godz. 21.00

Opera „D'ARC”, reż. Krystian Lada

Muzeum Powstania Warszawskiego

Bilety do nabycia w kasie MPW oraz na:

bilety.1944.pl i eventim.pl

5 sierpnia • poniedziałek

godz. 18.00

Uroczystość w hołdzie ludności cywilnej Woli przy pomniku Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944,

skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno

i al. Solidarności

godz. 19.00

Marsz Pamięci – uroczyste przejście w kierunku cmentarza Powstańców Warszawy upamiętniające mieszkańców stolicy, którzy zginęli podczas Powstania Warszawskiego

Początek na skwerze Pamięci w rozwidleniu

ul. Leszno i al. Solidarności

godz. 20.30

Zakończenie Marszu Pamięci – zapalenie zniczy na kurhanie przy pomniku Polegli Niepokonani i na wystawie „Zachowajmy ich w pamięci” poświęconej ofiarom cywilnym Powstania Warszawskiego

Park Powstańców Warszawy

2 października • poniedziałek

godz. 18.00

Uroczystość zakończenia obchodów

80. rocznicy Powstania Warszawskiego.

Kopiec Powstania Warszawskiego, park Akcji „Burza”

CENTRUM INFORMACYJNE

Z myślą o Powstańcach Warszawskich, warszawiakach oraz turystach od 26 lipca do 3 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego działa centrum obchodów 80. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Czynne codziennie od godz. 10.00 do 18.00. Budynek C, Muzeum Powstania Warszawskiego, ul. Grzybowska 79, tel. (+48) 22 376 68 37, (+48) 22 539 79 36.

Strategia Ukrainy: przetrwać do jesieni

Siłły ukraińskie bronią się tak długo, jak ma to sens, starając się zadawać atakującym Rosjanom maksymalne straty, a potem wycofują się na nowe rubieże. Próbuje też odciąć Krym od zaopatrzenia. Moskale mają kłopot z rekrutacją nowych żołnierzy i ze sprzętem. Czy jesienią nastąpi przełom i dojdzie do rozmów pokojowych?

Jewgenij Dikij, ukraiński komentator wojskowy, w przeszłości dowódca kompanii w batalionie Ajdar, powiedział dziennikarzom, że „jeszcze rok wojny o takiej intensywności i Rosja nie wytrzyma”. Nawiązał w ten sposób do nowych realiów na froncie, które w skrócie sprowadzają się do tego, że strona ukraińska umocniła swe linie obrony, dostaje też więcej broni i amunicji od sojuszników, co pozwoliło na ustabilizowanie sytuacji. Rosjanie cały czas atakują, osiągając nawet zdobycze terytorialne, ale ich sukcesy mają charakter taktyczny, obejmują relatywnie nieduże tereny w Donbasie i nie ma mowy o złamaniu woli walki armii ukraińskiej. Podobnie myśli gen. Ołeksandr Syrski, dowódca

sił ukraińskich, który w wywiadzie dla brytyjskiego „The Guardian” powiedział, że „wie, jak wygrać wojnę” i że dziś straty atakujących Rosjan są trzykrotnie większe niż po stronie ukraińskiej.

KŁOPOT Z REKRUTACJĄ

Jak informował brytyjski wywiad, w kwietniu i maju Moskale stracili 70 tys. zabitych i rannych, a to zdaniem ekspertów oznacza, że ich wysiłek rekrutacyjny wystarcza na zaspokojenie potrzeb związanych z koniecznością uzupełnienia ubytków w sile żywej, ale nie pozwoli na budowę większego potencjału uderzeniowego. Co prawda



MAREK BUDZISZ

ostatnio w rosyjskich oficjalnych mediach pojawiły się informacje o tym, że udało się zwiększyć liczbę walczących z 500 do 670 tys., tak uważa też gen. Syrski, ale raczej nie zanoszą na to, aby w najbliższym czasie Rosjanom udało się sformować nową armię, niezbędną, by rozpocząć ofensywę na Charków.



O tym, że mają oni rosnące problemy z rekrutacją, świadczy choćby rosnąca skala premii finansowych dla tych, którzy zdecydują się podpisać kontrakt z siłami zbrojnymi. Ostatnio władze Moskwy poinformowały, że ochotnicy otrzymają jednorazowe wypłaty w wysokości 1,9 mln rubli, czyli ok. 22 tys. dol., jeśli zdecydują się pójść na wojnę, a przecież prócz tego dostają też finansowe zachęty od władz federalnych. Jak informują dziennikarze niezależnego portalu Versta, od wiosny wiele rosyjskich regionów podwoiło premie dla ochotników, co ich zdaniem może być dowodem na to, że liczba ochotników maleje. Topnieją też rosyjskie zapasy sprzętu.

KŁOPOT ZE SPRZĘTEM

Kilka tygodni temu niemiecki dziennik „Süddeutsche Zeitung” opublikował raport, z którego wynikało, że do tej pory Rosjanie głównie uzupełniali swe straty sprzętem odziedziczonym po ZSRR. Wynajęta przez gazetę firma doradcza przeanalizowała dziesiątki tysięcy zdjęć satelitarnych, które od początku wojny zrobiono nad wszystkimi rosyjskimi magazynami długotrwałego składowania pod chmurką. Wynikało z nich, że zasoby wyczerpią się jesienią 2025 r., ale już w br. Moskale będą odczuwać znaczące problemy z uzupełnianiem strat.

Jewgienij Dikij w rozmowie z portalem NV ocenił dwie rosyjskie ofensywy. „Jeśli porównamy dwa ataki na Wołczansk w 2022 i 2024 r., to w 2024 r. było ok. trzy razy więcej ludzi niż w 2022 r. i 10 razy mniej sprzętu. I to nie dlatego, że oszczędzili siły na tym kierunku. Dzieje się tak dlatego, że mają oni rzeczywiście problemy i one się kumulują”.

SKUTECZNA OBRONA I PRECYZYJNE ATAKI

W tej sytuacji frontowa strategia Ukrainy dziś sprowadza się do jednego – przetrwać.

Siły ukraińskie bronią się tak długo, jak ma to sens, starając się zadawać atakującym Rosjanom maksymalne straty,

a potem wycofują się na nowe rubieże, jak ostatnio w przypadku Krynek na lewym brzegu Dniepru w obwodzie chersońskim czy kolejnych przyczółkach w Donbasie.

Ale nie wyłącznie, bo siły podległe gen. Syrskiemu przygotowują się też do ambitniejszych działań, związanych głównie z Krymem, który jest uznawany w Kijowie za piętę achillesową Kremla. Jeśli udałoby się zakwestionować zdolno-

Siły ukraińskie bronią się tak długo, jak ma to sens, starając się zadawać atakującym Rosjanom maksymalne straty, a potem wycofują się na nowe rubieże. Próbuje też odciąć Krym od zaopatrzenia. Moskale mają kłopot z rekrutacją nowych żołnierzy i ze sprzętem. Czy jesienią nastąpi przełom i dojdzie do rozmów pokojowych?

ści Rosjan do kontrolowania półwyspu, Putin nie byłby w stanie zbudować ani na użytek wewnętrzny, ani tym bardziej międzynarodowy przekonującej narracji, iż Moskale wygrywają obecną wojnę.

W ostatnich dniach siły ukraińskie poważnie uszkodziły rosyjski prom kolejowy Sławianin, który do tej pory kursował między Krajem Krasnodarskim a Krymem, przewoząc wagony kolejowe i kontenery z zaopatrzeniem dla wojska. To znaczące osiągnięcie sił ukraińskich, bo była to ostatnia jednostka tej klasy, którą posługiwali się Rosjanie. W rezultacie zaopatrzenie półwyspu będzie możliwe wyłącznie przez most Kerczeński (który Ukraińcy w przeszłości już dwa razy skutecznie uszkodziли i zapowiadają jego zniszczenie „jeszcze tej jesieni”) oraz za pośrednictwem linii kolejowej biegnącej lądem przez Donbas.

Jest ona jednak w zasięgu ukraińskich dronów bojowych i artylerii raketowej, a to oznacza, że o rytmicznym zaopatrzeniu nie może być mowy.

Jak powiedział mediom Dmytro Plecenczuk, rzecznik prasowy ukraińskiej marynarki wojennej, w ub. tygodniu „Rosjanie wycofali wszystkie swoje okręty z Morza Azowskiego”. Po tym, jak Flota Czarnomorska w obliczu skutecznych ataków musiała ewakuować się z Sewastopola i wschodniej części Morza Czarnego, to kolejny znaczący sukces strony ukraińskiej. W efekcie dotychczasowych działań Ukrainie udało się odblokować swe porty czarnomorskie, a transport towarów masowych, przede wszystkim zboża i nasion słonecznika, wrócił do przedwojennego poziomu.

Drugim elementem ukraińskiej strategii wygrania wojny jest przeniesienie jej na teren Rosji. Już obecnie po serii ataków dronowych na rafinerie i magazyny paliwa siłom ukraińskim udało się zniszczyć czasowo 17 proc. rosyjskich mocy produkcyjnych i wymusić wprowadzenie przez rząd Miszurstina ograniczeń w zakresie eksportu benzyny. Zelenski zapowiedział też rozwój własnego potencjału raketowego, a trzeba pamiętać, że za czasów ZSRR i jeszcze po jego rozpadzie Ukraina była znaczącym producentem tego rodzaju broni. Cele Kijowa są czytelne, chce on samodzielnie, nie pytając o zgodę sojuszników, atakować obiekty wojskowe i przemysłowe na rosyjskich tyłach, nie bojąc się o eskalację konfliktu, a może nawet ją prowokując.

ROSYJSKIE CELE

Jaka jest strategia Rosjan? Roman Kostenko, ukraiński deputowany z frakcji Gołos, sekretarz parlamentarnej komisji obrony, powiedział w wywiadzie, że chcą przede wszystkim wbić klin między wojsko a tyły. Dlatego intensyfikują ataki na cele cywilne, a uderzenie na szpital dziecięcy w Kijowie wcale nie było przypadkiem, lecz zaplanowanym elementem tej strategii. Chodzi o to, aby w ukraińskiej opinii publicznej i umy-

slach sojuszników zasiał wątpliwość, czy wojnę z Rosją można w ogóle wygrać. To dlatego Dmitrij Miedwiediew, były prezydent Federacji, a obecnie zastępca przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa, powiedział w wywiadzie dla „Argumentów i Faktów”, że Rosja jest w stanie prowadzić wojnę na Ukrainie do 2034 r., ale wówczas już nie będzie na mapie świata „tego sztucznego tworu”. Natomiast rzeczniczka rosyjskiego MSZ Zacharowa sugerowała, że Moskale mogą wysadzić tamę kijowską, zatapiając ukraińską stolicę.

Oslabieniu siły ukraińskiego oporu mają też służyć planowe uderzenia na infrastrukturę energetyczną, choć w tym przypadku, mimo niewątpliwych sukcesów, wydaje się, że Rosjanie znów nie docenili determinacji i innowacyjności przeciwnika.

Oleksandr Bentsa, którego historię opisał brytyjski dziennik „The Financial Times”, wymyślił dobrze rokujący biznes. Ten właściciel niewielkiego warsztatu na obrzeżach Kijowa kupował przed wojną na amerykańskich aukcjach rozbite samochody elektryczne Tesla. Jego mechanicy naprawiali je, ale teraz robią coś zupełnie innego. Wymontowują z nich akumulatory, które po rozebraniu można zamienić w 12 przydomowych „zbiorników energii” wielokrotnego ładowania, wystarczających nawet na 10-godzinne funkcjonowanie gospodarstwa domowego. Biznes jest bardzo lukratywny, bo zakup rozbitej tesli i jej transport na Ukrainę kosztuje 10 tys. dol., a jak powiedział dziennikarzom Bentsa, „prócz baterii można jeszcze sprzedać części”.

Przed wojną na Ukrainie produkowano 50 GW energii elektrycznej, teraz, po zajęciu przez Rosjan niektórych elektrowni, w tym takich gigantów jak na Zaporozżu, ale przede wszystkim po systematycznych uderzeniach rakietowych, które doprowadziły do zniszczenia 95 proc. mocy wytwórczych elektrociepłowni, wytwarza się jedynie 20 GW. W efekcie rząd został zmuszony do utworzenia listy przedsiębiorstw o priorytetowym znaczeniu, które mają preferencje, jeśli chodzi o zaopatrzenie w prąd, a pozostali, w tym ludność cywilna, muszą cierpieć z powodu wyłączeń trwających nawet 16 godzin na dobę. Nie ulega wąt-

pliwości, że tegoroczna zima będzie dla Ukraińców niełatwa.

Rosjanie zaczęli też używać do ataków na ukraińskie cele bomb gigantów, ważących 3,3 t pocisków szybujących przenoszonych przez lotnictwo strategiczne. Są one odpalane nad obszarem Federacji, poza zasięgiem ukraińskich systemów obrony, i potem radiowo naprowadzane na cele. David Axe, komentator wojskowy brytyjskiego „The Telegraph”, napisał, że tak potężne ładunki mają służyć przede wszystkim zastraszaniu, z militarnego punktu widzenia znacznie bardziej przydatne byłyby mniejsze i już używane w wojnie, ważące 1 t. Takich rosyjskie bombowce strategiczne mogą zabrać na pokład kilka w przeciwieństwie do jednego ładunku w przypadku car bomby.

NADZIEJE KOMENTATORÓW

Ukraińscy komentatorzy są zdania, że „Putinowi potrzebny jest rozejm”, bo bez niego już jesienią rosyjska armia zacznie odczuwać poważne problemy z uzupełnieniem znaczących strat. Trzeba będzie wówczas ogłosić albo kolejną mobilizację, co jest politycznie ryzykowne, zmniejszy też zdolności przemysłu, już obecnie mającego problemy ze znalezieniem rąk do pracy, albo przyglądać się beczynnemu, jak rosyjska armia zacznie słabnąć. Wówczas na niektórych odcinkach strona ukraińska może zacząć odzyskiwać inicjatywę, czemu ma sprzyjać pojawienie się jeszcze latem br. długo obiecywanych myśliwców F-16 i wzmocnienie ukraińskiej obrony przeciwrakietowej po szczycie NATO w Waszyngtonie. Z psychologicznego punktu widzenia po stronie sojuszników Ukrainy być może nastąpi wówczas przełom i uwierzą oni, że wojnę z Rosją można wygrać albo zakończyć na warunkach Zachodu.

MIEDZY PEKINEM A WASHYNGTONEM

W Europie już otwarcie zaczyna się myśleć o pokoju. Pozostają jednak dwa pytania: czy Putin będzie chciał usiąść do stołu rozmów, a jeżeli tak, to jakie porozumienie da się wynegocjować. W czasie niedawnej wizyty w Pekinie

minister Kuleba powiedział, że „Rosja nie jest jeszcze gotowa”, aby prowadzić rokowania pokojowe w dobrej wierze, a jego chiński odpowiednik Wang Yi potwierdził te oceny, zauważając, że okoliczności „jeszcze nie dojrzały”. Można przypuszczać, że podróż do Pekinu i trzygodzinna rozmowa Kuleby z jego chińskim odpowiednikiem jest nie tylko sygnałem pod adresem Moskwy, lecz także Waszyngtonu. Rozmowy w chińskiej stolicy koncentrowały się wokół planu pokojowego ogłoszonego pod koniec maja przez przedstawicieli dyplomacji chińskiej i brazylijskiej. Przewidywał on zawieszenie broni i „nierozszerzanie obszaru działań bojowych”, co Rosjanie odczytali, choć nie jest to do końca jasne, jako propozycję zachowania przez nich kontroli nad opanowanymi obszarami Ukrainy. Kijów interpretuje te propozycje inaczej, ale jednocześnie sygnalizuje gotowość do rozmów z przedstawicielami Rosji i stara się uzmysłowić amerykańskiemu sojusznikowi, że jeśli zostanie zmuszony do oddania części swego terytorium w zamian za pokój, to może przyjąć ofertę chińską, opierając się presji nowej administracji w Waszyngtonie.

Co ciekawe w podobnym tonie wypowiedział się ostatnio kanclerz Scholz. Pytany przez dziennikarzy o możliwość wycofania się Berlina z porozumienia z Amerykanami w sprawie rozmieszczenia w Niemczech w 2026 r. rakiet o zasięgu 2,5 tys. km zdolnych do osiągnięcia Moskwy, powiedział, że jedynym warunkiem „jest zakończenie przez Rosję wojny”. Gdyby Kreml przystał na tego rodzaju ofertę, to Trump, jeśli zostanie wybrany, miałby trudny dylemat – albo kontynuować wsparcie dla Kijowa z nadzieją, że wojnę uda się wygrać, albo zacząć wywierać na Zełenskiego presję, aby ten usiadł do stołu rokowań z Putinem i w imię pokoju poświęcił część swoich terenów. Tylko że w tym drugim scenariuszu Waszyngton nie może mieć pewności, iż Kijów wybierze ofertę amerykańską, a nie chińską, czemu po cichu mogą sekundować Niemcy marzący o powrocie starych, dobrych czasów. Ale by jesienią mogła się zacząć „wielka gra”, Ukraina musi przetrwać i na tym obecnie koncentruje się strategia Zełenskiego.

Pałacowy przewrót ustrojowy

Ledwie siedem dni minęło od zamachu na Donalda Trumpa, a urzędujący prezydent Joe Biden 21 lipca poinformował, że sam wycofuje się z wyścigu do Białego Domu. Dzieje przyspieszają i wszystko zaczyna wyglądać na to, jakby na oczach Amerykanów dokonały się pałacowy zamach stanu i zmiana ustroju



DARIUSZ MATUSZAK

W Kongresie trwają przesłuchania byłej już szefowej Secret Service Kimberly Cheatle, bo Amerykanie chcą się dowiedzieć, jak to w ogóle możliwe, że doszło do zamachu na byłego prezydenta i kandydata republikanów na ten urząd oraz gigantycznej kompromitacji służb. I już do końca świata miliony ludzi będą snuć różne teorie zwane spiskowymi na temat tego, co tak naprawdę zdarzyło się na wiecu w Pensylwanii. Czy domniemany zamachowiec transseksualista Thomas Matthew Crooks działał sam? Czy miał wsparcie kogoś ze służb, z otoczenia Trumpa? Czy to był spisek, czy akt samotnego wilka?

CZESKA KOMEDIA Z AMERYKAŃSKIM PREZYDENTEM

Podobnie tysiączne i piętrowe domniemania pojawiają się na temat tego, co tak naprawdę zdarzyło się 21 lipca w letniej rezydencji Joe Bidena w Rehoboth Beach w Delaware, gdzie



Fot. Steve Trawajda/Shutterstock.com

prezydent miał się kurować po zarażeniu COVID-19. Wielu, w tym Trump, twierdzi, że to choroba taktyczna. Jakkolwiek było, amerykański lud nie widział prezydenta przez siedem dni, odkąd 17 lipca w bazie lotniczej w Dover zniknął on z horyzontu. O tym, że chyba żyje, świat miał się dowiedzieć w nocy 21, kiedy na platformie X (d. Twitter) ukazało się kuriozalne w formie oświadczenie, że rezygnuje z ubiegania się o prezydenturę.

Cokolwiek by nie myśleć o tej decyzji, to sposób jej zakonikowania zakrawa na żart, kpinę z Amerykanów. Nie ma żadnego wystąpienia, nie ma orędzia do narodu, konferencji, nawet kilku słów przed kamerami w Białym Domu, tylko parę zdań w internecie. Jak od byle celebryty albo internetowego trolla. Mija doba i Amerykanie mogą sobie odsłuchać jakiegoś trzeszczącego nagrania przez telefon, puszczonego przy okazji wystąpienia prawdopodobnej kandydatki do prezydentury Kamali Harris. Milczy Biden, nie ma jego żony Jill, która tak ochoczo się udzielała, znika cała rodzina, aż zaczęto się zastanawiać, czy Joe Biden w ogóle żyje. Na dodatek na lotnisku w Waszyngtonie ląduje Skrzydło Syjonu – samolot z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu, który ma wygłosić przemówienie przed połączonym izbami Kongresu. Niemal nikt go nie wita, nie ma żadnego amerykańskiego oficjela dużego kalibru, jakby w Białym Domu nikt nad niczym już nie panował. Wokół chaos, czeska komedia, w której nikt nic nie wie, lub halucynacje, jak w dowcipie o lotewskim chłopie.

I dopiero tydzień po swym zniknięciu, trzy dni po swym internetowym wpisie, prezydent wychynął i spotkał się z narodem. Wygłosił dość banalne i pełne patosu orędzie, w którym ostatecznie potwierdził rezygnację i poparcie dla Kamali Harris. To był smutny obraz: mówiły tylko usta, reszta twarzy zdawała się martwa, a oczy puste. Niby jeszcze przez pół roku będzie prezydentem, ale już odwołano jego udział w najbliższych wydarzeniach, a na ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu zastąpi go żona. Orędzie przejdzie jednak do historii, bo być może to punkt zwrotny w dziejach Ameryki, zwłaszcza tej spiskowej, i potwierdzenie kształtowania się nowego ustroju politycznego.

PROPOZYCJA NIE DO ODRZUCENIA

Co tak naprawdę wydarzyło się w Rehoboth Beach wiedzą tylko jego najbliżsi współpracownicy, rodzina i on sam, jeśli w ogóle ma świadomość tego, co się wokół niego i z nim dzieje. No i jeszcze ci, którzy mieli przyjść do pogrążonego w mrokach swego umysłu prezydenta z propozycją nie do odrzucenia: albo rezygnujesz, albo... I tu zaczynają się teorie, które Amerykanie będą snuli już po wieki.

Na podstawie doniesień, zmanipulowanych informacji, bo przecież są one filtrowane i przekazywane w jakimś celu, przedstawimy wizję zdarzeń, która wydaje się prawdopodobna i sensowna. To nie jest jedynie opowieść o spiskach dworskiej kamaryli, pałacowych intrygach, lecz także o stanie demokracji w najpotężniejszym państwie świata. I pamiętajmy – wybory w Ameryce to jedno z najważniejszych wydarzeń w Polsce.

Jak brzmiała ta propozycja nie do odrzucenia, co też było tym obciętym końskim łbem, który w filmie „Ojciec Chrzestny” mafiozi wrzucili do łóżka hollywoodzkiego potentata? Wiele wskazuje na to, że była to 25. poprawka do konstytucji Stanów Zjednoczonych. W największym skrócie mówi ona o tym, że członkowie gabinetu i wiceprezydent przesyłają spikerowi Izby Reprezentantów i Senatowi oświadczenie o niezdolności sprawowania urzędu przez prezydenta. Nie muszą podawać powodu, więc w przypadku Bidena nie trzeba było pisać, że nie wie, co się z nim i wokół niego dzieje. Władzę przejmuje wiceprezydent. Od tego prezydent może się odwołać i o tym, czy nadal będzie pełnił swą funkcję, decyduje Kongres większością dwóch trzecich głosów. A więc albo, Joe, rezygnujesz z kandydowania, ale jeszcze do stycznia 2025 r. jesteś prezydentem ze wszystkimi należnymi przywilejami i hołdami, albo przeczolgujemy cię przez upokarzającą procedurę, z zemsty i dla przestrogi dla naszych przyszłych kukielek sprawiamy, że jakieś konsylium lekarskie będzie się na tobie znęcało publicznie, odbieramy zabawki i wywozimy meblowozem z Białego Domu. A na koniec wrzucimy do więzienia twego syna Huntera.

Ultimatum 25. poprawki miała przynieść 84-letnia emerytowana spiker Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. Poszła do Bidena w imieniu potężnych demokratów, a także wielkich sponsorów. Ci mieli zablokować datki, stąd być może rekordowe wpłaty na konta wyborcze Kamali Harris. Cud jak z unijnym KPO – wystarczyło, że zmienia się kandydat, jak u nas rząd, a pieniądze wielkim strumieniem płyną ku chwale demokracji.

Za intrygą i szantażem miał stać Barack Obama, a jednym z jej elementów było publiczne nawoływanie przez polityków, a także sławy jak George Clooney, by Joe Biden się wycofał. Do mediów, np. „Washington Post”, przeciekały informacje, iż Nancy Pelosi, lider mniejszości demokratów w Izbie Reprezentantów Hakeem Jeffries i lider większości w Senacie

Chuck Schumer na spotkaniach z każdym dniem mocniej naciskali na Bidena. Wedle „New York Post” prezydent miał się zachowywać jak sfrustrowany paranoik, kiedy kolejne delegacje przychodziły z żądaniem.

Spisek miano zawiązać już wiele tygodni temu, a jednym z jego elementów było namówienie Bidena do debatowania z Trumpem. Prezydent podobno jest w stanie funkcjonować tylko sześć godzin dziennie – między godz. 10 a 16, więc 90-minutowy pojedynek późnym wieczorem był dla niego zabójczy. Wszystko poszło zgodnie z planem, choć starszek zbyt długo się opierał, ale na końcu kryjący się za kotarą Obama miał się wściec, że demokraci postawili na nieulubianą, skrajnie niekompetentną Harris. Gdy piszę ten tekst, pani wiceprezydent nadal nie ma jego poparcia.

DELEGACI WASZYNGTOŃSKIEGO BAGNA

Może w szczegółach wszystko przebiegło inaczej, ale nie ma wątpliwości, że było ponuro i spiskowo, a rezultat jest doniosły.

W każdej organizacji są gry interesów i poufne rozmowy, w których wylania się liderów, ale to, co zobaczyli Amerykanie, było nie tylko przewrotem pałacowym jak w republice bananowej, lecz także potwierdzeniem zmiany ustroju. Oligarchowie oficjalnie zagarniają republikę. 14 mln głosów, które Joe Biden otrzymał w prawyborach demokratów, zostało wyrzuconych do kosza. Ich reprezentanta w wyborach prezydenckich ustaliło za pomocą telefonów i maili grono jakichś delegatów stanowych, którzy są zobowiązani głosować

na konwencji partyjnej na tego, którego wybrał lud. Ten w prawyborach wskazał na Joe Bidena.

Oprócz brutalnych wyborów Amerykę czeka więc być może kryzys konstytucyjny. Głosów nie można ot tak przenieść na kandydata, którego wskazali oligarchowie i owi delegaci. Republikanie już podważają legalność takiej nominacji, wskazując na przepisy w poszczególnych stanach, np. w Wisconsin. W skrajnym przypadku może się okazać, że Harris nie znajdzie się na liście wyborczej w jakimś stanie albo będzie miała rywala z obozu demokratów.

Jedno jest pewne: sami demokraci ściągnęli na siebie i Amerykę te problemy. Wszystko zaczęło się od wielkiego, powielanego przez cztery lata kłamstwa, iż Joe Biden jest w świetnej formie i może być przywódcą najpotężniejszego państwa świata. Brnięcie w łgarstwa i oszustwa uniemożliwiło wyłonienie prawdziwego kandydata, tak jak od zawsze robił amerykański lud. Jeśli przewrót pałacowy i ustrojowy się powiedzie, to już nie stany będą wybierały swego pretendenta do Białego Domu, a w efekcie przywódcę państwa, tylko wskaże go im Waszyngton. Będzie wylawiany z „waszyngtońskiego bagna”, jak Trump nazywa świat lobbystów, aparatu politycznego i ich usługowych mediów.

Za intrygą i szantażem stać miał Barack Obama, a jednym z jej elementów było publiczne nawoływanie przez polityków, a także sławy jak George Clooney, by Biden wycofał się

Jak Milei uzdrawia Argentynę



Mija już niemal rok od sensacyjnych prawyborów w Argentynie, gdy ponad 7 mln obywateli tego kraju uwierzyło w ekscentrycznego ekonomistę Javiera Mileia. Później potwierdzili swój wybór przy urnach, oddając mu klucze do pałacu prezydenckiego w Casa Rosada. Czy Milei wypełnił swoje obietnice? Wszystko na to wskazuje. I zrobił to w stylu, który musi budzić podziw



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Czupurny prezydent, przez wielu postrzegany jako argentyński Trump, wciąż nie ma dobrej prasy w mainstreamie nawet we własnym kraju. Może dlatego, że skutecznie – choć terapia nie jest pozbawiona bólu – przywraca „normalność” w państwie, które już dawno temu zaczęło być synonimem bankructwa w ekonomii oraz politycznych myśli i strategii. Argentyna naprawdę przyspiesza i uczciwy obywatel nie powinien mieć problemu z rozeznaniem, w jakim kierunku idą sprawy. Oczywiście pod warunkiem, że nie jest to lewicowiec lub inny aktywista na żołdzie syndykatów, NGO i tęczowej agendy. Milei zapewnia, że aby ożywić zrujnowaną gospodarkę, należy zmniejszyć obciążenia sektora państwowego, a to nie może się podobać jego nawykłym do socjalizmu rywalom i obywatelom, którzy już miesiąc temu przyjęli strategię „ulica i zagranica”, wszczynając protesty i bójki na ulicach.

REALNE SUKCESY W EKONOMII

W wywiadzie dla BBC Milei wyznał: „Nie obchodzą mnie wyzwiska nadawane mi przez przegranych, którzy zatopili ten kraj. Płaczą, bo boli ich międzynarodowe uznanie, które zdobyłem”. W maju, gdy lewica podpałała ulice Buenos Aires, Międzynarodowy Fundusz Walutowy pochwalił politykę gospodarczą Mileia, podkreślając, że „pozwała ona na szybsze niż oczekiwano postępy w przywracaniu stabilności makroekonomicznej”. Słowa uznania ze strony MFW padały zresztą

gęsto: „Należy podkreślić pierwszą kwartalną nadwyżkę fiskalną od 16 lat, gwałtowny spadek inflacji, ograniczenie ryzyka budżetowego, rozszerzenie pomocy społecznej na bezbronne matki i dzieci, ochronę siły nabywczej emerytur”. Nic dziwnego, że pewny swego planu Milei zdecydował się wyprowadzić na puczystów zastępy policji federalnej.

Lewa strona argentyńskiej sceny politycznej nie chce przyjąć do wiadomości, że „dobra zmiana” nadeszła z rąk „krzyżówki faszysty z liberałem”. Tyle że Milei naprawdę jest zdolnym ekonomistą, czasem nazywanym też „ekonomistą moralnym”, który w głębi duszy interesuje się etycznymi korzeniami leżącymi u podstaw każdego systemu gospodarczego. Z tego powodu nie przegapił żadnej okazji na forach międzynarodowych, aby ostrzegać o przemocy politycznej socjalistów i ich krwawym „dziedzictwie” 100 mln ofiar. Kirchneryzm, czyli radykalny peronizm (będący pochodną faszystyzmu i socjalizmu) rujnował Argentynę od 2003 r. Milei jest pierwszym politykiem od dekad, który ma szansę oduczyć Argentyńczyków przywiązania do rozdartego państwa socjalnego.

USTAWA PODSTAWOWA ZAZĘGNA KRYZYS

Niedawno Milei osiągnął ostateczne zażalenie ustawy podstawowej, której pozytywne skutki dopiero zaczynają być odczuwalne dla obywateli, a trzeba pamiętać, że jego partia ma zaledwie 38 z 257 po-

słowi i z 72 senatorów. Ustawa liczy ponad 300 artykułów, a więc będzie regulować mnóstwo kwestii. Najważniejszy jest nowy system promujący duże inwestycje, zmiana zapisów zatrudnienia (przedłużenie okresu próbnego i udogodnienia dla osób samozatrudnionych), poza tym uchyla wiele nie-szczęsnych reform poprzedników, które spowodowały zubożenie prowincji.

Ekspert z MFW i argentyński minister gospodarki Luis Caputo zgodził się co do celów przyspieszenia reform i wzmocnienia kontroli wydatków. Prezydent chce jak najszybciej znieść tzw. pułapkę kursową, czyli obowiązującą od 2019 r. kontrolę walutową, która ogranicza dostęp do dolarów. W kraju o „wiecznie” wysokiej inflacji, w którym dolar stanowi podstawowe zabezpieczenie oszczędności, to żywotna kwestia. Niestety Milei potrzebuje ok. 15 mld dol. więcej niż uzgodniono w programie kredytowym i nie wiadomo, czy MFW zwiększy pożyczkę. W maju rząd wprowadził do obiegu banknoty o nominałach 10 tys. i 20 tys. peso – do tej pory banknoty o najwyższych nominałach miały 1 tys. i 2 tys. peso. Argentyna, cierpiąca na astronomiczną inflację (287,9 proc. rocznie) po katastrofalnych rządach kirchnerystów, potrzebuje takich banknotów, aby obniżyć koszty logistyczne i ułatwić transakcje. Najlepszą wiadomością jednak jest to, że inflacja wreszcie spada, a jej zniknięcie jest ponoć kwestią czasu. Argentyńczycy wreszcie przestaną przysyłać swoje dolary za granicę, a zaczną deponować w bankach to, co teraz trzymają w skarpcie. Milei przekonuje rodaków do innego myślenia, aby wyrwać się z pułapki socjalizmu: „Mniej podatków – więcej zaufania – więcej inwestycji – więcej zatrudnienia – więcej konsumpcji – więcej aktywności – więcej dochodów”.

Obywatele dostrzegają starania prezydenta, aby spełnić obietnice wyborcze. Milei szuka też sposobów osiągnięcia konsensusu w sprawie zmiany kulturowej, czasem nawet odwołuje się do łagodnego szantażu. Aprobata ustawy podstawowej przez parlament była jego warunkiem przyjęcia tzw. paktu majowego, pod którym podpisało się aż 18 z 24 tamtejszych „wojewodów” (choć żaden nie był z partii Mileia) oraz marszałkowie izby poselskiej i senatu.

Treść paktu wyznacza nowy kierunek Argentyny: nienaruszalność własności

prywatnej, saldo fiskalne, ograniczenie wydatków publicznych do 25 proc. PKB (obecnie ok. 40 proc.), zmniejszenie presji podatkowej, nowy system finansowania województw, eksploatacja zasobów naturalnych, liberalizacja reformy pracy, reforma emerytalna, otwarcie na handel zagraniczny. Ten pakt jest uważany za śmiertelny cios zadany socjalizmowi w wydaniu kirch-

Lewa strona argentyńskiej sceny politycznej nie chce przyjąć do wiadomości, że „dobra zmiana” nadeszła z rąk „krzyżówki faszysty z liberałem”. Tyle że Milei naprawdę jest zdolnym ekonomistą, czasem nazywanym też „ekonomistą moralnym”

neryzmu. Niektórzy już obwołali Mileia cudotwórcą, mówiąc, że po kilku miesiącach rządzenia odniósł więcej sukcesów niż jakikolwiek prezydent w ciągu ostatnich dekad.

WOJNA Z LEWICĄ I FEMINISTKAMI

Podczas orędzia wygłoszonego 1 marca w Kongresie Narodowym Milei wykrzyczał wiele gorzkich słów pod adresem poprzedników, oskarżył kirchneryzm o orgię wydatków dla swojej kasty: „Państwo było dla nich stowarzyszeniem przestępczym zaprojektowanym w taki sposób, aby za każdą procedurą kryła się łapówka dla polityka”. Zapowiedział zamknięcie oficjalnej agencji informacyjnej, która pełniła rolę tuby propagandy kirchneryzmu, zniesienie publicznego finansowania partii politycznych, ograniczenie liczby doradców ustawodawców, zakaz możliwości ubiegania się o stanowiska dla osób skazanych za korupcję oraz zniesienie dożywotnich rent dla prezydenta i wiceprezydenta.

Parę lat temu Milei był ekonomistą-skan-dalistą z okienka telewizyjnego, dwa lata temu rozpoczął karierę posła, od grudnia

ub.r. jest prezydentem, zaś w maju stał się bohaterem i dla Argentyńczyków, i połowy Hiszpanów po brutalnej wymianie słownych ciosów z socjalistycznym premierem Hiszpanii, które zakończyło się największym w dziejach kryzysem stosunków dyplomatycznych między bratnimi krajami. Jedno trzeba przyznać: konflikt rozpętał hiszpański minister Óscar Puente, który zasugerował, że Milei zażywa narkotyki. Argentyńczyk nie pozostał dłużny i przybywając na wiec Voxu do Madrytu, powiedział co myśli o socjalizmie w wydaniu Sáncheza i jego „skorumpowanej żonie” Begoñi Gómez (przeciwko niej toczy się postępowanie w sądzie za handel wpływami i korupcję). Premier Sánchez uznał, że obraza żony jest wystarczającym powodem, aby zawiesić relacje dyplomatyczne i wycofać ambasadora z Argentyny. Tak uczynił, choć Hiszpania jest drugim inwestorem zagranicznym w Argentynie, a Hiszpanie to

tamtejsza największa diaspora.

Życie prezydenta usiłują uprzykrzyć nie tylko sprzyśnięte siły iberoamerykańskiej i hiszpańskiej lewicy, lecz także feministki, które wypowiedziały mu prawdziwą wojnę. „Przybycie Javiera Mileia i Victorii Villarruel [wiceprezydent] wraz z ich metodami gospodarczymi, politycznymi, społecznymi, materialnymi i symbolicznymi stanowi atak na cały naród argentyński, a w szczególności jest wyrazem nienawiści do kobiet i dysydentów seksualnych” – stwierdziła w oświadczeniu organizacja Mujeres de la Matria Latinoamericana (Mumalá). Milei konsekwentnie ucina finansowanie tęczącej agendy, a nawet rozwiązał istniejące dotychczas Ministerstwo Kobiet, Plcii Różnorodności, tłumacząc, że „nie ma miejsca na niepotrzebne wydatki za pieniądze podatników”, tym bardziej że, jak wykazał, resort ten miał więcej urzędników niż Ministerstwo Bezpieczeństwa lub Ministerstwo Obrony.

Przywódstwo Mileia jest skuteczne i co tu kręć – barwne. „Proszę Argentyńczyków o cierpliwość i zaufanie – powiedział w jednej z ostatnich przemów. – Jesteśmy na dobrej drodze. No i niech żyje wolność, do cholery!”

Wiara ateistów

Zdaniem Silvany De Mari przyjęcie ateizmu wymaga wiary w rzeczywistość, która zaprzecza wszelkim zasadom naukowym i stanowi gwałt na ludzkiej rozumności



GRZEGORZ GÓRNY

Ateizm to całkowicie irracjonalna ideologia – uważa włoska pisarka Silvana De Mari, jedna z najpopularniejszych na świecie autorek książek dla dzieci i młodzieży. Jej powieściowe sagi zaliczane do nurtu heroic fantasy (m.in. cykl „Ostatni elf”, „Ostatni ork” i „Ostatnie zaklęcia”) doczekały się tłumaczeń na kilkanaście języków, w tym na polski. Ostatnio autorka często zabiera głos na tematy światopoglądowe. Dowodzi np., że jeśli ktoś uważa się za ateistę, to musi uznać za prawdziwe trzy twierdzenia, które są nienaukowe, a nawet wręcz absurdalne: 1) wszystko powstało z niczego, 2) porządek zrodził się z chaosu, 3) to, co organiczne, narodziło się z tego, co nieorganiczne.

WSZYSTKO Z NICZEGO?

W XIX w. ateści wierzyli, że cały wszechświat wyłonił się z jakiejś pierwotnej materii, która jest wieczna. Odkrycia fizyków na początku XX stulecia obaliły jednak teorię, jakoby materia miała być wieczna. Dowiedziono, że ma ona (podobnie jak czas, przestrzeń i energia) swój początek. Zawsze można też zapytać, skąd się wzięła materia. Każdy skutek ma swoją przyczynę. Żadna rzeczywistość nie bierze się znikąd. Zawsze musi znajdować się coś na samym początku. Nawet jeśli przyjmujemy teorię Wielkiego Wybuchu, to

rodzi się pytanie, co było przed nim. Gdy odrzucimy możliwość istnienia Stwórcy, musimy przyjąć absurdalną tezę, że wszystko powstało z niczego.

Obowiązująca w fizyce teoria czasoprzestrzeni zakłada, że czas musiał się pojawić razem z przestrzenią. W związku z tym przyczyna wszechświata, która jest wobec niego zewnętrzna, musi się znajdować zarówno poza czasem, jak i poza przestrzenią. Co znamienne, tylko trzy religie mono-teistyczne (judaizm, chrześcijaństwo i islam) głoszą Boga, który nie jest tożsamy z wszechświatem ani nie zawiera się wewnątrz wszechświata.

PORZĄDEK Z CHAOSU?

Przyjęcie światopoglądu ateistycznego musi też zakładać, że porządek zrodził się z chaosu, czemu zaprzeczają odkrycia fizyki. Po Wielkim Wybuchu, do którego doszło ok. 14 mld lat temu, nastąpił gwałtowny rozwój wszechświata poprzez jego rozszerzanie się. Mógł się on odbywać na dwa sposoby: albo był chaotyczny i nieuporządkowany, albo zgodny z jakimiś regułami i zasadami. Jak zauważył amerykański fizyk i noblista z 1988 r. Leon Max Lederman, ów rozwój następował według logicznego planu, który układał się w prawa natury, jakby istniał jakiś inteligentny projekt przyszłości świata. Przyjęcie tego faktu oznacza uznanie, że musi istnieć jakaś wyższa inteligencja, na dodatek obdarzona siłą sprawczą, która zaplanowała ten rozwój.

Oczywiście są ludzie, którzy twierdzą, że ten uporządkowany świat wyłonił się z chaosu na zasadzie przypadku. Odpowiadając im, australijski neurofizjolog John Carew Eccles, lau-



Silvana De Mari

Fot. Facebook

reat Nagrody Nobla z 1963 r., sięgnął po następujące porównanie: „Przypuśćmy, że istnieje ogromny magazyn części aeronautycznych i wszystkie one znajdują się w odpowiednich skrzynkach lub na półkach. Jest to olbrzymia budowla, założmy, o boku długości 1 tys. km. Nadchodzi cyklon, który przez 100 tys. lat powoduje poruszanie się i zderzanie tych części ze sobą. Kiedy wreszcie się uspokaja, tam, gdzie był magazyn, stoi szereg czteromotorowców, już z obracającymi się śmigłami... Otóż według nauki prawdopodobieństwo, że przypadek stworzył życie, jest mniej więcej równe prawdopodobieństwu tego przykładu. Na dodatek z okolicznością obciążającą: no bo skąd pochodzą materiały w magazynie?”.

ŻYWE Z NIEOŻYWIONEGO?

Tak więc upieranie się przy twierdzeniu, że tak skomplikowane organizmy jak *homo sapiens*, posiadające 38 mld komórek i 2,5 bln połączeń informacyjnych, mogły powstać na zasadzie przypadkowych oddziaływań sił w naturze, jest całkowicie absurdalne. Jak zauważa austriacki badacz ks. prof. Andreas Resch: „Mikrobiologia wykazała, że tworzenie się komórek, molekuł czy protein nie jest wytłumaczalne bez struktury planowania. Dlatego nie sposób wyjaśnić fenomenu życia tylko za pomocą fizyki i chemii, bez odwołania się do pewnej inteligencji skrytej za widzialną stroną świata”.

Nie da się też naukowo obronić tezy, że to, co organiczne, mogło narodzić się z tego, co nieorganiczne. Z materii nieożywionej nigdy nie powstało żadne życie. Kto utrzymuje inaczej, przebywa w krainie fantazji. Jak mówi Silvana De Mari: „To, że komórka, DNA lub najbardziej banalne i małe cząsteczki organiczne mogłyby powstać same w wyniku przypadkowej agregacji atomów w tak szczególnych warunkach fizycznych i chemicznych, że nie jesteśmy w stanie ich odtworzyć, jest koncepcją całkowicie irracjonalną, którą kulturalnie i uprzejmie nazwać możemy głupim pomysłem”.

CZŁOWIEK Z MAŁPY?

Za całkowicie nienaukową De Mari uważa też teorię Darwina, która w podręcznikach szkolnych jest przedstawiana jako dowiedziona naukowo. Twierdząc, że człowiek pochodzi od małpy, darwiniści lubią podkreślać, że ludzie mają 98 proc. materiału genetycznego wspólnego z szympanсами. Oznacza to jednak, że różni nas 2 proc., a więc 800 odmiennych genów, czyli 1,2 mln innych nukleotydów. Przejście od małpy do człowieka musiałoby więc oznaczać 1,2 mln mutacji. Z doświadczenia wiemy natomiast, że każda najmniejsza nawet mutacja na poziomie pojedynczego nukleotydu powoduje groźne choroby, takie jak np. hemofilia czy fibrodysplazja,

czyli postępujące kosztne zapalenie mięśni.

Jak zauważa De Mari, na skutek mutacji „mieliśmy niezliczone przypadki raka, dystrofii i wad rozwojowych. Nie mieliśmy ani jednej użytecznej mutacji, takiej jak skrzela, skrzydła czy nawet liliowe włosy”. W odpowiedzi niektórzy podają przykład motyli, które zmieniają barwę skrzydeł w zależności od tego, na jakim podłożu siadają, jednak w rzeczywistości jest to adaptacja epigenetyczna, a nie genetyczna mutacja.

PRZEŁOMOWY CAŁUN

Silvana De Mari jest przygotowana do rozmów na takie tematy, ponieważ posiada wykształcenie lekarskie. Jest

Jedni uważają, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, drudzy, że wyewoluował na obraz i podobieństwo małpy. Za jednym i drugim przekonaniem stoją dwie różne wiary. Zdaniem Silwany De Mari tylko ta pierwsza ma wsparcie w rozumie

absolwentką medycyny na uniwersytecie w Turynie, gdzie specjalizowała się w chirurgii, endoskopii i psychologii poznawczej. Zanim rozpoczęła karierę literacką, pracowała w szpitalach we Włoszech i Etiopii. Poza tym jak sama przyznaje, przez pół wieku była ateistką i darwinistką. Jej ateizm i darwinizm nie miały jednak charakteru naukowego. Ich źródłem była niezgoda na Boga, który pozwala na cierpienie niewinnych. Nie mogła pogodzić się z istnieniem Stwórcy, widząc na oddziałach onkologicznych dzieci umierające na raka.

Przełom w jej życiu przyniosło dopiero poznanie wyników badań nad Całunem Turyńskim. Była człowiekiem rozumu, a nie wiary, nauki, a nie religii. Dlatego nie polegała na publicystycznych komentarzach, zarówno apologetycznych, jak i krytycznych wobec wspomnianej relikwii, lecz sięgnęła do źródeł i dokładnie prze studiowała wyniki wszystkich badań naukowych dotyczących owego lniatego płótna. Na tej podstawie doszła do przekonania o autentyczności całunu pogrzebowego z jerozolimskiego grobu.

DWIE WIARY

To odkrycie naukowe stało się dla niej początkiem odkrywania chrześcijaństwa (podobnie jak było impulsem do nawrócenia dla innych naukowców, badających Całun, takich jak Ray Rogers, Allan Wagner czy August Accetta). Tkanina z wizerunkiem umęczonego mężczyzny stała się dla niej także odpowiedzią na pytanie o niezawinione cierpienie i obecność zła w świecie. Zrozumiała, że Chrystus, choć sam był niewinny, dobrowolnie przyjął na siebie niewysłowione męki i katusze, aby każdy, kto doświadczył niezawinionego bólu, mógł zostać pocieszony na wieczność. W tej perspektywie śmierć staje się przejściem do nieskończoności, gdzie każdy ból będzie ukojony, a każde zło naprawione.

Dopiero gdy pisarka przyjęła wiarę chrześcijańską, pojęła, dlaczego do tej pory tak kurczowo trzymała się darwinizmu, mimo że był on nie do obrony z naukowego punktu widzenia. Otóż teoria Darwina stanowiła centralny filar, który podtrzymywał jej ateizm. Upierała się przy nim nie z powodów rozumowych, ale dlatego, że usprawiedliwiał odrzucenie przez nią Boga.

Jedni uważają, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, drudzy, że wyewoluował na obraz i podobieństwo małpy. Za jednym i drugim przekonaniem stoją dwie różne wiary. Zdaniem Silwany De Mari tylko ta pierwsza ma wsparcie w rozumie.

Na wino do krainy czarnego koguta



Zapadł zmierzch, ale magiczne San Gimignano dopiero budzi się do nocnego życia. Latem tawerny, restauracje i bary są wypełnione po brzegi. Nie ma dla nas wolnego stolika, więc siadamy jak inni – na schodach kościoła obok osterii. Kelner proponuje butelkę wina „na przeczekanie”, więc pijemy przed drzwiami świątyni jak wszyscy

O Toskanii słyszał chyba każdy. Niezwykły krajobraz, wspaniałe zabytki, wyśmienita kuchnia i najlepsze wino. Wszystko, czego dusza i ciało zapagną. Dlatego moja podróż do Toskanii nigdy się nie skończy. Wracam tam stale i nadal nie mam dość, a każda podróż zaczyna się lub kończy w San Gimignano. W tym średniowiecznym Manhattanie nadal przeży się 13 olbrzymich kamiennych wież obserwacyjnych, które były i są chlubą miejscowych rodów – im wyższa wieża, tym możniejsza rodzina, a kiedyś było ich ponad 70. 8-tys. miasteczko ma też sporo kościołów – jest ich aż 9.



PIOTR OSTROWSKI



ŚLADAMI IWASZKIEWICZA

Zabieram moich kompanów podróżą na Piazza Sant'Agostino, gdzie przez lata mieszkał Jarosław Iwaszkiewicz. Tu zresztą wszystko nosi nazwę Sant'Agostino: kościół, osteria, sklep z pamiątkami. Jest upalny wieczór. Wszystkie stoliki zajęte, a kelnerzy bezradnie gestykulują – trzeba czekać. Siadamy na schodach kościoła tuż obok knajpki. Giuseppe, który dziś kieruje salą, proponuje byśmy, jak inni, poczekali. Przynosi wino i przekąski – oliwki, orzeszki i bruschetty. – Polonia? – pyta. I sam sobie odpowiada: – Poeta Polacco, Iwaszkiewicz! Wskazuje ręką tablicę na ścianie jego osterii poświęconą polskiemu pisarzowi, który tu mieszkał i tworzył. – Tu, w pokoju na piętrze! – pokazuje, żywo gestykulując. Giuseppe dodaje, że Polacy czują się tu jak w domu, bo to „polskie” miejsce. Pijemy wino, a gdy zwalnia się stolik, jemy i rozmawiamy o naszym pisarzu. Mieszkał tu, tworzyli kochał, a jego miłością był podobno... młody Włoch.

My też kochamy San Gimignano i dlatego wybraliśmy nocleg w kamienicy z XIV w. przy rynku, tuż obok najsłynniejszej włoskiej lodziarni Gelateria Dondoli. Mój Boże, kto nie jadł tu lodowych deserów? Na zdjęciach widać gwiazdy muzyki, znanych aktorów i polityków, a nawet głowy państw. W środku nocy jemy lody szafranowe. Intrygujące.

Jeśli jednak chcemy spokoju, powinniśmy zatrzymać się w którejś z licznych winnic oferujących noclegi z degustacjami i zwiedzaniem. Na turystów czekają też miasta pełne zabytków i wszelkich atrakcji, poczynawszy od stolicy regionu Florencji z jej zapierającymi dech w piersiach zabytkami, katedrami i muzeami, ratuszem Palazzo Vecchio. Nie sposób ominąć równie starej i zabytkowej Sieny z jej owalnym rynkiem, na którym dwa razy w roku odbywają się słynne wyścigi konne palio czy volterry pamiętającej czasy Etrusków, nie wspominając o licznych małych, niezwykle malowniczych miasteczkach, jak Monteriggioni, w których czas jakby się zatrzymał. Toskania ma także fragment wybrzeża nad morzami Liguryjskim i Tyrreńskim oraz oczywiście to, z czego słynie najbardziej – malownicze, pagórkowate krajobrazy porzecinane rzędami smukłych cyprysów i dywanami winnic.

NA WINO DO STINGA

Bez wątpienia to raj dla koneserów wina i enoturystyki. Nic dziwnego, że w tym regionie Włoch własny kawałek świata chce mieć coraz więcej gwiazd show-biznesu, biznesu i polityki. Przykładem jest Sting, który z żoną Trudie Styler już 20 lat temu kupił XVI-wieczną posiadłość koło Greve in Chianti. Początkowo miała służyć jedynie jako letnia rezydencja rodziny, ale 350-ha teren stwarza tyle możliwości, że słynny wokalista i jego żona zdecydowali się na poważną produkcję wina i oliwy. Dziś w winnicy Tenuta il Palagio powstają wina, którym Sting nadaje nazwy pochodzące od tytułów jego piosenek. W sieci są fragmenty kameralnych koncertów, które muzyk czasami urządza dla swoich gości



i okolicznych mieszkańców. Można tu też znaleźć nocleg, bo winnica dysponuje pokojami dla turystów. Jeśli jednak nie stać nas na wczasy u Stinga, zawsze można pojechać do winnicy, aby w firmowym sklepie spróbować i zakupić kilka jego win.

Panująca od lat moda na sielską Toskanię sprawiła, że ceny poszybowały tam jak szalone. Dzisiaj hektar winnicy kosztuje ok. 1 mln euro. Wraz z rozwojem enoturystyki wzrósł też niestety koszt pobytów w winnicach. Kiedy 10 lat temu zatrzymaliśmy się w gospodarstwie Agriturismo Mormoraia, ceny były dla nas akceptowalne, choć nie były niskie, a teraz już niestety nie. To pieczołowicie i z wielką finezją odrestaurowana kilkusetletnia wiejska posiadłość z kompleksem kamiennych obiektów, którym przywrócono dawną świetność i urządzono w wysokim standardzie. Jest basen, winiarnia z restauracją, z której roztacza się wspaniała panorama na położone wokół bezkresne winnice i kamienne wieże San Gimignano. Właścicielem Mormoraia, której nazwa podobno pochodzi od dźwięków modlitw szepczanych w murach klasztoru przez zakonnice, jest mediolański przedsiębiorca Giuseppe Passoni. W latach 80. ub.w. przejął zrujnowaną farmę, a w 1995 r. wyprodukował pierwsze wino. Kiedy w 2012 r. do rodzinnego interesu dołączył syn Alessandro, farma nabrała eleganckiego sznytu, a produkcja organicznej formy.

Na 30 ha rodzina Passonich uprawia winorośl, a na kolejnych 10 ha – oliwki. Mormoraia słynie dziś z białego, rześkiego wina Vernaccia di San Gimignano i oczywiście z Chianti. Upraw często doglądają z... drona, przesyłając obraz do zarządcy i przebywającego na co dzień w Mediolanie właściciela seniora.

PRZEPIS NA CHIANTI

Toskania to Chianti, a Chianti to Toskania – dwie nierozdzielne silne marki. To jedna z najstarszych apelacji na świecie, określona dekretem księcia Toskanii Kosmy III Medyceusza, który w 1711 r. wyznaczył granice regionu słynnego dziś Chianti. W połowie XIX w. baron Bettino Ricasoli, wybitny znawca win i enolog, stworzył receptury dzisiejszego, klasycznego chianti. Jego przepis na idealne połączenie szczepów to minimum 75 proc. sangiovese z dodatkiem cabernet sauvignon lub canaiolo nero i białych odmian trebbiano czy malvasia.

Pomimo przepisu na Chianti można odnieść wrażenie, że wino to ma różne oblicza. Poniekąd jest to konsekwencją zróżnicowania terenu. Niemal 70 proc. powierzchni Toskanii to pagórkowaty obszar, co sprawia, że poszczególne siedliska różnią się mikroklimatem, glebą, nie wspominając o różnych technikach uprawy i robienia wina. Unikatowy spłot warunków geograficznych i klimatycznych tworzy tam terroir, który powinien dawać idealne wino. Ale Chianti padło ofiarą własnego sukcesu.

– Wraz z coraz większą popularnością spadała jego jakość. Skoncentrowani na zysku wytwórcy przestawili się na masową produkcję, a rynek zalala fala dość słabego wina – opowiada



Giorgia, która przygotowała dla nas degustację w winnicy Mor-moraia. Coraz więcej winiarzy chciało produkować świetnie sprzedający się trunek, a kolejne miejscowości zabiegały o włączenie ich w granice regionu. W latach 30. XX w. włoski rząd podjął decyzję o powiększeniu regionu Chianti, który dzisiaj sięga od przedmieść Florencji do granic Sieny.

CZARNY KOGUT WALCZY O JAKOŚĆ

Aby chronić markę i własną reputację, grupa producentów o najstarszych tradycjach postanowiła powołać stowarzyszenie winiarzy, których herbem stał się czarny kogut – Gallo Nero. I tak powstało Chianti Classico, marka win produkowanych w historycznym sercu regionu wokół trzech miasteczek – Radda in Chianti, Gaiole in Chianti i Castellina in Chianti. Z symbolem czarnego koguta, który jest umieszczany na butelkach ich wina, łączy się zresztą legenda z czasów, gdy dwa największe miasta Toskanii, Florencja i Siena, rywalizowały o hegemonię w regionie. Po latach sporów i zbrojnych walk postanowiły zawiesić topór wojenny i rozwiązać sprawę po dżentelmeńsku. Ustalono, że o świcie, po pierwszym piąniu koguta, z obu miast wyruszą rycerze i tam, gdzie się spotkają, wyznaczą granicę wpływów. Niestety biały sienieński kogut zaspiał, a czarny z Florencji zapiał bardzo wcześniej, wskutek czego rycerze z Florencji zaszli znacznie dalej, zatrzymując się zaledwie 15 km od granic Sieny.

Otrzymana w 1967 r. apelacja DOC, a w 1984 r. najwyższa DOCG nie przyniosły jednak znaczącej poprawy jakości Chianti. W przeciwieństwie do wciąż rosnącej sprzedaży: pękate butelki oplecione słomianym czy plastikowym koszykiem trafiały na rynki całego świata. Bardziej ambitni winiarze, zwłaszcza z obszaru Chianti Classico, zdali sobie w końcu sprawę, że tak dłużej być nie może.

– W latach 90. XX w. postanowili oddzielić się od pozostałych producentów i obecnie w obszarze Chianti są dwa niezależne regiony upraw oraz produkcji wina. Dopiero ta wewnętrzna konkurencja zdołała podnieść jakość naszych win, które znowu cieszą się uznaniem – wyjaśnia Giorgia.

OD WINNICY DO WINNICY

Przez serce regionu Chianti prowadzi Chiantigiana, słynna kręta i malownicza droga z Florencji do Sieny. Po drodze czeka wiele atrakcji, co chwilę do odwiedzin zachęcają winnice. Niektóre z nich to wystawne posiadłości, wręcz pałace, których wnętrza nieco onieśmielają. Inne to skromniejsze, swojskie gospodarstwa, ale wszędzie podejmą nas z radością i poczęstują swoimi przysmakami: chlebem i oliwą, serem i oczywiście winem, często nalewając je prosto z kadzi. Ale jak próbować i degustować, gdy ktoś jednak musi prowadzić auto? Oczywiście trzeba się ograniczać, ale bez lęku o utratę prawa jazdy. We Włoszech limit stężenia alkoholu we krwi kierowcy jest



znacznie wyższy niż w Polsce i wynosi 0,5 promila, zatem degustujący jeżdżą tu trochę dziabnięci.

Gdy podczas kolejnej degustacji w przepięknej winnicy Castello Albola mówię gospodyni, że spróbuję kropkę wina, ale o grappie

nie mam mowy, ta odpowiedziała z humorem. – Oj, możesz spróbować. Przy drodze Chiantigiana patrolu drogówki nie pamiętają nawet najstarsi Włosi. Jeśli jednak nieoczekiwanie by się pojawił, to i tak będzie miłosierny – śmieje się Maria.

Nic dziwnego – policjanci są czymiś synami, braćmi, mężami. Ok. 60 proc. mieszkańców regionu Chianti żyje z uprawy i produkcji wina, a co za tym idzie także z odwiedzających ich enoturystów. Co najciekawsze, na drodze tej niezmiennie rzadko dochodzi do stłuczek czy wypadków.

VIPY KOCHAJĄ WINO I DYSKRECJĘ

Podczas kolejnej wyprawy do winnic, przypadkiem gubiąc drogę nieopodal San Gimignano, trafiliśmy do niezwyklego miejsca, do którego nie prowadziły żadne drogowskazy. Szukając skrótu, jechaliśmy wysadzaną strzelistymi cyprysami boczną drogą, kiedy nagle urwała się ona przed murami posiadłości i jej wielką, zdobioną żelazną bramą. Z tablicy dowiedzieliśmy się, że zajechaliśmy do Castello di Cusona delle Tenute Guicciardini Strozzi. O dziwo, gdy zapytaliśmy przez domofon, czy możemy zwiedzić winnicę i zde gustować wina, ciężka stalowa brama posiadłości uchyliła się, a przed naszymi oczami ukazał się kilkusetletni pałac należący do arystokratycznej rodziny Strozzi, spokrewnionej zresztą z polskim rodem Potockich i brytyjskim Churchillów.

Historia 530-letniej posiadłości sięga 1 tys. lat, a ciętaczna prapraprababka obecnych właścicieli, sióstr Strozzi, pozowała samemu Leonardo da Vinci do słynnego obrazu Mona Lisa. Dzisiaj w tym historycznym miejscu bywają ludzie z pierwszych stron gazet. Gościli tu m.in. prezydenci Kennedy i Clinton, Sarkozy, Putin i Berlusconi, holenderska księżniczka Beatrice, aktorzy Gregory Peck i Alain Delon, śpiewak Andrea Bocelli, który mieszkał tu ponad rok i wielu innych, których nie sposób wymienić, ale można zobaczyć w galerii zdjęć na ścianach winiarni. Do wyśmienitego wina, którym się tam raczyli, zjadali zapewne białe trufle rosnące tuż obok w niezwykle żyznych prywatnych lasach otaczających posiadłość.

Winnicą zarządza dziś Natalia Strozzi, która także w Polsce promuje swoje słynne wina, z siostrą. Gdy zakończyła karierę baletnicy, przejęła rodzinny tysiącletni interes. – Nasze wina, jak choćby vernaccia, mają niezwykłą historię. Opisywali je Dante, Boccaccio i Michał Anioł. To naprawdę zobowiązuje do ciężkiej i wytrwałej pracy oraz kontynuacji tego dzieła – mówi prawniczka Stanisława Kostki-Potockiego i tytułarna księżniczka. „Ale trafiliśmy” – pomyślałem, zwiedzając piwnice pełne szlachetnych win. W krainie czarnego koguta warto zbłądzić.

K

ULTIMY

Na listę miliarderów trafiła dzięki rekordowej trasie The Eras Tour, w ramach której wystąpi też w Polsce. Ogromny wpływ Taylor Swift na fanów mierzy się i tym, że niemal jednej piątej Amerykanów mogłaby skutecznie zasugerować kandydata na prezydenta

Łap chwilę i smakuj ją

Fot. Brian Friedman/Shutterstock.com

Jej fenomen próbują zrozumieć rzesze oddanych wielbicieli zwanych Swifties, potrafiących podróżować za swoją idolką po całym świecie, i ci, którzy chętnie widzieliby jej porażkę. Na razie Taylor Swift pozostaje niedościgniona, zostawiając daleko w tyle konkurencję i wyznaczając w muzyce pop trendy skuteczne zarówno medialnie, społecznie, jak i biznesowo.

NA DWIEŚCIE PROCENT

Swift to dziś najgorętsze i generujące największe zyski muzyczne nazwisko. Nosząca je 35-letnia piosenkarka, kompozytorka, producentka, multiinstrumentalistka i autorka tekstów wystąpi na stadionie PGE Narodowym w Warszawie 1, 2 i 3 sierpnia.

Podczas koncertów Swift daje z siebie nie 100, lecz 200 proc. – zapewniają ci, którzy mogli ją już podziwiać w takiej odsłonie. Potrafi zaskoczyć, bo nie boi się scenicznych eksperymentów. Jej występ za każdym razem jest też w jakiejś części inny od poprzednich, dopełniając elementem przygotowanym specjalnie dla konkretnej publiczności.

W ramach The Eras Tour w trakcie ponad trzygodzinnego koncertu śpiewa na żywo 44 piosenki. Do każdego utworu ma odrębną choreografię. Podczas niektórych dodatkowo gra na instrumentach. I kilkanaście razy się przebiera.

Na scenie podobnie jak w mediach społecznościowych potrafi nawiązać z publicznością bardzo intensywną relację. Obserwatorzy podkreślają, że jej wielkim atutem jest umiejętność „opowiadania historii”, w których odnajduje się tak wielu słuchaczy.

M JAK MILIARDERKA

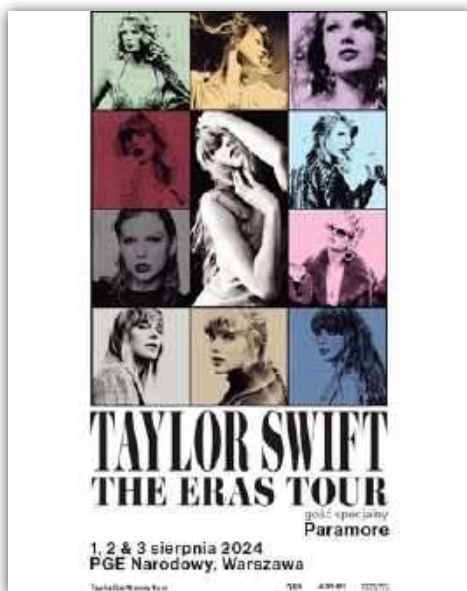
Obiektywnie rzecz biorąc, nie ma szczególnie oryginalnego głosu czy wyjątkowych możliwości wokalnych ani zjawiskowej urody. Wciąż bliżej jej do dziewczyny z sąsiedztwa niż koturnowej divy, a jednak to ona osiągnęła poziom niedostępny dla współczesnych muzycznych gwiazd.

Jej The Eras Tour okrzyknięto najbardziej dochodowym tournée w historii. Koncertowa trasa, która wystartowała w marcu 2023 r., obejmując 152 występy na pięciu kontynentach, już w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy przyniosła zysk przekraczający 1 mld dol. To sprawiło, że w kwietniu b.r. (z prywatnym majątkiem szacowanym na 1,1 mld dol.) Swift trafiła na listę miliarderów amerykańskiego magazynu „Forbes”. Co niezwykłe, astronomiczną kwotę zarobiła wyłącznie dzięki swojej twórczości. Nikomu wcześniej w branży muzycznej to się nie udało.

Wyjątkowość trasy The Eras Tour – poza długością i obszarem działania (przeciwnicy gwiazdy wytykają jej ślad węglowy, który



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA



generuje od wielu miesięcy) – wynika też z tego, że promuje ona nie jeden, a wszystkie albumy artystki. Zwłaszcza reedycje.

WERSJA TAYLOR

Dochodzimy tu do kolejnej składowej fenomenu Swift. Gwiazdy, która najbardziej niekorzystne sytuacje potrafiła przekuć w swój sukces. Poradziła sobie m.in. z falą medialnej niechęci, która nasiliła się po jej piątym albumie – „1989” (z 2014 r.; tytuł nawiązuje do daty urodzin artystki – 13 grudnia 1989 r.) – i wróciła silniejsza wraz z kolejnym krążkiem „Reputation” (2017).

Zagrała va banque, gdy okazało się, że straciła prawa do swoich pierwszych albumów. Umowa, którą podpisała jako 16-latką, umożliwiła znanemu menedżerowi gwiazd kupienie od wytwórni praw do jej utworów (w ten sposób przejęto sześć pierwszych krążków). Co w tej sytuacji zrobiła Swift? Nagrała te albumy ponownie, przy każdym dodając dopisek „Taylor’s Version”.

Działanie artystki odbiło się głośnym echem nie tylko w branży. Kommentowano je, łącząc spektakularny efekt z biznesowym talentem Swift,

k która pochodzi z rodziny finansistów (jej ojciec przez wiele lat zajmował wysokie stanowiska w banku inwestycyjnym Merrill Lynch, matka pełniła kierownicze funkcje w dużym funduszu powierniczym). Jak się okazało, autorka romantycznych tekstów też potrafiła skutecznie zadbać o swoje finanse.

BRANSOLETKI PRZYJAŹNI

Fenomen Taylor Swift, jak podkreślają badacze współczesnych mediów, wynika również z wyjątkowej relacji, którą udało się jej stworzyć z fanami (jest wśród nich także Iga Świątek). To ogromna rzesza – tylko na Instagramie artystkę obserwuje ponad 280 mln osób – na którą ma realny wpływ. Jej opiniami kieruje się ponoć blisko jedna piąta Amerykanów. Poszliby także za jej sugestiami, wybierając prezydenta USA.

Od wiosny b.r. i występów w Paryżu najwierniejsi Swifties przemierzają Europę. W pierwszych dniach sierpnia pojawiają się w Warszawie, dając szansę na ekstrazarobek hotelarzom, restauratorom, miastu.

Fani Taylor Swift poza uwielbieniem dla swojej muzycznej przewodniczki tworzą grupy współpracujące ze sobą nie tylko w mediach społecznościowych. Wspierają się i pomagają sobie wzajemnie również w realu. Podczas koncertów wymieniają się ręcznie robionymi „bransoletkami przyjaźni”. Inspiracją stały się dla nich słowa piosenki Swift „You’re on Your Own, Kid” z albumu „Midnights” (2022 r.): „Więc zrób bransoletki przyjaźni, łap chwilę i smakuj ją”.

„Widmo” - o aborcji szeptem

Tak się składa, że tego dnia na kanale AMC emitowano po kolei dwa filmy o tytule „Widmo”, choć po angielsku każdy z tytułów był inny. Zerknąłem na pierwszy z nich, nazwany w oryginale „Wraith”. W trakcie oglądania wpadłem na to, że kiedyś już go widziałem.

Pochodzi z 2017 r., scenariusz napisał i wyreżyserował go Michael Sajbel, człowiek, który stworzył niewiele filmów, a żadnego sławnego. Kiedy się go ogląda, ma się wrażenie déjà vu. Trzyosobowa rodzina: ojciec, matka i nastoletnia córka mieszkają w starej rezydencji. Chyba dla nikogo nie będzie niespodzianką, że zaczynają spotykać w tym domu postać świetlistej dziewczynki. Ile filmów o nawiedzonych domach i nękanych rodzinach widzieliście? Co drugi horror jest o tym. To jeden z najbardziej typowych archetypów popkultury.

Nic dziwnego, że na znajome sceny patrzyłem bez wielkiej satysfakcji. Kiedy pani domu grana przez Ali Hillis szukała odpowiedzi w starych gazetach przerzuconych na komputerowy dysk. Albo kiedy ta sama pani domu trafiła do katolickiego księdza w poszukiwaniu egzorcyzmów, mimo że jej rodzina nie szukała wcześniej kontaktów z religią.

Księdza zagrał Lance Henriksen, już wtedy zbliżający się do osiemdziesiątki. Jego wyrazista, zawsze jakby zmęczona twarz przyozdabiała niejednen horror, kryminał albo film akcji. W latach 90. był gwiazdą serialu „Millenium”, który w polskiej telewizji zajął miejsce „Z Archiwum X”. Grał tam agenta Blacka walczącego ze złymi mocami. Ale bywało, że udzielał swojej fizjonomii nawet demonom.

Tu jest po dobrej stronie. Z katolicyzmem twórcy horrorów mają kłopot. Z jednej strony bywa fabularnie przydatny, ze swoją maszyną wypędzania złych duchów. Z drugiej nie za bardzo wypada uznawać go za instytucję rozstrzygającą. W efekcie jest to różnie rozwiązywane, choć „Rytuał” czy „Egzorcyzmy Emily Rose” można by uznać za horrory katolickie. Pytanie, czy to skutek przemysłu autorów, czy tylko uz-

nania atrakcyjności katolickiej perspektywy. Kiedy kilka lat temu polski ksiądz podsunął projekcję „Rytuału” z Anthonym Hopkinsem (jako egzorcystą) swoim klasom na katechezie, część rodziców oskarżyła go o straszenie dzieci.

Z „Widmem” Sajbela problem jest poważniejszy, bo na dokładkę matka jest w ciąży. Zastanawia się, czy zdecydować się na późne macierzyństwo, czy dokonać aborcji traktowanej w jej świecie jako naturalny środek gwarantowania sobie szczęścia. Nie powinienem spoilerować, ale wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z filmem antyaborcyjnym. Dziś prawie nikt się na to nie odważy, choć klasyk powieściowego horroru Graham Masterton napisał opowiadanie w podobnym duchu. Za to coraz mocniej antyreligijny Stephen King w jednej ze swoich powieści („Bezsensowność”) znalazł środki stylistyczne, aby walkę z aborcją przedstawić jako obsesję. Co nie było łatwe, bo przecież literatura grozy jest skazana na przynajmniej flirt z metafizyką.

W amerykańskiej popkulturze wciąż zdarzają się jednak takie wątki i przesłania, choć z reguły na drugim planie, wręcz w niszy. Zaskakujący finał „Widma” jest skądinąd wy-



powiedziany bez mała szeptem. Nawet ksiądz Henriksena posługuje się jedynie aluzjami. Dotrwawszy do finału, pojąłem, że kostium horroru jest tu po trosze pretekstem. Ale internauci poddający „Widmo” surowym ocenom na Filmwebie nie zauważyli nawet tej wymowy. Ta dyskretna w podsuwaniu widzowi pytań, czy aborcja to najlepsze rozwiązanie, to także znak czasów. W tym sensie film Sajbela mógłby być filmem atrakcyjniejszym, ale za to pozostanie świadectwem epoki. O ile ktoś poza mną to zauważy.

Piotr Zaremba

Armia Boga

W sierpniu w Polsce na drogi wychodzi Armia Boga. W stronę Jasnej Góry ruszają ludzie, którzy szukają pomocy dla bliskich lub dla siebie.

Pielgrzymka jest rodzajem ascezy. Fizyczny wysiłek, cierpienie, słabość ofiarowane w konkretnej intencji sprawiają, że dokonuje się duchowa przemiana. Pielgrzymka to wyraz miłości bliźniego. Najczęściej. Bo większość pielgrzymów idzie w nie swojej intencji.

Magda i Michał szli z podziękowaniem za trzymiesięcznego Mikołaja, który towarzyszył im w pielgrzymce. Starali się o dziecko kilka lat, urodziło się dziewięć miesięcy po wizycie na Jasnej Górze. Wyprosił je u obrazu Matki. 14-letni Błażej szedł w intencji swojego ukochanego klubu żużlowego. Karol, handlowiec, w intencji ekspiacji za bluźnierstwa, w tym to związane ze spektaklem „Kłątwa”. Robert prosi o odnowę moralną narodu polskiego.

Pielgrzymka jest formą ascezy. Praktyki znanej wszystkim religiom. Przelamywanie oporu ciała w imię wyższych celów porządkuje naszą prawdziwą, a nie deklarowaną hierarchę wartości.

Towarzyszyłem kilku pielgrzymkom z kamerą, kilkakrotnie głosiłem również konferencje kolejnym grupom przez cały dzień w trakcie marszu. Nie zapomnę wędrówki przez południowe Mazowsze. Szliśmy traktem prowadzącym solidną i omszałą przecinką w lesie i nagle do mnie dotarło, że jest to trakt z Płocka do Krakowa, że ludzie wędrowali tym szlakiem od przynajmniej 800 lat. Ogarnęło mnie wręcz mistyczne uniesienie. Nigdy mocniej nie czułem łączności z pokoleniami naszych przodków.

Ania z Markiem szli z Rybnika cztery dni, pchając wózki z dwójką małych dzieci. Dziś ich małżeństwo wyszło z kryzysu. 16-letnia Ola wypielgrzymowała swemu uzależnionemu od alkoholu ojcu już dwa lata abstynencji. Maria szła prosić o pomoc dla syna Karola, aby się nawrócił, rzucił narkotyki, alko-

hol i papierosy. Natalia prosi o błogosławieństwo dla córek i o to, by rozpoznały właściwą drogę w życiu. Klara idzie, by podziękować za uratowanie syna, który o mało się nie utopił. Mieczysław prosi o dobrą żonę dla syna. Anastazja idzie w intencji niepełnosprawnej wnuczki i za zmarłego zięcia. Marta, by podziękować za swoje nawrócenie. Paweł pielgrzymuje za księży z parafii, Rafał prosi o pomoc na maturze.

Duchowa przemiana, zamiana wysiłku w dobro. To naśladowanie najważniejszej ofiary, która miała miejsce w dziejach ludzkości. Dzięki temu, że Jezus wziął na siebie cierpienie wynikające z grzechów wszystkich ludzi, nawet najgorszy człowiek ma szansę

*Pielgrzymka jest formą
ascezy. Praktyki znanej
wszystkim religiom.
Przelamywanie oporu
ciała w imię wyższych
celów porządkuje
naszą prawdziwą,
a nie deklarowaną
hierarchę wartości*

na przemianę. Morderca, gwałcień, pedofil. Jeśli zrozumie swoje grzechy, będzie żałował i zadośćuczyni, Bóg zmieni jego serce, by mógł cieszyć się wolnością. Będzie mógł na nowo rozpocząć życie bez ciężaru, który prowadził go do depresji i rozpacz.

Zamiana wysiłku, cierpienia w dobro może odbywać się też na inne sposoby. Teresa zauważyła, że jej najstarszy syn idzie w złą stronę. Nosił się na czarno, słuchał ciężkiej, bluźnierczej muzyki. Stał się agresywny. Zaczęła chodzić na czuwania modlitewne do kościoła paulinów przy ul. Długiej w Warszawie. Rozpoczęła



ROBERT TEKIELI

się o 20.00, trwały do 3.00, 4.00 nad ranem. To był duży wysiłek, tym bardziej że syn zaczął z niej szydzić. Po ponad roku w trakcie adoracji Najświętszego Sakramentu usłyszała od ołtarza: „W tej chwili uzdrawiany jest stojący za filarem młody mężczyzna”. Miała wtedy problemy z kolanem i była jedyną osobą w kościele, która nie klęczała. W chwili, w której kapłan wypowiedział te słowa, poczuła ogień przesywający ciało. Zrozumiała, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Po kilku dniach syn ściął włosy, jakiś czas później zniszczył kasety i płyty. Okazało się, że wszedł wcześniej do satanistycznej grupy. Przemiana okazała się trwała.

3 mln ludzi pielgrzymuje co roku tylko do Częstochowy. Niewiele mniej osób odwiedza Łagiewniki i Licheń, Wadowice i Kałwarię Zebrzydowską. Prawie 1 mln rocznie pielgrzymuje do grobu ks. Jerzego Popiełuszki. Co szósty Polak rok w rok odwiedza ważne duchowo miejsca w naszym kraju. W sierpniu do Częstochowy idzie ponad 250 tys. ludzi. I to jest ta najbardziej wymagająca forma pielgrzymowania.

Ala prosi o zdrowie dla chorej mamy i babci oraz całej rodziny, a także o wytrwanie w trzeźwości dla ojca. Ewelina o wyleczenie z choroby i dar macierzyństwa zdrowego dziecka. Igor o pokój na świecie.

Pielgrzymka to też narzędzie wspólnototwórcze. Taka pielgrzymka z Helu to 19 noclegów. I w każdej miejscowości setki rodzin, które przyjmują wędrowców. Kolejne pokolenia uczą się bezinteresowności i troski. Tak trzymać, Polsko. Duchowy wysiłek. Nie ma innej drogi. Bez walki duchowej nie obronimy się przed zalewającymi nas falami cywilizacji śmierci.



Warte Kiedy kilkanaście lat temu po raz pierwszy oglądałem „*Idiokrację*”, wydała mi się jednym z filmów z rodzaju „Głupi i głupszy”. Dziś ta satyryczna komedia science fiction z 2006 r. w reżyserii Mike’a Judge’a z Luke’em Wilsonem i Daxem Sheperdem stała się filmem kultowym, bo profetycznym.

Nieprzeciętnie przeciętny żołnierz ze względu na to, iż zajmował najwyższe miejsce na krzywej Gaussa odzwierciedlającej rozkład IQ wśród mundurowych, został zahibernowany w ramach ściśle tajnego rządowego eksperymentu i wskutek błędu wybudził się dopiero po 500 latach. Ze względów oszczędnościowych drugą osobą poddaną temu eksperymentowi była prostytutka. Świat, do którego trafili, okazał się światem debili. Inteligencja populacji spadła o połowę, ludzkość przestała dawać sobie radę z podstawowymi problemami, najpopularniejszy program telewizyjny zatytułowano „Au! Moje jaja!”, najgłośniejszy film oscarowy nosi tytuł „Dupa”, a prezydentem Stanów Zjednoczonych jest kretyń. „Idiokracja” nie jest filmem najwyższych lotów, jednak dreszcz przebiega po plecach, gdy w niektórych scenach widzimy współczesny konsumpcjonizm i antyintelektualizm doprowadzone do swych konsekwencji.

Warte W „*Magu bez reputacji*” towarzyszymy chłopcu, w którym w dramatycznych okolicznościach budzi się moc. Giną ludzie, a bezpieczny świat dzieciństwa i młodości Wessona rozpada się w pył. Zmuszony do ucieczki i zaszczuty musi w sobie szukać niemagicznych pokładów siły. Musi zrozumieć, kim jest i kim chce się stać już na początku swej drogi z obciążonym nad miarę sumieniem. „Mag bez reputacji” autorstwa Kel Kade to literackie fantasy dla starszej młodzieży. Jest częścią liczącego sześć tomów cyklu „Kroniki Mroku”. Uniwersum, które stworzyła autorka, nie jest specjalnie oryginalne, lecz konsekwentne, reguły rządzące magicznym światem – sensowne, zachowana jest też realistyczna psychologia postaci i one są najsilniejszą bronią pisarki. Dobrze prowadzona jest też fabuła, a żwawa akcja nie pozwala czytelnikowi się nudzić.

Zupełnie inną prozą są powieści science fiction Marcina Przybyłka z serii o gamedecu – Game Detective, detektywie



pracującym w grach wirtualnych. Rzecz dzieje się pod koniec XXII w. w Warsaw City, światem w niezauważalny sposób rządzą korporacje. Torkil Aymore rzuca zawód lekarza i zdobywa licencję giczerzanego detektywa. Rozwiązujemy z nim kolejne mniej lub bardziej skomplikowane zagadki, penetrujemy zadziwiające wirtualne światy i towarzyszymy jego przygodom sercowym, co jest tu może najmniej udaną kreacją. Czytając dwa tomy – „*Gamedec. Love & hate*” i „*Gamedec. Granica rzeczywistości*” – w pełni doceniłem oryginalność świata stworzonego przez autora. Coraz mniej cenię nową twórczość science fiction, a Przybyłek mnie zaskoczył. Oprócz rwącej z kopyta akcji mamy tu rozważania filozoficzno-psychologiczno-technologiczne. Cieszy mnie zdrowe podejście autora do tematu sztucznej inteligencji: „Sztuczne inteligencje nie rozumieją, co widzą, nie nadają znaczeń wypowiedanym przez siebie słowom, nie pojmują, co do nich mówimy, nie wiedzą nawet, że istnieją”. Porządny kawałek przyzwoitej rozrywki.

Zupełnie z innej półki jest natomiast kolejna odsłona postapokaliptycznego cyklu Michała Gołkowskiego o Ezekielu Siódmym. „*Komornik. Arena dłużników*” ma cztery odsłony – są one kontynuacją wyjściowej trylogii o losach szalonego bohatera, który od pewnego momentu został p.o. Boga. Proza Gołkowskiego momentami jest porywająca, zawsze ordynarna i wulgarna. Pełna literackich odniesień, skierowana jednak głównie na epatowanie i wzruszanie bebeczków czytelnika. Może cytata: „K...a, zjeb...em. Koncertowo, po całoci, podręcznikowo spier...em sprawę. Zrobiłem dokładnie to, czego nigdy nie robią główni bohaterowie w durnych filmach, gdzie dowolny konflikt, dowolny problem, dowolny temat można ogarnąć w czterech liniach dialogu, gdyby tylko protagonista otwarcie i szczerze pogadał, z kim trzeba. Bo tak się potem te sprawy ciągną, nabrzmiewają i pączkują, a widz sobie myśli: k...a, typie, no serio? Przecież trzeba było jej to otwarcie powiedzieć na samym początku. Potter, ty debilu, powiedz Dumbledore’owi, że słyszysz głosy i ogarniemy syf z Komnatą Tajemnic od ręki. Gandalf, ty szara k...o, przecież ten durny orzeł mógł cię zabrać do Góry Przeznaczenia kwadrans”. Uwielbiam błyskotliwych autorów, ale czasami przekraczanie granicy wdeptywania w błoto tego, co święte i nietykalne, zanadto zbliża do „Nie” i „Złego” Jerzego Urbana. A ornowców nie da się cenić.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Robert Tekieli
Polskie Radio

Powstańcze symbole

Popularyzatorska książka zawierająca fotografie powstania warszawskiego w 100 symbolicznych przedmiotach i hasłach. Najbardziej znane to przecież białe-czerwone opaski, filipinki i błyskawice, torby łączniczek czy włazy do kanałów. Ale także decydujące o wszystkim dokumenty, m.in. Rozkaz nr 19 naczelnego woźdza gen. Kazimierza Sosnkowskiego, niemającego złudzeń, że antyniemieckie powstanie w Polsce będzie jedynie służyć realizacji interesów ZSRS i przerodzi się w „rzeź masową ludności polskiej” i „morze krwi przelanej nie dla bynajmniej spełnienia polskich celów wojny”. Jego ostrzeżenia uzupełnia symbolicznie Radio Kościuszkę, nadające z zajętego przez Sowietów prawego brzegu Wisły. W tym samym czasie komunistyczna radiostacja kilka razy na dobę cynicznie wzywa mieszkańców Warszawy do chwycenia za broń.

W końcu najważniejszy dokument, a więc wydany w niejasnych okolicznościach rozkaz gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego wyznaczający godzinę W. Do walki przystąpiło więc 600 plutonów liczących ok. 38 tys. żołnierzy, słabo uzbrojonych, ale zdecydowanych na gigantyczne poświęcenie. Ginęli od pierwszych godzin. Była wśród nich m.in. twarz warszawskiej Syrenki – poetka Krystyna Krahelska „Danuta”, sanitariuszka dywizjonu „Jeleń” i autorka najbardziej znanej piosenki „Hej chłopcy, bagnet na broń”. W kolejnych dniach dołączył do niej m.in. Krzysztof Kamil Baczyński, zastrzelony przez snajpera w pałacu Blanka. Ginęli też katoliccy księża (łącznie ok. 50), z których śmierć prawdziwie męczeńską i symboliczną poniósł ks. Józef Staniek, powieszony na własnej stule kapłańskiej na Czerlniakowie. Symbolem powstania jest też panterka – znak rozpoznawczy batalionu „Zośka”, jednostki kadrowej, świetnie przeszkolonej i wyposażonej. m.in. w zdobyte w niemieckich magazynach kurtki maskujące. To także worek z jęczmieniem, którego zapasy, pierwotnie zgromadzone w celu ważenia piwa, okazały się podstawą jednego z najbardziej znanych dań kuchni powstańczej – zupy plukki. Powstanie poniosło klęskę, którą symbolizuje walizka i cegły. Niemcy wypędzili z miasta ponad 0,5 mln ludzi, wysyłając ich m.in. do obozów pracy lub zabili na miejscu. Zrównane z ziemią miasto pokrywało 20 mln m³ gruzów. „Halo!, Tu mówi Błyskawica – Duch Warszawy jest wspaniały!”



Maciej Walaszczyk

Najpierw była freudowska psychoanaliza i doświadczenia ojca surrealizmu André Bretona wyniesione z ośrodków służby neuropsychiatrycznej I wojny światowej. Potem dadaizm, a w końcu przekonanie o sile podświadomości jako podstawie światopoglądu artystycznego. Techniki „automatyzmu psychicznego”, odtwarzania „rzeczywistego biegu myśli” czy stany halucynogenne miały pomagać w przekraczaniu tego, co świadome i racjonalne ku irracjonalnemu i nadrealnemu.

W 100-lecie surrealistycznego manifestu Bretona Muzeum Narodowe postanowiło przypomnieć dorobek polskich twórców, którzy próbowali swoich sił w tym eksperymencie. To właściwie ostatni moment, by zwiedzić wystawę „Surrealizm. Inne mity”. Zgromadzono na niej łącznie ok. 300 różnego rodzaju obiektów – głównie obrazów i grafik, fotomontaży, asamblaży. Manifest Bretona zbiegł się z triumfem bolszewizmu, idealnie wpisując się w koncepcję społecznej rewolucji, a on sam należał w tym czasie do Francuskiej Partii Komunistycznej.

Surrealizm, a może surrealizmy, mają jednak różne oblicza. Z jednej strony to genialny „reakcyjny” Salvador Dalí („Sześć



Surrealizm, okultyzm i rewolucja

„Surrealizm. Inne mity”,
10 maja – 11 sierpnia 2024 r.,
Muzeum Narodowe w Warszawie

prace m.in. grupy Artes, w tym np. Marka Włodarskiego, który osobiście poznał Bretona i podobnie jak on był zaangażowany w inicjatywę Kominternu. Drugi manifest Bretona dokonał reorientacji surrealizmu w kierunku czarnej magii, religii Wschodu, alchemii, kabały i okultyzmu. W Polsce trop ten podjęli twórcy z kręgu grupy Oneiron, używając w tym celu ryzykownych środków symbolicznych, rekwizytów i rytuałów, zupełnie niejasnych dla postronnych obserwatorów. Ich cel był jednak ten sam – mieli dokonać w swoim życiu ostatecznego przewrotu duchowego. To ciągle ta sama rewolucja.

objawień Lenina na fortepianie”) czy metafizyka Giorgio de Chirico. Jednak atak przeprowadzony na świadomość, klasyczne kanony, racjonalizm uosabiane przez zniechęcony „stary porządek” definiował surrealizm jako siłę rewolucyjną, choć artystycznie niezwykle pociągającą. Mimo że był elementem moderny, odzwierciedlał ostatecznie fiasko projektu nowoczesności. W Polsce międzywojennej nie był tak atrakcyjny i paradoksalnie najsilniej wybrzmiał w twórczości pisarskiej Witkacego. Na wystawie możemy jednak zobaczyć

Witajcie w liberalnej autokracji

W Polsce Tuska zamiast siły prawa i równowagi władz działa już wyłącznie prawo silniejszego i logika odwetu. Tak wyglądają zręby „liberalnej autokracji”

Krakowski dwumiesięcznik powraca do czytelników z kolejną porcją analiz, esejów, recenzji. Analizując działania ministra sprawiedliwości czy byłego już ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza, Mikołaj Rysiewicz twierdzi, że możemy już mówić o zainstalowanych w państwie zrębach „liberalnej autokracji”. Charakteryzuje ją porzucenie legalizmu w imię ogłoszonego przez premiera Tuska „terroru praworządności” i uruchomienie mechanizmu arbitralnego „zawieszania” przepisów proceduralnych lub łamania konstytucji. Mówiąc wprost, to zwykła demonstracja siły i odwetu. Przejęcie mediów publicznych, ponowne skazanie ułaskawionych posłów, ich uwięzienie i odbieranie im mandatów, odwoływanie przez stwierdzenie nieważności powołania prokuratora krajowego, siłowe wejście policji do KRS nie mają oczywiście żadnego związku ze schmittiańską dyktaturą komisaryczną. Ta przecież dotyczy stanów nadzwyczajnych, wojny czy innych zagrożeń egzystencjalnych dla państwa, a jej celem jest ocalenie konstytucyjnego porządku. Przeciwnie, odbywa się w sposób rozproszony, selektywny i arbitralny, prowadząc do tego, co Jan Rokita określił mianem „ograniczonego stanu wyjątkowego”. Jego motorem jest przekonanie o konieczności swoistej „kontrrewolucji”, a więc gorączkowego powrotu do stosunków panujących przed 2015 r., „depisyzacji” wykraczającej daleko poza powodowaną powyborczymi rozsadami wymianę kadr. „Ten stan wyjątkowy to wyraz przekonania, że ośmioletnie rządy prawicowej większości były nieprawowitą rewolucją, nieuprawnionym zerwaniem z liberalnym *status quo* III RP mimo każdorazowo uzyskiwanej i odnawianej w kolejnych wyborach demokratycznej legitymizacji”.

Dlaczego tak się dzieje? Autor nie ma wątpliwości, że nasz system konstytucyjny nie gwarantuje ustrojowej równowagi władz. Przedstawiciele świata prawniczego i sędziowie nie tylko komentują bieżące wydarzenia, lecz także ubierają swoje stanowisko polityczne w formę „orzeczeń”, wygodnie dopasowując do linii popieranej przez siebie partii. Dokonują – jak zauważał de Tocqueville – gwałtownego wtargnięcia do polityki, rozniecając dzielące kraj polityczne namiętności.

W przypadku posłów Kamińskiego i Wąsika trzy władze zareagowały równocześnie w taki sposób, jakby miały wspólny ośrodek dyspozycyjny. A koalicja zamiast być ograniczaną systemem równowagi, rozstrzyga wszelkie kwestie na swoją korzyść, wspierana przez sądy czy kancelarie prawnicze.

Poza tym prof. Marek Kornat wspomina zmarłych przed rokiem Alaina Besançona i Hélène Carrère d'Encausse, czołowe postacie francuskiej sowietologii. Ten pierwszy definiował sowiecki totalitaryzm jako jedną z emanacji politycznej gnozy oraz wskazywał na dominującą w zachodniej debacie „nierównowagę pamięci”, charakteryzującą się potępianiem totalitaryzmu nazistowskiego, ale już rehabilitowaniem tego komunistycznego. Carrère d'Encausse dostrzegła natomiast, że ZSRS był rodzajem nieformalnego kompromisu między Rosją a narodami nierosyjskimi. W latach 30. XX w. Stalin dokonał rewizji tego stanu, dowartościowując rosyjski komponent narodowy. Jej perspektywa nawiązywała również do widzenia imperium sowieckiego jako formacji euroazjatyckiej.

Natomiast w XXX już odcinku „Zapisów manarchy” Tomasz Gabiś rekonstruuje przebieg kampanii dezinformacyjnej, którą przeprowadzono w Niemczech w związku z popularyzowanymi w kręgach AfD postulatami re-emigracji. Pretekstem do niej było odbyte w listopadzie ub.r., w Poczdamie spotkanie, w którym wzięli udział przedstawiciele tamtejszej prawicy. Zostało ono przedstawione jako tajna powtórka konferencji w Wannsee w 1942 r. Relację z prywatnego spotkania opracował internetowy portal Correctiv, zajmujący się „dziennikarstwem śledczym”, była ona prawdopodobnie pokłosiem operacji Urzędu Ochrony Konstytucji nadzorowanego przez Nancy Faeser z SPD, opętanej misją zwalczania „prawicowego ekstremizmu”.

W krótkim pożegnaniu redakcja wspomina również zmarłego w marcu Leszka Długosza – „człowieka i artystę integralnego” i „delikatnego obserwatora miłości”. Pożegnalny wiersz zadedykował poecie Wojciech Wencel: „Leszku ptaszku podniebny [...], pojmał cię anieli z powrotem nie puszczą”.

„Arcana” nr 177, 2024



Skansen Europy

Jeszcze cztery lata temu wydawało się, że w Polsce udało się wreszcie przełamać trend sprowadzania coraz starszych używanych aut z Europy Zachodniej. Niestety zjawiska ekonomiczne towarzyszące pandemii COVID-19, a później rosyjskiej inwazji na Ukrainę spowodowały, że znów z roku na rok sprowadzamy do Polski coraz starsze auta. Dlaczego? To proste – na nowe samochody stać coraz mniej osób

Według najnowszych danych średni wiek samochodu zgłaszanego do ubezpieczenia w Polsce wynosi 14,7 lat. To aż o 14 miesięcy więcej niż w 2020 r. Co więcej, średni wiek najczęściej spotykanych modeli aut na polskich drogach przekracza już 17 lat. Eksperti z rankomat.pl jednoznacznie potwierdzają, że Polacy jeżdżą coraz starszymi pojazdami.

CENOWY ODLOT

W dzisiejszych czasach zakup nowego samochodu stał się wyzwaniem nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie. Ceny nowych aut wzrosły do poziomów, które dla wielu Polaków są po prostu nieosiągalne. Jak podał Instytut Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar, w maju średnia cena nowego auta



spalinowego w polskim salonie wynosiła 178 tys. zł, a cena nowego elektryka była średnio aż 60–80 tys. zł wyższa. Te dane w jasny sposób tłumaczą wzrost popularności coraz starszych, używanych aut. Statystycznie najnowsze modele na polskich drogach to toyoty i škody, których średni wiek nie przekracza 13 lat. Jednak przeciętna Škoda Octavia ma już 13,4 lat, co i tak czyni ją najmłodszym autem wśród dziesięciu najczęściej spotykanych modeli na polskich drogach. Dla porównania – średni wiek volkswagenów to już 17 lat, a Audi A4 czy BMW serii 3 zbliża się do 18 lat.

Wzrost cen nowych samochodów wynika z wielu czynników. Jednym z głównych jest inflacja, która wpłynęła na wszystkie sektory gospodarki, w tym wyjątkowo dotkliwie na rynek motoryzacyjny. Do tego dochodzą rosnące ceny surowców i materiałów, z których produkuje się samochody, a także koszty związane z nowymi technologiami i ekologicznymi rozwiązaniami, które

są teraz standardem w nowych autach. Dodatkowo wymagane przepisami Unii Europejskiej drogie wyposażenie, np. z zakresu bezpieczeństwa, producentom łatwiej jest upchnąć cenowo w drogich, dużych autach. Dlatego z naszego rynku zniknął prawie cały segment małych aut miejskich, takich jak Volkswagen Up czy Škoda Citigo. Producenci wyszli bowiem z założenia, że nikt nie kupi malucha, jeśli będzie kosztował niewiele mniej od dużo większych modeli, bo wymogi wobec nich są takie same.

ZNÓW BĘDĄ DWIE POLSKI

Tymczasem starsze samochody to nie tylko problem estetyczny, lecz także bezpieczeństwa. Pojazdy te są bardziej narażone na awarie i usterki, co z kolei zwiększa ryzyko wypadków drogowych. Leciwe auta są też oczywiście mniej ekologiczne – emitują więcej szkodliwych substancji do atmosfery.

Tu dochodzimy do ryzyka wykluczenia komunikacyjnego wielu właścicieli starszych aut.

Wprowadzanie tzw. stref czystego transportu, choćby w Warszawie (jest planowane także w innych miastach), zapewne dodatkowo pogłębi problem. Nasz kraj znów może zostać podzielony się na Polskę „A” i „B”. Co to oznacza? Że dostęp do centrów wielkich miast będzie zarezerwowany tylko dla najbogatszych. Ten trend już jest widoczny, ponieważ w dużych miastach jeździ zdecydowanie mniej starych aut niż na szeroko rozumianej prowincji. Strefy czystego transportu, które ograniczają wjazd do miast starszym pojazdom, z pewnością sprawią, że osoby mieszkające w mniejszych miejscowościach będą miały utrudniony dostęp do centrów dużych aglomeracji.

Tymczasem w wielu – zapewne zbyt wielu – miejscach w Polsce zakup starego auta to wciąż jedyny ratunek przed wykluczeniem komunikacyjnym. Dlaczego? Bo nie ma tam sprawnej komunikacji zbiorowej, lokalnych autobusów czy pociągów. Dla mieszkańców tam osób samochód to nie luksus, lecz niezbędne narzędzie do codziennego funkcjonowania – dojazdu do pracy, szkoły czy lekarza. Wykluczenie komunikacyjne może prowadzić do dalszej marginalizacji i pogłębiać różnice między miastem a wsią.

SKANDALICZNA LINIA OBRONY

Kwestia starych samochodów zyskała na znaczeniu w kontekście głośnego wypadku z udziałem adwokata Pawła Kozaneckiego. Doszło do niego we wrześniu 2021 r. na Mazurach. Kozanecki, jadąc swoim luksusowym mercedesem, zderzył się czołowo ze starym Audi 80, w którym podróżowały dwie kobiety. Obie zginęły na miejscu. Kozanecki skomentował później, że „była to konfrontacja bezpiecznego samochodu z trumną na kółkach”. Te słowa wywołały powszechne oburzenie i stały się symbolem arogancji oraz pogardy dla mniej zamożnych kierowców.

Przypomnijmy, że po wypadku w organizmie Kozaneckiego znaleziono śladowe ilości kokainy (zbyt małe, by po-

stawić zarzut prowadzenia samochodu pod wpływem środków odurzających), a sam adwokat twierdził, że „nic nie pamięta” z tego zdarzenia. Sprawa nadal toczy się w sądzie, a Kozaneckiemu grozi do ośmiu lat więzienia. We wrześniu 2022 r. do Sądu Rejonowego w Olsztynie trafił akt oskarżenia przeciwko prawnikowi. Śledczy oskarżyli mec. Kozaneckiego o to, że umyślnie naruszył zasady bezpieczeństwa w ruchu lądowym poprzez przekroczenie

Wiek najczęściej spotykanych na polskich drogach samochodów przekracza już 17 lat. Ekspertci jednoznacznie potwierdzają, że Polacy jeżdżą coraz starszymi pojazdami

podwójnej linii ciągłej wyznaczającej oś jezdni, wjeżdżając na pas ruchu przeznaczony do poruszania się pojazdów w kierunku przeciwnym. „W efekcie nieumyślnie doprowadził do spowodowania wypadku drogowego, zderzając się z jadącym prawidłowo pojazdem marki Audi 80, w wyniku czego kierująca i pasażerka audi poniosły śmierć na miejscu zdarzenia” – mówił Daniel Brodowski z Prokuratury Okręgowej w Olsztynie.

Oburzająca „linia obrony” adwokata, kładąca nacisk na to, że ofiary wypadku podróżowały leciwym autem, nieprzystosowanym do bezpiecznego zneutralizowania uderzenia czołowego nowoczesnego mercedesa, dowodzi nie tylko jego arogancji wobec innych kierowców. Pokazuje też faktyczne zagrożenie – w wyniku pogłębiającego się rozwarstwienia majątkowego społeczeństwa będziemy mieli do czynienia z kastą ludzi bezpiecznych w swoich nowoczesnych, drogich autach i rzeszą biedaków, ryzykujących życie w czasie spotkania na drodze z kierowcą niestosującym się do przepisów.

BĘDZIE TYLKO GORZEJ

Póki co nie widać przesłanek, by ta sytuacja miała ulec poprawie. Przeciwnie – według danych Głównego Urzędu Statystycznego produkcja samochodów w Polsce spadła o 20 proc. Oznacza to, że trend utrzymywania się starszych aut na polskich drogach będzie się pogłębiał, ponieważ dostępność nowych pojazdów będzie coraz mniejsza. Od 2025 r. wejdą w życie nowe przepisy unijne, które nałożą surowsze normy emisji CO₂ dla nowych samochodów. Nowe normy Euro 7, które wejdą w życie w lipcu 2025 r., będą wymagały znacznego obniżenia emisji zanieczyszczeń przez nowe pojazdy. Dodatkowo od 2030 r. średnie emisje nowych samochodów będą musiały być o 55 proc. niższe w porównaniu do poziomów z 2021 r.

Od 2035 r. wszystkie nowe samochody sprzedawane w Unii Europejskiej będą musiały być zeroemisyjne, co oznacza, że będą musiały emitować 0 g CO₂ na kilometr. Dla producentów, którzy przekroczą limity emisji, przewidziane są kary w wysokości 95 euro za każdy gram CO₂ na kilometr powyżej celu na każdy nowy zarejestrowany pojazd.

Nowe przepisy unijne nie tylko podniosą ceny nowych samochodów, lecz także wpłyną na rynek samochodów używanych. Wzrost cen nowych pojazdów spowoduje, że coraz więcej osób będzie zmuszonych do zakupu starszych, tańszych aut. To z kolei zwiększy popyt na samochody używane, podnosząc ich ceny i średni wiek. Dodatkowo z powodu ograniczonej dostępności nowszych modeli coraz starsze samochody będą stanowiły większą część rynku używanych pojazdów. Przerwaniem tego trendu byłoby zapewne odejście Unii Europejskiej o rygorystycznych przepisów środowiskowych, ale póki co na to się nie zanoszi. Warto zauważyć, że w całej Europie wydłuża się średni wiek eksploatowanych aut i obecnie wynosi on już ponad 12 lat. Najmłodsze auta w Europie mają Austriacy – tam średni wiek samochodu wynosi 8,5 roku, a najstarszymi samochodami – średnio 17-letnimi jeżdżą Litwini. Polska zajmuje 20. miejsce wśród 27 państw UE, jeśli chodzi o wiek auta. ↗

Bartosz Życiński

Grupa Azoty kolejną ofiarą Zielonego Ładu?

Jedno z najmocniejszych do tej pory przedsiębiorstw w branży nawozowo-chemicznej w Europie jest w kryzysie. Co go spowodowało i jak uniknąć upadku spółki o strategicznym znaczeniu?



Już od dłuższego czasu wiadomo, że Grupa Azoty – polska spółka, którą opisuje się jako „giganta chemicznego” – jest w poważnej, a nawet dramatycznej sytuacji. Przedsiębiorstwo, jedna z najmocniejszych grup kapitałowych w branży nawozowo-chemicznej w Europie (zajmuje drugą pozycję w Unii Europejskiej w produkcji nawozów azotowych i wieloskładnikowych), notuje duże straty finansowe.

W 2023 r. strata netto całej grupy wyniosła 3,29 mld zł. Za I kwartał 2024 r. zanotowała ona 333 mln zł straty netto, a strata na działalności operacyjnej wyniosła niemal 260 mln zł. Na początku tego miesiąca należące do grupy Zakłady Azotowe Puławy poinformowały, że wstrzymują produkcję melaminy, związku chemicznego, który jest wykorzystany w produkcji meblowej oraz przemyśle motoryzacyjnym.



GORAN ANDRIJANIĆ

Grupa Azoty jest trzecim producentem tego tworzywa na świecie. Mimo to spółka rezygnuje z jego produkcji, bo im się to po prostu nie opłaca. Dlaczego? Z powodu kosztu gazu, surowca wykorzystywanego w produkcji w olbrzymich ilościach, podatków, które muszą zapłacić z powodu emisji CO₂ i na końcu importu dużo tańszej melaminy z krajów spoza Unii Europejskiej. Władze Azotów stwierdziły, że nie pozostaje im nic innego, jak poczekać, aż rynkowa cena tego produktu osiągnie poziom,

który sprawi, że jego dalsza produkcja będzie opłacalna.

SAMOBÓJCZY SCENARIUSZ

Azoty są największym konsumentem gazu ziemnego w Polsce. Zdaniem analityków wzrost ceny tego surowca to główny powód, przez który koncern składający się ze spółki w Tarnowie i kilku spółek córek przeżywa kryzys również w produkcji innych produktów. Oprócz nawozów azotowych i wieloskładnikowych wytwarza m.in. poliamid, alkohole OXO, plastyfikatory czy biel tytanową.

Cena gazu, która na rynku europejskim jest wyższa niż w innych częściach świata, oraz polityka klimatyczna Unii Europejskiej nakładająca na przedsiębiorstwa obowiązek płacenia ogromnych opłat (ETS wynosi ok. 67 euro za

tonę dwutlenku węgla z dalszym potencjałem do wzrostów) powodują, że koszty produkcji są coraz wyższe. Jednocześnie na rynek trafiają produkty wyprodukowane poza UE, które są zwolnione ze wszystkich tych opłat. Połączenie Zielonego Ładu i brak kontroli importu produkcji zagranicznej niszczy konkurencyjność producentów w Unii.

– Azoty są przedsiębiorstwem energochłonnym, które potrzebuje mnóstwo energii, by móc wytwarzać swoje produkty – mówi Konrad Wernicki, publicysta i dziennikarz „Tygodnika Solidarność”, który śledzi tematy związane z konsekwencjami ekonomicznymi i społecznymi Zielonego Ładu.

– Wystarczy powiedzieć, że jednym z głównych odbiorców węgla z LW Bogdanka, najrentowniejszej kopalni węgla kamiennego w Polsce, są właśnie Azoty. Do tego dochodzi duże zapotrzebowanie na gaz. Niestety w imię polityki klimatycznej wydobycie paliw kopalnych, jak i ich spalanie jest obłożone sztucznymi, dodatkowymi opłatami w ramach systemu ETS. To znacząco wpływa na cenę wytworzonych z nich energii, a co za tym idzie – na koszty produkcji. Nie bez znaczenia jest też wojna za naszą wschodnią granicą, która zdestabilizowała rynek energii w Europie. Co gorsza, polityka klimatyczna i liczne restrykcje oraz podatki cały czas rosną w ramach Europejskiego Zielonego Ładu.

Historia Grupy Azoty to zatem szerza opowieść o konsekwencjach Zielonego Ładu, projektu ideologicznego, nieuwzględniającego rzeczywistości gospodarczej i społecznej, prowadzącego europejskich producentów do samobójstwa.

Wernicki ostrzega przed takim scenariuszem.

– Tu widać jak na dłoni, że przedsiębiorstwa w Polsce, ale nie tylko, bo w całej UE, tracą swoją konkurencyjność względem ich odpowiedników spoza Wspólnoty. Władze Unii z Ursulą von der Leyen na czele, dostrzegając, że UE traci na znaczeniu w światowej gospodarce, postanowiły coś z tym zrobić i poszukać nowych przewag. Tak narodził się Zielony Ład i pomysł, by UE stała się liderem zielonych energii oraz technologii. Tyle że świat nie za bardzo pod-

jął wyzwanie redukcji emisji CO₂. Co więcej, Chińczycy wskoczyli na pozycję lidera w produkcji zielonych technologii, takich jak panele fotowoltaiczne czy auta elektryczne, ale produkują je z wykorzystaniem energii z paliw kopalnych. Zielony Ład pogłębia zacofanie Unii względem USA czy Chin – konkluduje dziennikarz.

Czy jednak nie jest tak, że Bruksela musi sobie uświadomić, iż w kontekście bezpieczeństwa żywnościowego nawóz jest produktem o strategicznym znaczeniu?

– Nawozy są niezbędne do efektywnej produkcji rolnej. Tyle że wszystko wskazuje na to, że Unii wcale nie zależy na wytwarzaniu płodów rolnych w Europie. Komisja Europejska z wielką nadzieją patrzy na kraje południowo-amerykańskiego bloku gospodarczo-politycznego Mercosur, w których okres wegetacji trwa niemal cały rok i które mogą dostarczać owoce i warzywa na Stary Kontynent w relatywnie dobrej cenie. Dlatego UE nie zależy na ochronie producentów nawozów, nie są im potrzebni. Rolnictwo zostanie wyoutsourcowane, a eurokraci pozbędą się problematycznych, energochłonnych zakładów jak Grupa Azoty.

POTRZEBNY PLAN RATUNKOWY

Ideologia Zielonego Ładu pochłonęła już w Polsce wiele ofiar, o czym świadczy fala zamykania zakładów i zwolnień w wielu zagranicznych korporacjach działających w Polsce. Producenci po prostu szukają tańszych warunków biznesowych. Ewentualny upadek Grupy Azoty miałby jednak fatalne skutki gospodarcze i społeczne. To firma o strategicznym znaczeniu dla Polski, w której pracuje 15 tys. osób, co oznacza, że są od niej zależne setki tysięcy. W niektórych przypadkach od jej działalności gospodarczej ekonomicznie uzależnione są całe miasta (np. Puławy). Działalność tej spółki jest sprawą interesu narodowego.

Wygląda na to, że aktualny zarząd spółki, który został zainstalowany przez koalicję 13 grudnia (państwo jest właścicielem 33 proc. udziału), próbuje uratować co może.

Trwają prace nad długoterminowym planem restrukturyzacji, admi-

nistracja otrzymuje wsparcie dla tego planu od swoich głównych finansistów, w tym kilku banków oraz Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz Europejskiego Banku Inwestycyjnego. Nie ulega wątpliwości, że plan będzie także zakładać w pewnym stopniu redukcję pracowników w korporacji, bo jest to po prostu nieuniknione.

Oczywiście pojawiają się też koncepcje przedstawienia całej firmy na odnawialne źródła energii (OZE), ale są to plany, których realizacja ma trwać latami, jeśli nie dekadami. A Azoty potrzebują pomocy teraz.

Wernicki uważa, że aby takie spółki jak Grupa Azoty przetrwały, potrzebne są głębsze reformy.

– Przede wszystkim trzeba mocno zabiegać o rewizję polityki Zielonego Ładu. Rozwijanie OZE w UE jest czymś pożądanym i zwiększającym niezależność energetyczną Europy, ale nie może się to odbywać przy jednoczesnym karaniu finansowym państw czy przedsiębiorstw, które od zawsze bazowały na paliwach kopalnych. Biznes zawsze będzie kierował się optymalizacją kosztów. Jeśli gdzieś produkcja może być tańsza niż w UE, to tam się przeniesie, co już się dzieje. Firmy przemysłowe uciekają z Europy, co widzimy choćby po fali zwolnień grupowych w Polsce. Jak tak dalej pójdzie, Europa stanie się wydmuszką, bez swojego przemysłu, bez swojego rolnictwa, a Europejczycy staną się jedynie konsumentami azjatyckich i amerykańskich produktów, póki są względnie zamożni. Ale również to minie, gdy system ETS2 wejdzie w życie i to zwykli obywatele zaczną płacić podatki za emisje w swoich domach – mówi publicysta.

Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarce.pl uważa, że państwo polskie za wszelką cenę musi uratować Grupę Azoty, m.in. dlatego, że petrochemia to branża, która ma pewną przyszłość.

Uważam, że plan ratunkowy Grupy Azoty musi obejmować działanie kilku resortów. Nie wystarczy, że tylko jedno ministerstwo, np. rozwoju i technologii albo aktywow państwowych rozwiąże ten problem. To musi być działanie międzyresortowe, które stworzy realistyczny i trwały plan z pomocą wielu ekspertów – twierdzi Wośko.

Nie tylko dla początkujących gajdzinów

Dwie dekady temu córka znanego reżysera postanowiła opowiedzieć kameralną historię o samotności w ruchliwym mieście, niezasypiającym i wciąż pełnym ludzi. Powstał film „Między słowami”, który do dziś budzi w widzach emocje. Komunikuje się w nim dwoje Amerykanów, stojących na uczuciowym i życiowym rozstaju. Sofia Coppola (rocznik 1971) mistrzowsko wygrywa wrażliwość i talent swoich aktorów: Billa Murraya i Scarlett Johansson. Także dzięki nim jej Tokio pozostało z widzami na długo.

W podobnym czasie o Japonii, postrzeganej również z bardzo osobistej perspektywy, postanowił opowiedzieć Marcin Bruczkowski (dziś podobnie jak Coppola 50-latek). Jego „Bezsenność w Tokio” wraca właśnie w nowym wydaniu (Znak Literanova), wzbogacona o nieopublikowane

wcześniej opowiadanie i wstęp napisany przez autora z okazji 20-lecia książki.

Czy w przypadku ponownego spotkania z miastem – nadal nie do końca rozpoznanym przez przyjezdnych – upływ czasu nie stanie się przeszkodą? A może doda nowych wartości? I pojawi się inna niż przed laty odpowiedź na m.in. takie pytania: czy obcokrajowiec w Japonii jest skazany na samotność? Czy Japonia pozostaje tak zamknięta, jak niemal 200 lat temu? Albo bardziej prozaiczne, lecz kluczowe dla zrozumienia codzienności Japończyków: dlaczego w Kraju Kwitnącej Wiśni mieszkanie łatwiej wyposażyć w nowoczesny telewizor niż w materac?

„My, cudzoziemcy, stanowimy w Japonii osobne społeczeństwo w społeczeństwie. Są wśród nas bogaci biznesmeni i biedni studenci, ale łączy nas jedno – stanowimy dla mieszkańców tej wyspy takie samo kuriozum, jakbyśmy mieli zielone różki i właśnie zeszli z pokładu UFO” – oceniał przed laty Marcin Bruczkowski.

Dziś we wstępie do nowej edycji „Bezsenności w Tokio” przeczytamy m.in.: „Dwadzieścia lat temu postanowiłem napisać powieść obyczajową z fabułą toczącą się w Japonii. Dlaczego w Japonii? Bo pojęcia nie mając o pisaniu książek, zakupiłem w amerykańskiej księgarni internetowej podręcznik dla młodych autorów, który rekomendował umieszczanie akcji w miejscu dobrze znanym z autopsji. To niestety wy-



eliminowało od razu mój ulubiony gatunek literacki, czyli science fiction, ale cóż robić. Był rok 2004 i ówczesny bilans mojego dorosłego życia wyglądał następująco: dziecięć lat w Japonii, pięć w Singapurze i cztery lata w Polsce. Wygrała Japonia”.

„Obalanie powszechnie pokutujących mitów na temat wysp japońskich nie było głównym celem książki – zapewnia autor. Chciałem napisać powieść o młodych ludziach z różnych stron świata, próbujących ułożyć sobie życie w kraju bardzo innym od miejsc, w których się wychowali” – dodaje.

Czy powstał – i czy pozostaje aktualny – rodzaj literackiego „podręcznika dla początkujących gajdzinów (gajdzin, właściwie gajjin, to po japońsku cudzoziemiec)? Na to pytanie odpowiedzą już dawni i nowi czytelnicy.

Jolanta Gajda-Zadworna



Dwa grzyby w barszcz

ANNA MONICKA

Każdy ma swoje grzybowe szlaki i swojego borowika marzeń. Moim przez wiele lat był piękny olbrzym, który zajął pół koszyka, znaleziony na jakiejś wycieczce w Borach Tucholskich. Historia o tyle zabawna, że wszyscy uczestnicy wyprawy rzucili się w tę samą stronę, patrząc na siebie złowrogo, jak to grzybiarze, a ja poszłam w przeciwną. Każdy coś tam znalazł, a kiedy spotkaliśmy się na leśnym parkingu, zziębnięci i w pajęczynach, żeby porównać zawartość wiader oraz otrzepać się z kleszczy, uznaliśmy zgodnie, że jeszcze nam mało. Ruszyliśmy więc dalej w las, zamieniając się stronami. Po paru krokach niemal potknęłam się o giganta jak z atlasu grzybów. Wrzasnęłam ze szczęścia tak głośno, że zbiegło się całe towarzystwo. Jak go przeoczyli? Było to tematem dociekań przy wieczornej biesiadzie. Jakoś mi wybaczyli, ale tylko dlatego, że byłam bardzo młodym i niedoświadczonym grzybiarzem, a jak powszechnie wiadomo, debiutantom szczęście sprzyja. Poza tym grzyby szybko rosną, więc i on mógł być całkiem mały, gdy gnali przez krzaki, nie patrząc pod nogi, szukając gdzieś w kniei swojego świętego Graala, a parę godzin później już wychylił kapelusz z trawy i wtedy nadeszłam.

Od tamtej pory nigdy nie śpieszę się na grzybach, chodzę wokół drzew cierpliwie, wślazę w rowy i wykroty, przeczesuję zarośnięte okopy i miejsca po armatach, których w naszych lasach jest całkiem sporo.

Gdy przenosiliśmy się za miasto, celowaliśmy w grzybne okolice, żeby zaopatrzyć spiżarnię przed zimą. Wprawdzie na obrzeżach Puszczy Słupskiej łatwiej znaleźć starą kanapę, opony albo przerdzewiałą karoserię, ale czasem dopisuje nam szczęście. Moja mama znalazła kiedyś dwa zrosnięte borowiki ważące 1 kg. Po tym wyczynie zaszczepiliśmy w leśnym ogródku grzybnię, która po paru latach wydała owoce.

Kilka dni temu mąż przybiegł ze spaceru podniecony jak dziecko i wyjął z torby dwa borowiki. Duże i twarde. Jakoś znalazły sobie okienko pogodowe i mimo piekielnej suszy zdążyły urosnąć. O dziwo nie były robaczywe, więc ususzyliśmy je do święteckiego barszczu. Panowie, którzy szli tą samą trasą, co mąż, sącząc piwko, widząc jego trofeum, ruszyli w las jak dwa odyńce. Mam nadzieję, że to będzie grzybny rok.

Fot. Shutterstock

Strach przed drewnem

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Drewno jest niezwykle. Ma wiele zalet, w tym tę, że powstaje w fabryce najbardziej przyjaznej ekosystemowi – w lesie. Ten fakt wciąż, a może coraz bardziej, spotyka się z niezrozumieniem, co może być fatalne w skutkach. Niezrozumieniem nie tylko wśród ludzi spoza branży leśnej. Ostatnio zostałem poproszony przez leśnika, żeby z tekstu edukacyjnego usunąć fragment mówiący o pozyskiwaniu drewna (określenie „wycinka” nie padło tam wprost), bo to drażliwy temat.

Zatem przypomnijmy: duża część lasów to lasy gospodarcze, posadzone (mówiąc w skrócie, bo różne są sposoby powstawania lasów) po to, żeby mieć drewno. Tak jak z rolnictwem. Sieje się pszenicę i po kilku miesiącach się ją zbiera. Dokładnie tak samo – tylko okres, po jakim dokonuje się zbioru, jest dłuższy – kilkadziesiąt lat. W tym czasie drzewa łagodzą klimat, produkują tlen i pochłaniają CO₂, oczyszczają wodę i powietrze, są miejscem życia wielkiej różnorodności organizmów, wypoczynku ludzi. W której fabryce tak mamy?

Potem następuje wycinka, dostosowana do rodzaju drzewostanu, a później las się odnawia. Tu pora wyjaśnić. W Polsce las zawsze jest odnawiany. Nieraz słyszę od znajomych, że las, który znali, został wycięty, a kiedy mówię, że jednocześnie z wycinką prowadzi się prace odnowieniowe, nie dowierzają. To jednak prawda – trwałość lasów to fundament prawa leśnego. Jak być las, to znowu w tym miejscu będzie las.

Możemy nie wycinać drzew. Od razu ustawmy wtedy zakaz wstępu do lasu, bo stare drzewa są niestabilne, a kiedy się na kogoś przewrócą, ten ktoś z reguły zmienia punkt widzenia i wytacza proces, pytając, jak można było do tego dopuścić. I zwiększymy wielokrotnie produkcję plastiku, żeby zastąpić drewno. Przykład: rurki plastikowe zastąpiliśmy papierowymi (świetny krok, popieram). Tylko że papier powstaje z drewna.

Tam, gdzie jest coś wyjątkowego, zakładamy rezerваты i obszary Natura 2000, wokół gniazd rzadkich ptaków róbmy strefy ochronne, a gdzie indziej korzystamy z drewna.

Żeby nie było wątpliwości: jestem maniakalnym fanem ochrony przyrody. Zbieram śmieci nad rzeką, przeprowadzam jeże przez ulicę, dżdżownice po deszczu przenoszę z parkingu na trawnik. Dlatego jestem za zwiększeniem powierzchni leśnej w Polsce, za gospodarką leśną i wycinaniem drzew.

OGNIEM NA WPROST

Pop swoje, a czort swoje



Andrzej Rafał Potocki

Bly premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, znany ze swojego poparcia dla walczącej Ukrainy, spotkał się z Donaldem Trumpem. „Po rozmowie z nim jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że ma on siłę i odwagę, aby ocalić Ukrainę, zaprowadzić pokój i powstrzymać katastrofalne rozprzestrzenianie się konfliktu” – napisał w felietonie dla „Daily Mail”. „Cokolwiek inni republikańscy mogli powiedzieć w przeszłości o Ukrainie, uważam, że Trump rozumie rzeczywistość: porażka Ukrainy byłaby ogromną porażką Ameryki” – stwierdził Johnson. Pierwszym krokiem Trumpa będzie „wzmocnienie ręki Zachodu i Ukrainy”. „Przez ostatnie dwa lata nieustannie chcieliśmy zwycięstwa Ukraińców, nie dając im środków – zauważa brytyjski polityk. – Chronicznie opieszale dostarczaliśmy im odpowiedni sprzęt, a nawet teraz nakładamy absurdalne ograniczenia na to, jak mogą z niego korzystać, tak że Ukraińcy walczą z jedną ręką związaną za plecami”. Johnson jest zdania, że Trump zakończyłby „biurokratyczne wahania i opóźnienia” i udzielił Ukrainie zezwolenia na atak zachodnią bronią na terytorium Rosji oraz solidnie ją dozbrował. „A potem, gdy Putin zostanie ponownie zepchnięty, będzie mógł zaproponować umowę” – zakończył Johnson. Nic dodać, nic ująć. Poza tym, że w tym kontekście propaganda światowej lewicy oraz liberalistów jest pełną obłudą napaścią na kandydata republikańców na urząd prezydenta USA, pozbawioną realnych podstaw.

Dwie ciekawostki dotyczące składu osobowego jednostek Sił Zbrojnych Ukrainy. Pod

Nowomychajliwką w składzie słynnej 47. Brygady Zmechanizowanej debiutował oddział złożony z ukraińskich skazańców. Warto zauważyć, że są oni wspierani przez bojowe wozy piechoty Bradley i działają jak normalni żołnierze w ramach naprawdę elitarniej jednostki, a nie jak „mięso armatnie”. I to jest ta cywilizacyjna różnica między Kacapią a Ukrainą. Druga ciekawostka to pododdział... kolumbijski działający w ramach 49. Batalionu Szturmowego „Karpacka Sicz” w 93. Brygadzie Zmechanizowanej „Chłodny Jar” pod Kremińską. Brygada ta zdobyła laury bitewne, broniąc południowo-zachodniej części Bachmutu. Kolumbijczycy wywodzą się ze specjalnych oddziałów policyjnych, które przez lata wojny domowej tępiły w swoim kraju prosowiecką partyzantkę. Mają więc sporo motywacji, żeby nie lubić Moskwy jako sponsora tych, z którymi walczą. Nawet w dalekiej Kolumbii poznali się na Ruskach na tyle, że teraz walczą z nimi z bronią w ręku, albowiem Moskwę trzeba bić gdzie popadnie.

Międzynarodowy Legion Obrony Terytorialnej Ukrainy został założony 27 lutego 2022 r., należą do niego ochotnicy z 55 krajów. Wiadomo, że walcząc w jego szeregach, zginęło co najmniej siedmiu Polaków. Ostatni – Tomasz Marcin Sękała – miał 22 lata. Ten polski żołnierz, bohater, zginął na polu bitwy 13 lipca w osiedlu Dibrowa w rejonie siewierodoneckim w obwodzie ługańskim. Ceremonia pożegnania odbyła się na kijowskim cmentarzu Bajkowa, największej nekropolii w stolicy. W wydarzeniu wzięli udział kapelan wojskowy, bracia wojskowi i obecny konsul RP w Kijowie Paweł Owad. „Každy w życiu ma swoją

własną ścieżkę i własny krzyż do udźwignięcia. Dziś żegnamy naszego przyjaciela i towarzysza Tomasza, który oddał życie za wolność i sprawiedliwość” – powiedział odprawiający nabożeństwo kapelan wojskowy. Ceremonia rozpoczęła się hymnem Ukrainy, a zakończyła „Mazurkiem Dąbrowskiego”. Cześć i chwała bohaterom, którzy daleko od swojej ojczyzny oddali swoje młode życie, by trzymać siły moskiewskie z dala od polskich granic. „Śpij, kolego, w ciemnym grobie / Niech się Polska przyśni tobie”.

We wsi Milkowo w kraju kamczackim żył sobie spokojnie człowiek. Spokojnie, póki nie dostał powołania do wojska. Jak większość Kacapów, posłusznie zgłosił się do swojej rejonowej komendy uzupełnień. Dostał, jak śpiewał niegdyś Bułat Okudźawa, „mundur, broń, do szafki kluczyk”, a „dowódca bacność, spocznij go nauczył”. Pojechał na front i wylądował w czarnym plastikowym worku jako Gruz 200 (poległy). Trupa bojaka pogrzebało państwo mimo protestów rodziny... na drodze. „Pochowany jak pies, na utwardzonej drodze. Tutaj jeździły samochody, przechodzili ludzie. A jego? Jak psa, a nie bohatera. Czy tak można? Nie!” – grzmi matka zmarłego. Problem polega na tym, że wedle dokumentów fragment terenu, gdzie pochowano Moskała, to nie droga. „Wcześniej w tym miejscu chowano tylko włóczęgów i chorych” – mówi miejscowy Kacap. Nawet pop się wściekł i powiedział, że to niegodziwość chować człowieka w taki sposób, choć były i takie przypadki. Oczywiście nic nie wskórał, bo z urzędnikami nie wygrasz. „Pop swajo, a czort swajo” – jak mawiają w Kacapii.

Współpraca: „Skipper”

**Michał Korsun prezentuje:
Czy Stauffenberg zasługuje na pomnik w Gdańsku?**



Wycinki z przeszłości

Wystartowały igrzyska olimpijskie w Paryżu. Z tej okazji w naszym kąciку piękne polskie znaczki wydane z okazji Igrzysk XIX Olimpiady, które odbyły się w 1968 r. w Meksyku. Jak podaje Polski Komitet Olimpijski, wystartowało w nich 5516 zawodników, w tym 781 kobiet. Rozdano 172 komplety medali. Przysięgę olimpijską w imieniu sportowców złożył lekkoatleta Pablo Garrido. Znicz zapaliła sprinterka i uczestniczka igrzysk Norma Enriqueta Basilio de Sotelo, stając się pierwszą w historii igrzysk kobietą, która tego dokonała. Igrzyska otworzył prezydent Meksyku Gustavo Díaz Ordaz. Licząca 186 zawodników i zawodniczek reprezentacja Polski zdobyła 18 medali, w tym 5 złotych, 2 srebrne i 11 brązowych. Czy teraz choć zbliżymy się do tego wyniku? Niestety wątpliwe. /

(mk)



Z WOLEJA

Co ma Churchill do igrzysk w Paryżu?



**Ryszard
Czarnecki**

W Paryżu w piątek rozpoczęły się igrzyska olimpijskie. Mniej więcej siedem dekad wcześniej po drugiej stronie kanału La Manche, przez Brytyjczyków nazywanym Kanałem Angielskim, gdy zapytano premiera J.K. Mości Winstona Churchilla, jaka jest jego recepta na długowieczność, odparł krótko: „No sports”. Inna anegdota mówi o dialogu następcy Churchilla, lidera Labour Party Clementa Attlee, z sir Winstonem. Attlee miał złośliwie powiedzieć do Churchilla imponującego wielką tuszą: „W poniedziałek jeżdżę konno, we wtorek fechtuję, w środę pływam, w czwartek gram w tenisa, a w weekend w golfa i czuję się świetnie. A pan, panie premierze?”. Na co Churchill: „A ja nie jeżdżę konno, nie fechtuję, nie pływam, nie gram w tenisa ani w golfa i czuję się lepiej niż pan”.

Paryż, który organizował letnie igrzyska równo 100 lat temu, ubiegał się o ich przeprowadzenie już 2008 r. Wtedy przegrał tę rywalizację z Londynem, który pierwszy raz gościł IO już w 1908 r., a więc też równo wiek wcześniej. Cóż, brytyjsko-francuska rywalizacja będzie istnieć zawsze. Gdy następcę Churchilla i Attlee David Cameron spotkał się z reprezentantami Zjednoczonego Królestwa już po zakończeniu londyńskich igrzysk, miał powiedzieć: „A najważniejsze, że zdobyliście więcej medali od Francuzów!”. I dostał owacje od brytyjskich sportowców.

Biało-Czerwoni jadą do Paryża, aby rywalizować o miejsce na początku trzeciej dziesiątki w klasyfikacji medalowej. Nie będzie to dla nas łatwa „olimpiada” (w zasadzie nie powinno się używać tego określenia, bo klasyczna definicja z czasów starożytnej Grecji stwierdza, że olimpiada to okres między igrzyskami, a nie same zawody). Dobrze, że IO już się zaczęły, bo walcowanie w mediach sportowych tematów zastępczych typu, czy prezes PKOl nie nazbyt frywolnie obejmował 17-letnią polską lekkoatletkę – najmłodszą uczestniczkę igrzysk w naszych brawach – było już nudne. Podobnie jak medialna burza w szklance wody, czy podobizna szefa Polskiego Komitetu Olimpijskiego powinna towarzyszyć na billboardach największym polskim gwiazdom. Doprawdy wołałbym czytać o sportowcach, a nie o działaczach. Skupmy się zatem na nich. I pamiętajmy zawołanie naszych kibiców: „Biało-Czerwone to barwy niezwyčajone”! /

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przeliczenia w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Ludzi łączyć, technologie rozdzielać

Jeśli nie pójdziemy pod prąd pewnym trendom przyniesionym przez rewolucję cyfrową, skończy się bardzo źle. Taki wniosek wyciągam z dwóch lipcowych wydarzeń 2024 r. 13 lipca o mały włos nie zabito byłego prezydenta Donalda Trumpa, a 19 lipca wielka awaria systemów Microsoftu spowodowała zaburzenia w wielu krajach świata – w funkcjonowaniu lotnictwa, kolei, służby zdrowia, banków, stacji telewizyjnych i wielu innych usług.

Czy twierdzę, że te dwa wydarzenia były ze sobą powiązane? Nie mam żadnych przesłanek, by tak sądzić. Rozważmy jednak pewien scenariusz, wcale nie z obszaru science fiction.

SCENARIUSZ

Jakie konsekwencje dla międzynarodowego ładu przyniosłaby awaria Microsoftu, gdyby nastąpił taki oto przypadkowy zbieg wydarzeń? Zróbmy mały eksperyment myślowy.

Przeprowadzony 13 lipca zamach na Donald Trumpa kończy się powodzeniem. I tak już bardzo spolaryzowana amerykańska opinia publiczna staje na krawędzi hysterii, obsesje spiskowe rozkręcają się do granic możliwości, powszechny dostęp do broni przyczynia się do wybuchów przemocy i radykalizmów, z czego tylko krok ku wojnie domowej w USA. Gdy 19 lipca następuje awaria, zbiegają się z nią w czasie większe ataki terrorystyczne w Europie i/lub agresywne posunięcia w wojnie hybrydowej Rosji z Zachodem. W takiej sytuacji do gry włączają się różnej maści hakerzy (od 19 lipca i tak już ruszyli z rozmaitymi pułapkami), np. próbując szantażem wyłudzić pieniądze od różnych instytucji, co jeszcze bardziej pogłębia zamieszanie.

Jaką skalę destabilizacji byśmy mieli wtedy? Jak na kryzysową sytuację Zachodu zareagowałyby autorytarne państwa spoza Europy? U progu



*Rzeczy nie wolno
sprowadzać do tego, że ktoś
w firmie CrowdStrike
popęłnił ludzki błąd, ani
do tego, że błąd nie został
na czas wyłapany*

jakiej wielkiej wojny świat już by się znajdował?

I kto byłby w stanie ją powstrzymać?

JAK TO MOŻLIWE...

Jak cywilizacja naukowo-techniczna doszła do sytuacji, w której taki scenariusz stał się aż tak bardzo realistyczny?

Błąd w aktualizacji odcinka kodu firmy CrowdStrike, która miała chronić Windowsy przez atakami, w ciągu kilku godzin spowodował wyłączenie ok. 8,5 mln komputerów na całym świecie, w tym obsługujących instytucje infrastruktury krytycznej. Dlaczego coś takiego w ogóle było możliwe?

Rzeczy nie wolno sprowadzać do tego, że ktoś w firmie CrowdStrike popęłnił ludzki błąd, ani do tego, że błąd nie został na czas wyłapany, ani nawet do tego, że awaria rozlała się tak szeroko ze względu na światową, monopolistyczną pozycję Microsoftu.

Na tę sytuację trzeba spojrzeć inaczej. Pod kątem przyniesionych przez rewolucję cyfrową zmian w dwóch światach: społecznym oraz technologicznym.

LUDZIE POROZDZIELANI

Media społecznościowe to jedno z głównych „osiągnięć” rewolucji cyfrowej, z którego korzystają już miliardy użytkowników. Dziś wiemy, że wbrew wcześniejszym nadziejom media te wcale nie łączą ludzi. Wprost przeciwnie, rozdzielają nas: czas spędzamy przed ekranem miast z bliskimi. Na dodatek skłócają, dając poczucie bezkarności w folgowaniu swoim instynktom agresji, chamstwa i tandety. Podzieleni i rozdzieleni ludzie zachowują się coraz mniej odpowiedzialnie.

TECHNOLOGIE SUPERINTEGROWANE

Z technologiami rzeczy idą w odwrotną stronę. Łączy się je na potęgę. W odróżnieniu od tradycyjnych technologii analogowych, cyfrowe pozwalają – poprzez internet – na bardzo głębokie powiązanie bardzo różnych technologii. Taka integracja pozwala znacząco obniżyć koszty i ułatwić zarządzanie, co przyczyniło się m.in. do powstania ogromnych cyfrowych fortun. Zarazem jednak powstały rozwiązania, które poprzez wysoki poziom złożoności i owej integracji są bardzo wrażliwe na usterki, czyli podatne na liczne ryzyka. Jak bardzo, zobaczyliśmy 19 lipca.

Rada na to jest bardzo prosta. To ludzi trzeba integrować, wiązać ze sobą, by czuli się częściami odpowiedzialnych wspólnot. A technologie trzeba rozdzielać, tak by awarie jednych systemów nie mogły się rozlewać najpierw na całe polacie internetu, a potem na ludzkie życie.

Rada jest prosta, ale jej realizacja trudna. Ale od dobrej rady trzeba zacząć.

Andrzej Zybertowicz



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)



NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy



OGŁĄDAJ NAS 

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJI
N E T I A **192**

NA POZYCJI
 **32**

NA POZYCJI
 **vectra** **825**

NA POZYCJACH
 **339** dekoder
dawniej UPC Mediabox

121 dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl